

CIVITAS CHRISTIANA

Ciało – między uwielbieniem a nienawiścią



o. Brunon Koniecko
o ascezie

Sylvia Sułkowska
o s. Clare Crockett

Ewa Korpysz
o ciele w sztuce

CIAŁO – MIĘDZY UWIELBIENIEM A NIENAWIŚCIĄ

Ciało – między uwielbieniem a nienawiścią 5
Ile w duchowości jest ciała? 8
Asceza – narodziny nowego człowieka 12
Jak się zmienił świat po pigułce 15
Jak przekazać teologię ciała młodym? 18
Nieidealni – między tabu a chrześcijańską miłością 21
Starość w Piśmie Świętym i w chrześcijańskim życiu 24
Czym ma być ciało postczłowieka? 27

SPOŁECZEŃSTWO

Spór o „edukację zdrowotną” – seksualność powinna służyć wzmocnieniu małżeństwa i rodziny, a nie pogłębianiu hedonizmu 31
„Zmęczeni demokratyczną nieodpowiedzialnością”... 34
O bólekach uniwersytetu w XXI wieku 37

WIARA, WSPÓLNOTA, KOŚCIÓŁ

Czy Kościół boi się cielesności? 40

BENE MERITI

Pielgrzymi nadziei niosący prawdę, miłość i dobro 43

DROGI CIVITAS CHRISTIANA

Po co nam dojrzałe powołania świeckie? 47
W Gnieźnie i Kaliszu wiedzą, czym jest KNS i dlaczego warto się nią zajmować 50
Modlitwa i spotkania „Z bł. Stefanem kard. Wyszyńskim w nowy czas” 52
„Chociaż jednemu człowiekowi dajcie świadectwo Prawdzie” – rekolekcje wielkopostne 55
Społeczne obowiązki przedsiębiorstw. Spotkanie z prof. Kazimierzem Dadakiem 58
Warsztaty OKWB 59
Przesłanie ksiąg Ezechiasza i Nehemiasza 61

DWA PŁUCA EUROPY

Dziedziczka Tarnowskich, matka Esterházych 64

FORMACJA

Jedno pytanie 67

Z NAUCZANIA PAPIESKIEGO

Chrześcijaństwo afirmacją ciała 68

INSPIRACJE

Clare Crockett – poznała miłość większą niż uciechy tego świata 70

KOŚCIÓŁ POWSZECHNY

Kolebka chrześcijaństwa bez chrześcijan? 74

FELIETONY

Genetyczny Adam. Nowe odkrycia nauki wobec biblijnej koncepcji stworzenia człowieka 77
Jak zachować twarz 80
Zakręty ponowoczesnej „naturalności” 83

REPORTAŻ

Sri Lanka. Eden z brzemieniem kolonializmu 86

KULTURA

Bo piękno na to jest, by zachwycić...
O przedstawieniach ciała w sztuce 90
Złodzieje ciał 93
O banalności zła 96



Ciało – między uwielbieniem a nienawiścią

Ciało – z jednej strony gloryfikowane, a z drugiej odrzucane, od wieków sprawiające kłopoty, budzące wątpliwości co do właściwego określenia jego roli. W dzisiejszych czasach obserwujemy kolejną eskalację nieporozumień wokół ludzkiej cielesności, tym bolesniejszą, że mocno uderzającą w młode pokolenie. Jak ważne jest ciało i ile wokół niego nieuporządkowania, sygnalizuję w tekście wprowadzającym do niniejszego numeru.

Kiedy powstawał kwartalnik, cały katolicki świat, a my wraz z nim, pochłonięty był dochodzącymi z Watykanu informacjami o stanie zdrowia papieża. Otaczając modlitwą Franciszka, nieuniknienie wspominaliśmy – szczególnie nieco starsze pokolenie – czas choroby i odchodzenia do Domu Ojca Jana Pawła II. 2 kwietnia mija 20 lat od owego wieczoru, gdy świat obiegła smutna wiadomość o jego śmierci. W bieżącym numerze Czytelnicy znajdą odniesienia do myśli papieża Polaka, do jego jakże aktualnej i potrzebnej, a wciąż nie do końca odkrytej i rozumianej teologii ciała. Píše o niej m.in. Magdalena Siemion w tekście *Teologia ciała – jak przekazać ją młodym?*

Tematyka ciała przewija się przez cały numer i odniesienia do niej znajdują Państwo w różnych działach. Z tekstów tworzących trzon tematu numeru chcę zwrócić uwagę na artykuły o. Jana Strumiłowskiego o pozornej opozycji między ciałem a duchem oraz o. Brunona Koniecko, który obala mity na temat ascezy. Zachęcam też do lektury działu *Inspiracje*, gdzie Sylwia Sułkowska przedstawia postać s. Clare Crockett – młodej Irlandki, która zmarła 9 lat temu, a której proces beatyfikacyjny otwarto w styczniu. O tej niezwykłej siostrze będzie jeszcze głośno, warto poznać jej nieszablonową postać.

Środowisko „Civitas Christiana” przeżywało w marcu niezwykle owocne rekolekcje wielkopostne – w numerze znajduje się relacja, a także linki do materiałów audiowizualnych z tego wydarzenia. Wręczona została 49. Nagroda im. Juliusza Ligonja, trwa 29. Ogólnopolski Konkurs Wiedzy Biblijnej, w toku są też przygotowania do święta patronalnego Stowarzyszenia. Zapraszamy do zapoznania się z informacjami o nich. Pozwolę sobie też zwrócić uwagę na wywiad z ks. bp. Piotrem Jareckim, który tłumaczy, dlaczego powinniśmy się modlić nie tylko o powołania kapłańskie i zakonne, ale przede wszystkim o dojrzałe powołania ludzi świeckich.

Wraz z całym zespołem redakcyjnym życzę Państwu przyjemnej i owocnej lektury.

Marta Karpińska

REDAKCJA

Redaktor naczelny
Marta Karpińska

Zastępcy redaktora naczelnego
Piotr Sutowicz
Maciej Szeptowski

Sekretarz redakcji
Aleksandra Bilicka
aleksandra.bilicka@civitaschristiana.pl

Emilia Bernaciak
Barbara Kubicka
Kamil Latuszek
Mateusz Zbróg

KONSULTANT
ks. dr Dariusz Wojtecki

PROJEKT LAYOUTU
Anna Nykiel Design

OKŁADKA
Awers:
Grafika Mariusz Huk/Adobe Stock
Rewers:
GRUPA INCO S.A.

SKŁAD
Dartext
DRUK
Lotos Poligrafia Sp. z o.o.
ul. Wał Miedzeszyński 98, 04-987 Warszawa

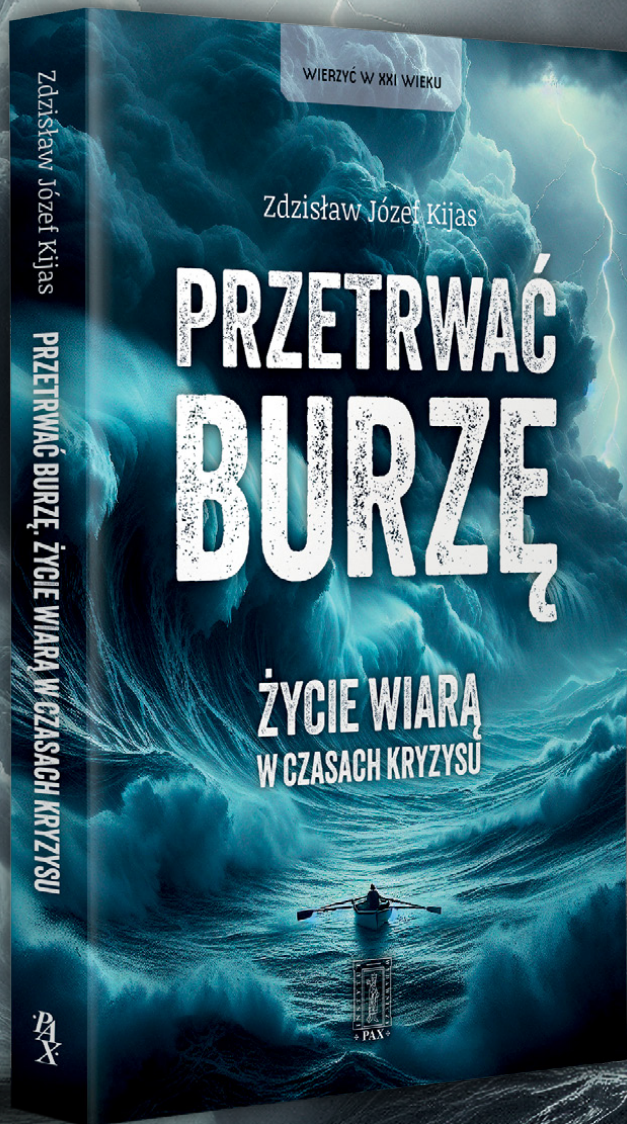
ADRES REDAKCJI
ul. Wspólna 25
00-519 Warszawa
redakcja@civitaschristiana.pl
www.e-civitas.pl

CIVITAS
CHRISTIANA

WYDAWCA
Fundacja „Civitas Christiana”
ul. Wspólna 25
00-519 Warszawa
ISSN 2300-4789
Nakład 2900 egz.

Egzemplarze kwartalnika można otrzymać w redakcji i w oddziałach Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów oraz do zmiany tytułów.

WIERZYĆ W XXI WIEKU



Kiedy grunt, dotąd stabilny, usuwa się
spod nóg, kiedy fale miotają łodzią
życia, kiedy rozsypuje się przyjaźń lub
miłość, kiedy kruszy się obraz Kościoła
albo chwieją się podstawy wiary, coś
zaczyna się zmieniać. Człowiek rozbudza
się z błotnego snu. Odczuwa lęk.
Nie znajdując oparcia w sobie,
szuka go u Boga.

www.iwpax.pl



Ciało – między uwielbieniem a nienawiścią

Tyle pytań, ile mamy o własną egzystencję, jej sens i przeznaczenie, tyleż mamy i o ciało – czym ono jest, jak z niego korzystać, czy to tylko narzędzie do używania, biologiczna maszyna? Czy jest emanacją naszego ja i naszej kreatywności? Czy ciało jest mną, czy jest moje?

Dzisiaj wyjątkowo łatwo uzyskać tu fałszywą odpowiedź i ulec złudzeniom. Są one nieuniknionym dziedzictwem życia w czasach nihilizmu i postprawdy, w świecie dalekim od moralności i zdrowego rozsądku, oderwanym od prawdziwej wiary i wartości, gdzie króluje hedonizm i materializm, a emocje i osobiste przekonania znaczą więcej niż faktyczny stan rzeczy. Na tym wyzuciu z prawdy cierpi cała ludzka istota – duch, psyche i ciało. Pochylmy się nad tarapatami, w jakie popadło to ostatnie.

Mit nieśmiertelności

Przychodzimy na świat w ciałach, całe nasze życie w nich się toczy. W końcu nasza cielesna powłoka umiera, a życie – czego uczy nas wiara – przybiera inną, okrytą tajemnicą formę. Od kiedy zaistniejemy, już nie umieramy, ale póki żyjemy w ciele, nie znamy innej rzeczywistości. Człowiek współczesny, oderwany od myśli o życiu wiecznym i siłą rzeczy skupiony znacznie bardziej niż jego antenaci na doczesności, zdaje się żywić w stosunku do swojego ciała skrajne uczucia – od uwielbienia do nienawiści i odrzucenia. Zacznijmy od uwielbienia.

Od wieków ludziom trudno pogodzić się z mijającym czasem i nieuchronnością śmierci. Tak jak od starożytności poszukiwano mitycznego kamienia filozoficznego, którego jedną z właściwości było wytwarzanie zapewniającego nieśmiertelność eliksiru życia, tak w obec-

nych czasach bogaci i ustosunkowani przedłużają swoją ziemską egzystencję, poddając się skomplikowanym procedurom medycznym (vide zmarły w wieku 101 lat David Rockefeller, który w swoim życiu przeszedł siedem przeszczepów serca i dwa nerek) oraz drogiemu, nieosiągalnemu dla zwykłego śmiertelnika leczeniu, wspomaganemu dietą złożoną z wysokiej jakości produktów, też niedostępnych „pospólstwu”. Pod względem podejścia do tego ostatniego wyłamuje się milioner Bryan Johnson, który upublicznia wyniki oraz zalecenia wynikające z finansowanych przez siebie badań nad zatrzymaniem, a nawet odwróceniem procesu starzenia. Milioner chce dożyć 150 lat, zachowując młodość, i by to osiągnąć, zatrudnia sztab lekarzy i specjalistów, a opracowane przez nich wytyczne stosuje na sobie. Reżim, jakiemu poddał swoje życie w nadziei na osiągnięcie zdrowej i ponadprzeciętnej długowieczności, robi wrażenie. Bardzo obszerna lista suplementów i wskazówek co do diety, snu i ruchu, opracowana przez jego zespół, jest dostępna dla każdego na stronie internetowej Johnsona.

Tak jak możemy śledzić wyniki eksperymentów ekscentrycznego milionera, tak dzięki sieci możemy też zapoznać się z niewyobrażalną wprost liczbą rad, podpowiedzi i koncepcji dotyczących dbania o zdrowie i wygląd, które zamieszczają specjaliści oraz – chyba większa od nich – grupa domorosłych „ekspertów”. Programy treningowe, przeróżne diety, meto-

dy pielęgnacji ciała znajdują rzesze odbiorców w każdym wieku, bo i *content* jest tworzony pod zróżnicowane potrzeby. Za pomocą Internetu lansuje się trendy i mody, które z szybkością błyskawicy ogarniają prawie cały glob. Wraz ze wzrastającą dawką dobrych rad rośnie zarówno tęsknota za nieustająco młodym wyglądem i dobrym samopoczuciem, jak też – i to jest pozytywna wiadomość – świadomość wielu (ale nie większości) ludzi dotycząca zdrowia. Zwiększa się też liczba osób, dla których zdrowie i młody wygląd stają się wartością nadrzędną. Ćwiczą ściśle według wytycznych i stosują konkretne, często bardzo wymagające diety. Zdarza się, że kobiety rezygnują z posiadania dzieci, bo ciąży psuje sylwetkę, a małe dziecko w domu to brak odpowiedniej ilości snu. Takie skrajne podejście nie jest niczym nowym, wydaje się tylko, że wraz ze wzrostem poziomu życia oraz powszechnym dostępem do stymulujących określone działania informacji, skala jego występowania się zwiększyła. Do legendy przeszły zabiegi stosowane przez władczynię i metresy z dawnych czasów, spośród których kąpiele w lodowatej wodzie i oślim mleku zaliczają się do tych niekontrowersyjnych. Do zabiegów kosmetycznych jeszcze w XIX wieku używano rtęci, wapna niegaszonego czy arsenu. Dziś arsenał możliwości się zwiększył i stał bezpieczniejszy, co nie znaczy, że nikt nie ryzykuje zdrowiem, urodą czy życiem w pogoni właśnie za nimi.

Ciało na piedestale

Piękno ciała – różnie definiowane w zależności od epoki i kultury – zawsze było ważnym społecznie czynnikiem. By wydać się atrakcyjniejszym i podnieść swoją pozycję, uciekano się do różnych metod, jak choćby bielenie skóry, ściskanie talii gorsetem, bandażowanie stóp, nakładanie na szyję obręczy, wydłużanie ma-

żowin usznych czy tatuowanie, które przeżywa obecnie na Zachodzie swój wielki renesans. Wszystkie te zabiegi – i cały szereg innych tu niewymienionych – służyły „ulepszeniu” tego, co naturalne, w imię przyjętego w danej społeczności i danym czasie ideału urody. Zastanawiające, skąd w człowieku to dążenie do wpasowania się w wykreowany model, do maksymalnego zbliżenia się wyglądem do aktualnie lansowanego wzorca. Dziś w Polsce, „w wielkim mieście”, sprowadza się to do rosnącej grupy kobiet dziwnie do siebie upodobnionych przez powiększone usta. Ta utrata indywidualnego rysu jest jak złośliwy chichot i stanowi materiał na prześmiewcze grafiki, ale może spełnia też jakieś ukryte pragnienie ukrycia się w tłumie, ucieczki przed indywidualnością.

W swoim tekście abstrahuję od tematu operacji, które wynikają z autentycznej potrzeby pacjenta, gdzie chirurgia plastyczna ma wielkie zasługi w ratowaniu zdrowia, a nawet życia. Piszę o generującym duże zyski prądzie sztucznego poprawiania tego, co naturalne, który dziś obejmuje całe ciało. Operuje się nie tylko twarzę, ale wszystko, co odbiega od *ideału*, jaki klient ma w głowie, włącznie z miejscami intymnymi. Kiedy lata temu piosenkarka Cher usunęła sobie zębra, żeby wysmuklić talię, budziło to pewną sensację, chociaż nie była pierwsza w gwiazdorskim światku. Dziś torakoplastyce mogą poddać się „zwykle Kowalskie” o odpowiednim poziomie desperacji i zasobności portfela. W dziedzinie informowania o możliwościach i propozycjach chirurgii plastycznej niezastąpioną rolę pełnić się – głównie media społecznościowe i plotkarskie portale. To za ich pośrednictwem wylansowano modę na nienaturalnie wielkie pośladki, która szczęśliwie w naszym kraju się nie przyjęła, ale w innych potrafi sprawiać posiadaczkom tego modnego atrybutu sporo kłopotów natury... higienicznej.



**MARTA
KARPIŃSKA**

Dziennikarz i fotograf.
Redaktor naczelna. Członek
Katolickiego Stowarzyszenia
„Civitas Christiana”

Możesz być, czym chcesz

Siła mediów, przekaz ideologiczny i możliwości chirurgii plastycznej sprawiły, że realne stało się przekształcanie ludzkiego ciała zgodnie z wyobrażeniami klienta. Mieszczą się tu i niezwykle kontrowersyjne operacje zmiany płci, dokonywane nawet u dzieci uwiedzionych transgenerową doktryną (to temat na odrębny artykuł), i nie mniej dyskusyjne, chociaż nie występujące aż w takiej skali, „operacje zmiany gatunku”, że tak je określe. Dzięki nim po świecie chodzi m.in. grupa elfów płci obojga, niebinarny smok, koty i tygrysy, a nawet diabeł (choć ten zdaje się niedawno zmarł). Ludzie, dążąc do odzyskania swojej wymagowanej „prawdziwej osobowości”, barwią skórę, gałki oczne, tną języki, usuwają uszy i inne części ciała oraz wszczepiają liczne implanty imitujące rogi, kolce i co tam jeszcze kto sobie roi na temat wyglądu stwora, którym według siebie jest. Wszystkie te bolesne, kosztowne i ryzykowne zabiegi, jakim te osoby się poddają, wynikają z odrzucenia swojego cielesnego człowieczeństwa lub jego elementów. Należałoby rozpatrywać indywidualnie, czy to wyraz zaburzeń psychicznych, czy – szczególnie w przypadku młodych ludzi – „zarażenia rówieśniczego”,

jak szczególną modę na zmianę płci określa w swojej książce *Nieodwracalna krzywda* Abigail Shrier. Sieć doskonale sprzyja popadaniu w kłamstwo o sobie samym, zarówno kolportując idee, które rodzą w głowach problemy, jak i podpowiadając możliwości ich rozwiązania.

Czy ten impuls do przetwarzania swojego ciała na „piękniejsze” i na „prawdziwe” nie jest tym samym janusowym obliczem niechęci do własnej cielesnej powłoki? Czy nie nosi w sobie piętna starożytnego, manichejskiego dualizmu, gdzie to, co dobre i świetliste, zostało uwięzione w złej materii, do której przynależy ciało? Jeżeli dodatkowo weźmie się pod uwagę fakt, że poczynając od koncepcji samego twórcy psychoanalizy, Junga, elementy gnostycyzmu są obecne w niektórych gałęziach współczesnej psychologii, a na wsparciu psychologicznym bazuje dziś niemal cały świat (kto z pacjentów dokładnie analizuje, w jakim nurcie pracuje jego terapeuta?), to wyłania się całkiem ciekawy obraz. Może przesadzam, doszukując się tu skazy gnozy, ale cóż – im człowiekowi dalej do Boga, tym dalej do prawdy o sobie samym, także o swojej cielesności. Tym łatwiej utracić też umiejętność dostrzegania, że wygląd również jest dziełem Stwórcy i czyni z każdego z nas osobę jedyną w swoim rodzaju i w tej odrębności piękną.

Fot. Adobe Stock



Ile w duchowości jest ciała?

Duchowość może kojarzyć się z czymś opozycyjnym względem ciała. Z jednej bowiem strony ciało i dusza stanowią jedność. Z drugiej jednak, w historii chrześcijaństwa widzimy czasami pewną opozycję między tym, co cielesne, i tym, co duchowe. Św. Paweł mówił wprost o walce między duchem i ciałem oraz o tym, że nie ma między nimi zgody.

Czasami zarzuca się Kościołowi, że deprecjonował ciało, ponieważ nakazywał umartwienia cielesne. Dzisiaj oczywiście duchowni wykazują w tym względzie bardziej delikatne podejście. Wyraźnie podkreśla się również, że kościelna awersja wobec ciała zaowocowała równie gwałtowną awersją wobec seksualności. Zatem, pomiatając ciałem, Kościół miał rzekomo jeszcze bardziej pomiatać, wręcz z obrzydzeniem spoglądać na seksualność. Jest ona bowiem nierozzerwalnie złączona z cielesnością.

Do rzeczy

Jednakże w tych wszystkich zarzutach możemy dostrzec pewną niekonsekwencję, którą można rozstrzygnąć na dwa sposoby: albo Kościół w swojej praktyce deprecjonującej ciało nie pozostał wierny depozytowi wiary, albo te zarzuty są błędną interpretacją praktyki Kościoła. Doktryna chrześcijańska bowiem jest na wskroś przeniknięta cielesnością. I tak na przykład ten sam św. Paweł, który pisał o walce między ciałem i duchem, na Areopagu wobec Greków, a więc platoników, dla których istotą człowieka jest dusza, a ciało jej więzieniem, zaczyna mówić o jego zmartwychwstaniu, chociaż wie, że taka teza w oczach filozofów wywoła drwiny. Ten sam Paweł przekazuje nam prawdę, że ciało jest świątynią Ducha Świętego itd.

Chrześcijaństwo rozpoczyna się od faktu wcielenia. Właśnie ta szokująca prawda stoi u jego podstaw: Słowo, które jest u Boga i które jest Bogiem, stało się Ciałem. Ciało Chrystusa trzeciego dnia zmartwychwstało, stało się uwielbione, dostąpiło udziału w życiu Bożym. Co ciekawe, pierwsze herezje chrystologiczne nie dotyczyły bóstwa Chrystusa – które dla chrześcijan było oczywiste – ale realności Jego natury cielesnej. I właśnie te herezje są bardzo jaskrawym poświadczeniem, że cielesność od początku nie była dla chrześcijan czymś marginalnym. Oto bowiem na herezję zwaną doketyzmem – która głosiła, że Chrystus nie posiadał prawdziwego ludzkiego ciała, a jedynie ciało pozorne – Kościół zareagował niezwykle szybko i niezwykle wyraźnie. To właśnie w odpowiedzi na ten fałsz św. Jan w swoim Pierwszym Liście jasno twierdzi, że ten jest antychrystem, kto zaprzecza, jakoby Chrystus przyszedł w ciele (por. 1 J 4, 2-3).

Ciało jako przyczyna buntu szatana

Co ciekawe, tradycja chrześcijańska właśnie w wywyższeniu i godności ludzkiego ciała w fackie wcielenia upatrywała powodu buntu szatana. Niektórzy ojcowie Kościoła twierdzili, że upadek złego ducha był spowodowany poznaniem prawdy o mającym dokonać się w pla-

nach Bożych wcieleniu. Zły duch, który został stworzony przez Boga jako dobry anioł, nie tyle przeciwstawił się Bogu, ile odmówił wywyższenia cielesnego człowieka – istoty w jego mniemaniu niższej, właśnie ze względu na cielesność. Innymi słowy, szatan nie zbuntował się przeciwko samemu Bogu, ale przeciwko Bogu wcielonemu – odmówił oddania pokłonu Temu, który miał stać się Ciałem. I być może ta pobudka – reprezentowana przez niektórych Ojców Kościoła i stanowiąca zaledwie jedną z tradycji opowiadających o buncie aniołów – tłumaczy, dlaczego w Kościele nieprzyjaciel rodzaju ludzkiego nieustannie wznieca pokusy prowadzące do deprecjonowania ciała.

Eucharystia – Ciało Pańskie

Ciało jednak stanowi w chrześcijaństwie zasadę uniwersalną – w zjednoczeniu z tym, co duchowe. Źródłem i szczytem życia Kościoła jest wszak Eucharystia – Ciało Pańskie. Chociaż Chrystus czyni wiarę i chrzest warunkiem podstawowym zbawienia, to jednak zaznacza, że nie może mieć życia w sobie ten, kto nie spożywa Jego Ciała. Symptomatyczny jest fakt, że zbawienie nie zależy jedynie od moralności (uczynków) ani od samej nagiej wiary, ale domaga się chrztu, który de facto jest aktem włączenia w Mistyczne Ciało Chrystusa, natomiast szczytem owego wcielenia i wtajemniczenia jest komunika, czyli spożywanie i przyjmowanie Ciała Pańskiego. I chociaż wiemy, że pod postacią Chleba w Eucharystii obecny jest cały Chrystus, to Kościół zaznacza, że Chrystusowe Ciało czcimy nie tylko w tym biblijnym znaczeniu, w którym oznacza ono całą osobę, ale że samo Ciało Chrystusa, ciało, które co do natury dzieli On z nami – ludźmi, jest godne czci i uwielbienia. I to właśnie ciało, które Syn Boży przyjął i uświęcił, również w nas – ludziach – ma być uświęcone.

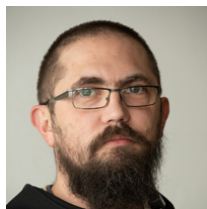
Kościół

Zasada cielesności uświęconej jest zatem zasadą uniwersalną i fundamentalną. Dotyczy ona nade wszystko konstytucji samego Kościoła. Kościół, jak często dzisiaj się podkreśla, jest Ludem Bożym, co oznacza, że jest wspólnotą nie tylko ludzką, ale bosko-ludzką. Jednak najdoskonalsze określenie Kościoła, jak wskazuje na to Magisterium, to nie miano Ludu Bożego, ale nazwanie go Ciałem Mistycznym Chrystusa. Kościół zatem ma łączność z Chrystusem i może nas do Niego prowadzić oraz z Nim jednoczyć nie tylko dlatego, że jest obdarzony Duchem Świętym – Duchem Chrystusa, ale także dlatego, że jest współczesny ze Zbawicielem.

Kiedy w epoce nowożytnej pojawiły się tezy sprowadzające Kościół do wspólnoty duchowej – czyli ludzi, którzy połączeni są jednym Duchem – Magisterium zareagowało, podkreślając, że prawdą wiary jest, iż do konstytucji Kościoła należy jego cielesność. Dlatego nie można oddzielić w Kościele pierwiastka duchowego od pierwiastka cielesnego (jego ludzkiej, instytucjonalnej i hierarchicznej struktury). Z tego względu nie można powiedzieć, że Kościół nie ma jasnych granic i właściwie urzeczywistnia się także poza obrębem instytucjonalnego Kościoła katolickiego.

Oczywiste powiązania

Ta zasada rodzi kolejne cielesne aspekty duchowości. Właśnie z tego powodu ciało zawsze jest zaangażowane w akty duchowe. To naprawdę nie jest obojętne, czy modlimy się z postawą ciała wyrażającą nabożną cześć, czy z postawą wyrażającą coś zupełnie innego. Gesty cielesne nie są w Kościele przejawem skostnienia i braku ducha, ale okazją do głębokiego wyrażenia ducha sięgającego istoty naszego jestestwa. Podobnie rzecz ma się z Liturgią – nie jest ona i nie



o. JAN P.
STRUMIŁOWSKI
OCist

Dr hab. teologii dogmatycznej,
wykładowca WSD w Kielcach
oraz WSD
w Katowicach-Panewnikach

może być aktem jedynie duchowym, ani też to, co w niej cielesne i materialne, nie może być deprecjonowane czy marginalizowane, gdyż w ten sposób tak naprawdę krępujemy i deformujemy ducha.

Moglibyśmy wskazać jeszcze wiele innych konsekwencji wywyższenia i dowartościowania cielesności w Kościele, takich jak część oddawana relikwiom, pieczołowitość w estetycznym kształtowaniu świątyń – korespondujących w swojej budowie i dostojności z uwielbionym

Ciałem Pańskim – czy nabożne obchodzenie się z ludzkim ciałem, już pozbawionym tchnienia ducha, a jednak oczekującym na zmartwychwstanie. Istotniejsze jest jednak w tym kontekście powrócenie do naszego pierwotnego problemu. Czy zatem w obliczu tak dowartościowanej cielesności Kościoła w swojej praktyce ascetycznej zapomniał o tym fakcie?

Rozwój doktryny

W praktyce chrześcijan pierwszych wieków możemy dostrzec pewne surowe, a zarazem wyostrome podejście do kwestii ciała. Z jednej strony mogły mieć tu znaczenie tendencje gnostyckie. Jednak nawet ci, którzy byli zdeklarowanymi przeciwnikami gnozy, nigdy nie traktowali ciała jako czegoś, co należało bezwzględnie afirmować i w czym nie należało upatrywać przestrzeni walki z duchem. Działo się tak z innej przyczyny niż wpływy gnostyckie.

W istocie chrześcijańska walka między ciałem a duchem nie jest zmaganiem między dwoma elementami natury ludzkiej. Jest to walka człowieka obdarzonego Duchem Świętym z pożądliwością, która jest skutkiem grzechu pierworodnego. Katolicka antropologia jasno stwierdza, że natura ludzka, jako stworzona przez Boga, jest dobra. Jednak ze względu na grzech pierworodny została skażona i osłabiona. Jednym ze skutków grzechu jest pożądliwość – rozumiana nie tylko w sensie seksualnym, ale także jako skłonność do grzechu. Doktryna katolicka naucza, że natura ludzka sama w sobie – obejmująca zarówno duszę, jak i ciało – jest dobra. Natomiast grzech i skłonność do grzechu są czymś jej obcym. Ten obcy element tak głęboko zagnieździł się w ludzkiej naturze, że możemy błędnie odnieść wrażenie, iż skłonność do grzechu lub sam grzech



Fot. Adobe Stock

stanowią jej część. Tradycja chrześcijańska jest jednak jednoznaczna: grzech i skłonność do niego są w najwyższym stopniu przeciwne naturze, jaką stworzył Bóg. Walka ascetyczna chrześcijanina nie jest więc walką z cielesnością, lecz z jej skażeniem. Skażenie to jest jednak tak gruntowne, że można powiedzieć, iż „mieszka” ono w naszym ciele. Ciało po grzechu stało się jakby siedliskiem złych skłonności. Walczyć z pożądliwością możemy jednak dzięki temu, że przez wszczęcie w Chrystusa zostaliśmy obdarowani Duchem Chrystusowym, co umożliwia nam życie według Niego. Zatem życie według ciała, o którym pisze św. Paweł, to życie według natury dotkniętej grzechem, według pożądliwości. Natomiast życie według Ducha to życie w oddaniu Bogu i według miary, jaką jest samo życie Boże. Stąd św. Paweł twierdzi, że między ciałem a duchem nie ma zgody – przy czym należy zaznaczyć, że nie chodzi tutaj o dychotomię między sferą cielesną a duszą, ale między pożądliwością a świętością. Człowiek może podporządkowywać się grzesznym skłonnościom (życie według ciała) bądź Duchowi Świętemu (życie według Ducha).

Z tej perspektywy wyłania się konkretne, dwuaspektowe spojrzenie na ciało. Po pierwsze, w wizji chrześcijańskiej jest ono święte – jest świątynią Ducha Świętego. Jego przeznaczeniem jest zmartwychwstanie. Niestety, ze względu na grzech zostało dotknięte jego skutkami. Jednak ze względu na świętość nie wolno pozostawić go grzechowi ani wydać na jego pastwę. O ciało należy walczyć dla Boga i świętości – to właśnie stanowi sam rdzeń chrześcijańskiej ascezy.

Po drugie, ciało nie jest jedynie przypadkowym elementem bytu ludzkiego. Nie jest tylko powłoką, w której kryje się to, co istotne. Człowiek nie tyle *ma* ciało, co *jest* ciałem. Dlatego Biblia często stosuje zamiennie terminy „człowiek” i „ciało”. A jeśli ciało jest tak istotne dla człowieka, może ono być także czynnikiem determinującym. To, co kryje się w cielesności, może go po prostu zdominować. Seksualność zatem nie jest marginalnym aspektem ludzkie-

go życia duchowego. Jest tym, co szczególnie upodabnia nas do Boga. Św. Tomasz z Akwinu, uznając, że anioł co do natury jest bytem wyższym od człowieka, twierdził, że człowiek przewyższa go w podobieństwie do Boga, gdyż w człowieku jest rodzenie, które jest także w Bogu (Ojciec odwiecznie rodzi Syna) – czego nie posiada natura anielska. Przez seksualność zintegrowaną i ukierunkowaną na akt rodzenia nowego życia człowiek okazuje się szczególnie podobny do Boga i uczestniczy w Jego akcie stwórczym. Jednakże z tego samego powodu seksualność jest siłą, która nieokiełznana i niepodporządkowana Duchowi może człowieka pochłonąć – a jeśli poddana jest grzechowi, może go zniszczyć. Kościół zawsze był świadomy zarówno świętości, jak i siły cielesności ludzkiej, dlatego też zalecał wobec niej ostrożność i święty szacunek.

Ciało zatem w Kościele budzi podziw i szacunek, ale jednocześnie także pewien lęk i obawę. Co więcej, chrześcijańskie spojrzenie pozwala jasno stwierdzić, że świat, który zarzuca Kościołowi lęk przed cielesnością i jej ograniczanie, świat, który poprzez rewolucję seksualną rzekomo pragnie wyzwolić ciało, tak naprawdę je poniża. Czymże bowiem jest sprowadzanie cielesności jedynie do przyjemności czy chociażby do budowania relacji z wyłączeniem aktu przekazywania nowego życia? Czym jest odseparowanie cielesnego aktu płciowego od duchowości? Czym w końcu jest traktowanie ciała jako powłoki, która może być nietożsama z wewnętrznym „ja”? Którą można dowolnie modyfikować operacjami w ramach tranzycji? Czym jest ciało, które nie jest postrzegane jako służące człowieczeństwu, lecz które rzekomo ogranicza i krępuje prawdziwe „ja”?

Wydaje się, że Kościół w swojej historii niejednokrotnie zmagał się z nurtami deprecjonującymi ciało. Gnoza jednak nie była najbardziej radykalnym z tych nurtów. Obecne ideologie, tak mocno skoncentrowane na kwestiach cielesności, wydają się jeszcze bardziej godzić w godność ludzkiego ciała.

Asceza – narodziny nowego człowieka

Co nam przychodzi do głowy, gdy słyszymy słowo asceza? Pokuta? Umartwienie? Coś nieprzyjemnego, przykrego? Rezygnacja z czegoś? A może coś pozytywnego? Czym asceza właściwie jest? Czym nie jest? Ten krótki tekst będzie próbą odpowiedzi na te pytania.

Próba definicji

Grecki czasownik *askeo* można tłumaczyć m.in. jako praktykować, uprawiać, ćwiczyć, trenować. Rzeczownik *askesis* może oznaczać ćwiczenie, praktykowanie, uprawianie, tryb życia, ascezę. Przymiotnik *asketikos* oznacza np. pracowity lub ascetyczny.

Etymologia tych greckich słów ukazuje nam, że asceza to nie jest wyrzeczenie się, ale nauczenie się jakiejś umiejętności. To podjęcie pewnej praktyki, określonego treningu, a nawet trybu życia. To wprowadzenie zmiany w życiu. To nawet rozpoczęcie nowego życia. Po co? Przede wszystkim – żeby być bliżej Boga poprzez nawrócenie. Inne przyczyny, a zarazem skutki, to poznanie siebie, bycie wolnym, dokonanie pozytywnej zmiany w swoim życiu (co w chrześcijaństwie wiąże się również z nawróceniem, czyli polega głównie na zerwaniu z grzechem).

Biorąc to pod uwagę, Amedeo Cencini FdCC podkreśla, że „asceza nie ma nic wspólnego z rezygnacją. Asceza wyraża zainteresowanie osoby, która chce się nauczyć czegoś, co jest dla niej ważne, co jest w centrum jej uwagi, co jej leży na sercu. Dlatego ćwiczy, bo żeby się czegoś nauczyć, trzeba przejść pewną drogę. Trzeba trenować. Trzeba mieć pokorę i powtarzać określone gesty. To jest asceza. Zatem nie ma ona nic wspólnego z ideą negatywną pokuty

czy wyrzeczenia. Dlatego ascetą nie jest ktoś, kto rezygnuje, ale ktoś, kto nauczył się jakiejś umiejętności”.

Teraźniejsze problemy

Takie spojrzenie na ascezę jest dzisiaj rzadko spotykane. Nie usłyszysz się tego raczej w parafialnych kazaniach. Asceza traktowana jest jako praktyka umartwienia, robienia czegoś nieprzyjemnego. Jej sens nie do końca jest zrozumiały dla współczesnego katolika. Różne praktyki ascetyczne są widziane jako element wyrzeczenia, a nie nauczenia się czegoś nowego. Tymczasem o. Cencini wskazuje, że asceza polega przede wszystkim na nauczeniu się czegoś nowego. Warto podjąć refleksję nad naszymi praktykami duchowymi i zobaczyć, ile jest w nich miejsca na rozwój duchowy i osobisty, a ile widzimy tylko umartwienia.

W podobnym tonie wypowiada się również Jerzy Gogola OCD, który stwierdza, że „na ascezę z punktu widzenia jej istoty składa się kilka ściśle ze sobą powiązanych elementów: ćwiczenie, a więc systematyczny i stały wysiłek; wysiłek ten ma na celu zdobycie jakiejś sprawności, by móc łatwiej wykonywać daną czynność, co wymaga trudu, wyrzeczenia i przewyciężenia siebie”. Warto dostrzec to rozumienie ascezy jako praktyki wymagającej ćwiczenia, treningu oraz podjęcia określonego wysiłku.

Przykłady

Mamy zatem konkretne wskazania, jak należy rozumieć ascezę i czym ona jest. Jakie natomiast moglibyśmy podać przykłady jej praktycznego zastosowania? Najpopularniejszą podejmowaną praktyką ascetyczną jest post. Polega on m.in. na powstrzymaniu się od pokarmów mięsnych w określonych przypadkach, ograniczaniu ilości spożywanych posiłków czy powstrzymaniu się od spożywania konkretnych produktów, do których ktoś ma słabość (np. słodczyce). Te praktyki mają pomóc człowiekowi zapanować nad sobą. Inną praktyką ascetyczną (choć nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę) może być praca, zarówno fizyczna, jak i umysłowa. Dlaczego? Pamiętajmy, że praca jest podstawowym powołaniem każdego człowieka. To udział w stwórczym dziele Boga. Jest przedłużeniem dzieła stworzenia oraz środkiem do rozwinięcia naszych ludzkich zdolności. Praca umysłowa związana jest z uczeniem się, co dla niektórych też może stanowić znaczny wysiłek i wyrzeczenie.

Kolejnym aspektem ascezy może być wierne i systematyczne wypełnianie swoich obowiązków (domowych, rodzinnych, zawodowych itp.). One powodują, że należy oderwać się od siebie, od swojego „ja”, skupić się na czymś innym, mieć na uwadze drugiego człowieka. Niekiedy to wierne wypełnianie obowiązków stanowi dla kogoś największe wyzwanie, nawet większe niż post. Dzisiaj w naszej kulturze promuje się zachowania stawiające na indywidualność, niezależność, troszczenie się o siebie. To może przeszkadzać w służbie innym ludziom, współpracy z innymi i rezygnacji z własnych potrzeb na rzecz dobra wspólnego.

Ascezą może być także wytrwale przestrzeganie przykazań, gorliwa modlitwa czy ćwiczenie

się w pokorze. Zagadnienie walki duchowej, z grzechami, nawrócenie to również przedmiot ascezy. To, co oddala człowieka od Boga, wymaga przemiany, naprawienia. Różne podejmowane wysiłki, aby to zmienić, mogą mieć formę ascezy. To pokonywanie w sobie starego człowieka, aby nowy mógł się narodzić (por. Ef 4, 22-24).

Równowaga

Bez względu na to, jakie podejmiemy praktyki ascetyczne, w tych działaniach potrzebne jest zachowanie normalności i zrównoważonego podejścia. Nie można się skupiać tylko na nierobieniu czegoś lub podejmowaniu określonych czynności, bez wsparcia modlitwy. Nie powinno się też polegać wyłącznie na tej drugiej, niejako zrzucając odpowiedzialność z siebie samego na Boga. Łaska potrzebuje współpracy z człowiekiem i jego pozytywnej odpowiedzi. Jak to zrobić? Spójrzmy na naukę Ojców monastycznych.

„Pytano abba Agatona, co jest lepsze: asceza fizyczna czy czujność wewnętrzna. Odrzekł starzec: «Człowiek jest jak drzewo: asceza fizyczna to liście, a czujność wewnętrzna to owoc. A ponieważ, jak napisano, *każde drzewo, które nie rodzi dobrego owocu, będzie wycięte i w ogień wrzucone* (por. Mt 3, 10) –



Ojcowie Pustyni, fresk w cerkwi monasteru Golia

więc oczywiście celem wszystkich naszych wysiłków jest owoc, czyli czujność duchowa. I liści jednak trzeba pilnować i dbać o nie, to znaczy o zewnętrzną ascezę”.

W tym tekście widać podejście do praktyk duchowych w sposób całościowy, zadbanie o każdą sferę życia ludzkiego. Było troską mnichów, aby połączyć życie modlitwy z pracą i z innymi aktywnościami. Żadne nie może stać się wyłączone. Potrzeba równowagi w życiu, aby nie popaść w różne skrajności. Służyć temu ma uważność, bez której nie da się tego osiągnąć.

Kiedy myślimy, że asceza to umartwienie swojego ciała, to powyższy przykład pokazuje, że tak nie jest. Asceza ma służyć rozwojowi duchowemu i osiągnięciu wolności. O zdrowym podejściu do ciała uczą jeszcze inne Apoftegmaty Ojców Pustyni:

„Powiedział też, że są ludzie, którzy wyniszczyli ascezą swoje ciało, ale ponieważ zabrakło im roztropności, oddalili się od Boga”.

„Abba Izaak odwiedził abba Pojmena i zobaczył, że on sobie polewał nogi odrobiną wody. A że miał śmiałość do niego, zapytał: «Dlaczego inni praktykują surowość i twardo się obchodzą z własnym ciałem?». I odrzekł mu abba Pojmen: «Nas nie uczono zabijać ciało, ale zabijać namiętności»”.

„I to powiedział: Wszelka przesada pochodzi od diabła”.

Te opowiadania dobrze ilustrują pozytywne podejście do ludzkiego ciała, sens ascezy i zachowanie umiaru w praktykach duchowych. Jeżeli wiemy, po co podejmujemy dane działanie, to będziemy potrafili zachować normalność i nie przesadzić w żadną stronę. Nie można jednak zapomnieć o tym, że asceza ma przede wszystkim zbliżyć człowieka do Boga, pomóc mu w rozwijaniu relacji z Nim.

Cel

Praktyki ascetyczne mają na celu nie tylko zdobycie jakiejś umiejętności, osiągnięcie wolności, ale pójście drogą przemiany życia, czyli nawrócenia. „Sensem ascezy jest rozrywanie tego, co nierzeczywiste, pozorne, tego, co urojone, dla ukazania Rzeczywistości (Boga). Jest to przechodzenie od obrazu do Rzeczywistości. (...) Osiągnięcie Boga, który jest Bogiem poza wszelkim wyobrażeniem – i tego właśnie Bóg chce nauczyć człowieka – zakłada odwołanie się do sposobu, który przekracza to, co normalne, lecz sposobu zawsze przyjmowanego z miłością. To wyrzeczenie się obrazów jest rozdarciem całej naszej istoty. Takie radykalne przekreślenie tego, co stworzone, co św. Paweł wyraził: *Dla Niego wyzułem się ze wszystkiego* (Flp 3, 8), to jest nada (nic) św. Jana od Krzyża”.



o. BRUNON KONIECKO OSB

Benedyktyn tyniecki, mgr administracji i teologii, rekolekjonista, prezes Fundacji Chronić Dobro, założyciel i redaktor portalu modlitwajezusowa.com.pl

Mnich benedyktyński bardzo pięknie ukazuje cel ascezy – przejście od obrazu do Rzeczywistości, rozrywanie tego, co urojone. Nasze obrazy, nasze sposoby pojmowania świata, nasze sposoby myślenia nie raz są tak dalekie od rzeczywistości, że pogrążamy się w iluzji, żyjemy w świecie fantazji, marzeń, a nie realizmu. Mamy się nauczyć Boga, który jest ponad wszelkim wyobrażeniem człowieka.

Zatem asceza nie jest wyrzeczeniem się czegoś, ale nauczeniem się określonej umiejętności, dochodzeniem do wolności. Nie jest występowaniem w jakichś zawodach, aby zdobyć nagrody i światową sławę. Nie jest tym bardziej jakimś wyczynem w życiu duchowym. Asceza chrześcijańska na pierwszym miejscu stawia Boga, a nie Jego dary czy cokolwiek innego. Jej celem jest uczynienie człowieka wolnym, aby mógł przyjąć miłość Boga i w pełni na nią odpowiedzieć. Oznacza to bycie wolnym wobec rzeczy tego świata, wobec własnego ciała czy wobec własnego „ja”.

Jak zmienił się świat po pigułce

W 1960 roku na rynek w USA weszła pigułka antykoncepcyjna. Zdaniem Mary Eberstadt, amerykańskiej publicystki od lat zajmującej się sprawami społecznymi, żaden inny wynalazek XX wieku nie dokonał równie głębokiej i równie druzgocącej przemiany społecznej.

Życie i seks

Przyjrzyjmy się sprawie najpierw od strony nauk matematyczno-przyrodniczych. Czym jest życie? Szeregiem procesów chemicznych i fizycznych, nieraz o dużym stopniu skomplikowania. Do wszystkich tych procesów potrzebna jest energia. W świecie przyrody ożywionej mamy generalnie do czynienia z deficytem energii. Zwierzęta starają się ją pozyskać i oszczędnie nią gospodarować. Każdy z posiadaczy czworonogów wie, że pies, kiedy jest najejzony i czuje się bezpiecznie, to najczęściej po prostu śpi. Oszczędza energię. Czynności związane z rozmnażaniem płciowym, akt kopulacji i poprzedzające go, nieraz bardzo rozbudowane rytuały godowe to znaczny jej wydatek. Z perspektywy osobniczej jest to strata, która powinna być w pewien sposób zrekompensowana, tak by osobnik był skłonny podejmować jakąkolwiek aktywność seksualną. Stąd towarzyszące jej intensywne uczucie przyjemności. To dzięki niemu aktywność seksualna jest w ogóle podejmowana i następuje rozmnażanie. Ta ogólna zasada, podana w nieco uproszczonej formie na potrzeby naszego tekstu, dotyczy również ludzi.

Człowiek należy do nielicznych gatunków, u których nie ma wyraźnego okresu godowego. Albo inaczej – okres godowy trwa okrągły rok. U większości relacje seksualne między osobnikami męskimi i żeńskimi aktywizują się tylko w czasie, gdy samice wchodzą w stan pozwalający na poczęcie i danie nowego życia. Bywa

i tak, jak chociażby w przypadku niedźwiedzi, że osobniki męskie i żeńskie przez cały rok żyją z dala od siebie, odnosząc się do siebie nawzajem wrogo – niedźwiedzica atakuje samca, który wkroczył na jej terytorium. Spotykają się na krótko, tylko podczas rui, by dokonać aktu kopulacji, i dalej podążają własnymi ścieżkami. Z ludźmi tak nie jest. Kobieta i mężczyzna mogą współżyć zarówno w okresie płodnym, co może prowadzić do poczęcia, jak i w czasie gdy kobieta nie jest w stanie zająć się ciążą. W obu przypadkach mogą czerpać z seksu znaczną satysfakcję. Do aktywności popycha ich instykt przedłużenia gatunku. Zaznaczmy od razu – instykt ten sam w sobie jest bardzo dobry, gdyż tylko dzięki niemu zarówno piszący te słowa, jak i Szanowni Czytelnicy znajdują się na świecie, a jak doskonale wiemy już z klasycznej filozofii, byt jest lepszy od niebytu.

Sytuację komplikuje fakt, że o ile sama aktywność seksualna dostarcza niewątpliwie bardzo intensywnych, przyjemnych doznań – i to jest ten bonus za wydatek energii, to jednocześnie konsekwencje natury biologicznej już tak jednoznacznie przyjemne nie są. W pierwszej kolejności nie są przyjemne dla kobiety. Ciąża trwa dość długo, poród jest bolesny i wiąże się z pewnym ryzykiem. Opieka nad małym dzieckiem jest bardzo pochłaniająca, a i wychowywanie starszego dziecka również kosztuje wiele czasu i wysiłku. Dla mężczyzny sprawy związane z ojcostwem także wiążą się z pewnymi uciążliwościami, jakbyśmy się wyrazili

– czy to finansowymi, czy w postaci ograniczenia swobody i aktywności. Jakby na sprawę nie patrzeć, posiadanie dzieci – oczywista konsekwencja aktywności seksualnej – oznacza większe lub mniejsze wyrzeczenia. Nie powinno więc dziwić, że ludzie od najdawniejszych czasów szukali sposobów, jak oddzielić funkcję rekreacyjną seksu od prokreacyjnej i czerpać przyjemność, nie ponosząc konsekwencji w postaci pojawienia się nowego życia. Stosowano najróżniejsze mikstury czy wyciągi ziołowe, mające zapobiegać zachodzeniu w ciążę, lub znacznie częściej substancje lub zabiegi mające już powstałe życie przerwać. Była to niejako część zawodu rzymskich prostytutek czy jeden z sekretów dam z wyższej sfery, pragnących cieszyć się swobodą seksualną. W różnych kulturach i w różnych okresach rozmaicie oceniano zarówno antykoncepcję, jak i aborcję, będącą naturalną konsekwencją rekreacyjnego seksu. Kościół katolicki zawsze miał w stosunku do tych praktyk ocenę negatywną, różnice pomiędzy autorami poruszającymi ten temat wynikały co najwyżej z oceny stopnia szkodliwości antykoncepcji.

Więcej seksu, więcej szczęścia

Na początku lat sześćdziesiątych w USA udało się wyprodukować i wprowadzić na rynek pierwszy preparat antykoncepcyjny, zwany potocznie pigułką, o wysokim stopniu skuteczności. Zbiegło się to w czasie – zadziwiająca swoją drogą koincydencja – z szeregiem przemian kulturowych, zwanych rewolucją seksualną. Teoretycy tej rewolucji, przedstawiciele szkoły frankfurckiej, już od lat czterdziestych dość skutecznie infekowali środowiska uniwersyteckie i opiniotwórcze swoimi pomysłami. Theodor Adorno, Herbert Marcuse czy Max Horkheimer, zwłaszcza ostatni z wymienionych, otrzymali w postaci pigułki niesamowite wsparcie. Oto po raz pierwszy kobietom i mężczyznom złożono konkretną propozycję – możecie cieszyć się bez skrupowania satysfakcją płynącą z seksu, nie będziecie się musieli martwić konsekwencjami w postaci poczęcia dziecka, zdjęliśmy z was kajdany, które nałożyła wam biologia i opresyjna, patriarchalna kultura. Dzisiaj jesteśmy bogatsi o ponad pół wieku doświadczenia i możemy ocenić skutki rewo-



Fot. Adobe Stock

lucji seksualnej w skali społecznej. Dla jej zwolenników są one jednoznacznie pozytywne. Nie chcą oni dostrzegać kosztów zmian, a tych jest niestety немало. Mary Eberstadt w wydanej w 2012 roku książce (wydanie polskie w 2019 – red.) *Adam i Ewa po pigułce. Paradoksy rewolucji seksualnej* zestawia najważniejsze obszary, w których pigułka poczyniła spustoszenia. Rewolucja seksualna i jej wierna służka – pigułka miały przynieść ludziom, a zwłaszcza kobietom, szczęście dzięki czerpaniu przyjemności z seksu. Nie przyniosły. Orędownicy rewolucji jakby zapomnieli doświadczeń starożytnych z hedonizmem. W VI wieku przed Chrystusem Arystyp z Cyreny, jeden z uczniów Sokratesa, stworzył system filozofii życiowej utożsamiający dobro z przyjemnością. Należy, zdaniem Arystypa, dążyć do uzyskiwania jak najwięcej przyjemności zmysłowej, gdzie się tylko da. Stosunkowo szybko okazało się, że system ten nie da się konsekwentnie utrzymać, zaś dążenie do przyjemności zmysłowych bardzo często przynosi szybkie skutki w postaci nieprzyjemności – obżarstwo skutkuje niestrawnością, upijanie się bólem głowy i tak dalej. W rezultacie Epikur, twórca najbardziej dojrzałej postaci hedonizmu, uznał, że przyjemny jest w zasadzie sam brak doznań przykrych i zalecał raczej życie skromne i pełne umiaru niż pogoń za rozkoszami, która w rezultacie skutkuje pasmem przykrych konsekwencji. Niepomni na to dziedzictwo antyku orędownicy rewolucji seksualnej zachęcali ludzi do szukania szczęścia w nieskrępowanym czerpaniu przyjemności z aktów seksualnych. Jednak dane statystyczne pozostają nieubłagane – liczba osób w rozwiniętych społeczeństwach Zachodu deklarujących się jako szczęśliwe, zwłaszcza jeśli chodzi o szczęśliwe kobiety, stale spada. Maleje też, co może wyglądać w pierwszej chwili na paradoks, ogólna aktywność seksualna społeczeństwa. To, co miało przynieść

szczęście, w rezultacie prowadzi do nieszczęścia. Można się zastanowić, czy społeczeństwa rozwiniętego Zachodu podążają w stronę wizji nakreślonej w książce Michela Houellebecka *Możliwość wyspy*. Jest to ponura wizja społeczeństwa, w którym przyjemność czerpana z aktu seksualnego nie stanowi już nawet przyjemności najwyższej. Stanowi przyjemność JEDYNĄ. Bardzo znamienym i bardzo wymownym faktem w książce Houellebecka pozostaje to, że główny bohater oraz spora część pozostałych osób popełniają samobójstwa. Nie ma po co żyć w tym niewesołym świecie.

Oszukani



MARCIN BĄK

Dziennikarz TV Republika,
popularyzator historii

Dzisiaj wiemy już, że oderwanie seksu od prokreacji pociągnęło za sobą szereg bardzo negatywnych skutków, tak w skali jednostek, jak i całego społeczeństwa. Oprócz wspomnianego już braku poczucia szczęścia, są to w pierwszej kolejności rozkład instytucji małżeństwa i cały łańcuch skutków, które on za sobą pociąga: większa liczba dzieci wychowywanych przez samotne matki lub dzieci z rozbitych rodzin, większa liczba ciąż u nastolatek, większa liczba aborcji, większa liczba młodych osób z problemami psychicznymi, dającymi się powiązać z ich nieuporządkowanym życiem seksualnym. Wyniki badań prowadzonych na przestrzeni ostatnich sześćdziesięciu lat są dostępne i nie pozostawiają żadnych złudzeń. Jednak piewcy rewolucji seksualnej albo je ignorują, albo starają się tłumaczyć, że to jest jeszcze wciąż faza „bólów porodowych” nowego, lepszego świata. Potrzeba, ich zdaniem, jeszcze więcej nieskrępowanego seksu. Dlaczego, mimo dość dobrze udokumentowanych, jednoznacznie negatywnych efektów zmian w sferze seksualnej, pozostajemy jako społeczeństwa ślepi na fakty? No cóż, być może dlatego, że człowieka łatwiej oszukać, niż przekonać, że został oszukany.

Jak przekazać teologię ciała młodym?

Ostatnią rzeczą, w jaką młodzież dziś uwierzy, szczególnie w kontekście swojej seksualności, jest lista zakazów i nakazów, które możemy jej zaproponować w tym temacie. Już kilkadziesiąt lat temu młodzi nie kupowali tej retoryki, nie przekonuje ona także dziś. I trudno się dziwić.

1. Dawaj świadectwo!

Młodzi nie potrzebują listy „rzeczy dozwolonych” i „nie dozwolonych”, oni potrzebują zrozumienia i wiedzy. Nikogo już dziś nie przekonają stwierdzenia, że seks przed ślubem jest zły, bo tak po prostu jest i już. Nie, nie ma szans. Ale już zasugerowanie, że każdy człowiek jest wolny i godny miłości, więc nie należy się nim bawić, może poprowadzić do refleksji. A fakt, że nikt, ani młode dziewczyny, ani młodzi mężczyźni, nie chcą być traktowani instrumentalnie, przedmiotowo, nikt nie chce być wykorzystany, daje przestrzeń do rozmowy i dialogu. Młodzi są wyculeni na fałsz. To dlatego nie przekonuje ich dziś Kościół, który jest depozytorem „właściwej” czy „poprawnej” etyki seksualnej, a sam ma problem w tym temacie. Niejednokrotnie na warsztatach z teologii ciała słyszę, że Kościół głosi prawdy, którymi nie żyje. Oczywiście nie jest to żaden powód, aby siebie usprawiedliwiać, ale młody człowiek będzie bacznie obserwował i wytykał każde nadużycie i nic na to nie poradzimy. Dlatego warto powiedzieć im także: słuchaj, Biblia naprawdę ma odpowiedź na każde pytanie człowieka, a przypadki, że niekiedy osoby duchowne z tego nie korzystają, nie dyskwalifikują mądrości i prawdy Pisma Świętego. Młodzi lubią być w kontrze. I tutaj Biblia, czy-

taj teologia ciała, także świetnie wpisuje się w kontrkulturę. Świat mówi, że źródłem napięcia pomiędzy kobietą i mężczyzną jest istnienie płci, więc co trzeba zrobić, aby to napięcie zlikwidować? Najlepiej zakwestionować, zlikwidować płć. Tylko że to niczego, jak pokazuje doświadczenie, nie rozwiązuje. A co na to teologia ciała? Płć, człowieku, jest dobra! Jak wszystko, co stworzył Bóg. Problemem nie jest nasza biologia, problemem jest nasz grzech. Świat nie chce słuchać o grzechu? Zamień sobie to słowo na egoizm. Ono już nie będzie ci tak obce. Egoizm dotyka w równej mierze kobiet i mężczyzn. Zamiast snuć analityczne teorie, pokaż młodym prawdziwe historie ludzi, którym teologia ciała uratowała małżeństwo, relację, a także samo ciało.



**MAGDALENA
SIEMION**

Doktor filozofii, dziennikarka.
Na Facebooku prowadzi grupę
„Teologia ciała działa”

2. Słuchaj, co chcemy ci powiedzieć!

Moje kilkunastoletnie już doświadczenie w pracy z młodzieżą pokazuje, że jedyne, czego oczekują, to właśnie być wysłuchanym i potraktowanym poważnie. Młodzież chce poczuć się równym partnerem w rozmowie. Oni chcą wiedzieć, że ich problemy są dla nas, dorosłych, ważne. Tutaj delikatnie można podsunąć im sylwetkę Jana Pawła II, bo to właśnie on był kimś takim dla młodych swoich czasów. Potrafił ich słuchać, a oni traktowali go jak kogoś, komu



Warsztaty z teologii ciała

można i warto zaufać. Widzieli, że ten ksiądz ma pewne sprawy przemyślane, że niczego im nie narzuca, nie chce ich ani oszukać, ani nimi manipulować, ani do niczego zmuszać. Wszystko, co podpowiada, jest pewną propozycją, więcej nawet, wolnością. Ówcześni młodzi doskonale to wyczuwali. Zresztą młody ksiądz Wojtyła nigdy nie dawał gotowców. On właśnie młodym zadawał pytania, podprowadzał ich pod pewne sprawy, rozwiązania. I tu święty może być inspiracją także dla nas, dorosłych. Zamiast młodzież strofować i na nią narzekać, może lepiej usiąść i po prostu posłuchać, co ma nam do powiedzenia. Niekoniecznie udzielając cennych lub mniej cennych odpowiedzi. Młodzi nie są ani bardziej zepsuci niż poprzednie pokolenia, ani bardziej święci. Są tacy, na jakich ich wychowaliśmy. Nie jest prawdą, że nie są zainteresowani pomysłem Pana Boga na człowieka. Są. Jednak forma ma znaczenie.

3. Jesteś kochany, jesteś ważny

Szesnastolatka, która zrobi wszystko, by wyglądać jak jej idolka z Instagrama; która od wielu dni jest na ostrej diecie, bo chce osiągnąć jej wymiary, a przez to zawała naukę, potrzebuje usłyszeć, że jest wystarczająca i piękna taka, jaka jest; że jest wartościowa; że nie musi niczego w sobie zmieniać, poprawiać, nic nikomu udowadniać. „Jesteś wystarczająca, gdy jesteś sobą”. Ale co zrobić, gdy młoda dziewczyna nigdy nie usłyszy tego od swojej mamy, a dorastający chłopak nigdy wzoru męskości nie dostanie od swojego ojca? Muszą to usłyszeć od kogoś innego. Muszą wiedzieć, kim są i skąd pochodzą, oraz że historia ich życia nie zaczyna się w momencie ich urodzenia czy nawet poczęcia, ale dużo, dużo wcześniej. O tym mówi teologia ciała. Twój początek sięga momentu stworzenia, a ty, dziewczyno

i chłopaku, jesteś ukochanym, upragnionym dzieckiem Pana Boga. Nie „etapem ewolucji” (choć Kościół nigdy jej nie negował), nie „odpadkiem kosmosu” – jesteś chciana, chciany, upragniona, wymarzony. To i tylko to jest twoją tożsamością, tutaj szukaj swojego początku, którym nie jest nic innego jak miłość. Jakkolwiek wygląda twoja sytuacja w domu rodzinnym, z czymkolwiek się zmagasz – brakiem akceptacji, odrzuceniem – to cię nie definiuje. Powstaliśmy z miłości i nic innego niż miłość nas nie zaspokoi. Młodzi muszą to usłyszeć, bo tę prawdę noszą głęboko w swoim sercu, tylko przez grzech ta prawda została zagłuszona.

4. Żeby siebie dać, trzeba siebie mieć

Karol Wojtyła w teologii ciała najwyższą formę miłości, do której zdolny jest człowiek, nazywa *darem*. Miłość jest bezinteresownym darem z siebie. Darem jest zarówno drugi człowiek, jak i ty sam. Nasuwa się jednak od razu pytanie: jeżeli mam coś komuś *dać*, to najpierw muszę to *posiadać*. Nie dasz czegoś, czego nie masz. Nie inaczej jest z miłością czy z posiadaniem siebie. Chcąc się komuś oddać, również na tym poziomie cielesnym, seksualnym, muszę nad sobą panować. Muszę, powie Wojtyła, „siebie posiadać, wtedy dopiero mogę o sobie stanować”. Kolejna sprawa – wolność. Wielu uważa, że wolność polega na robieniu tego, co się chce. Ale to pies robi, co chce. Pies musi zrealizować swój instynkt. Władza człowieka, a więc i wolność, polega na tym, że człowiek może mówić „nie”! Pies nie może nie zjeść kielbasy czy nie „skonsumować” suczki, gdy akurat jest w okresie rui. Człowiek może. Człowiek, nawet bardzo poirytowany, albo wręcz wściekły na kogoś, może się powstrzymać i nie wybuchnąć. I kolejna sprawa – jeżeli już się komuś oddasz, to pamiętaj, że dar ma charakter wyłączności. Raz na zawsze. Na wyłączność. Tak po prostu jest. Możesz, młody człowieku, nie brać tego faktu pod uwagę, ale wtedy nie dziw się, że jedna z najpiękniejszych

sfer twojego życia będzie, zamiast źródłem szczęścia, źródłem cierpienia. Dlatego nie zbudujesz więzi, relacji, która domaga się wyłączności, z kilkoma partnerami, partnerkami. No way!

5. Twoim powołaniem jest miłość, nie kariera

Każdy człowiek chce się spełniać, realizować. To oczywiste. To bardzo dobre. W jakiś szczególnie sposób chce tego człowiek młody. Nic nie jest tak smutne jak młodzi, którzy nie mają ambicji, pomysłu na siebie, planu na życie. Teologia ciała podkreśla, że człowiek został stworzony ze względu na siebie, jest niejako celem samym w sobie, Bóg nie traktuje nas przedmiotowo, nie zostaliśmy stworzeni dla Niego. Karol Wojtyła powołuje się tutaj na konstytucję o Kościele w świecie współczesnym *Gaudium et spes*, w której czytamy: „Człowiek, będąc jedynym na ziemi stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego, nie może odnaleźć się w pełni inaczej, jak tylko poprzez bezinteresowny dar z siebie samego” (nr 24). Jest więc tutaj pewien haczyk, o którym młodym trzeba głośno i otwarcie powiedzieć. Tak, masz się realizować, robić karierę, szukać szczęścia. Masz do tego prawo. Ale wiadomo, w życiu jest różnie. Może ci nie wyjść. Tak, to też trzeba głośno powiedzieć. Może ci nie wyjść, może się nie udać. Możesz nie mieć wymarzonej pracy, a wcześniej nie dostać się na wymarzone studia. Może nie znajdziesz swojej ukochanej albo „tego jedyne”. Może tak być. To jest możliwe. A czego możesz być absolutnie pewna i pewny? Że będzie trudno, że będą koszty, będą porażki, momenty zwątpienia. I wiesz co? Znając teologię ciała, już wiesz, że to cię nie definiuje, to nie jest twoja tożsamość. Bo jedyną wartością, która cię definiuje, jest miłość. Fajnie więc, jak coś osiągniesz, jak zrobisz karierę w jakiejś dziedzinie. To będzie świetnie, ale twoim powołaniem nie jest kariera – jest miłość, która przejawia się w byciu darem dla drugiego.

Nieidealni – między tabu a chrześcijańską miłością

Żyjemy w czasach, w których kult ciała i sprawności fizycznej jest wszechobecny. Media bombardują nas wizerunkami idealnych ciał, a my, porównując się z nimi, często czujemy się niewystarczający. Wielu żyjących współcześnie na tym świecie nie chce słyszeć o tym, że ciało to nie wszystko. Że jest jeszcze dusza i – co za tym idzie – warto byłoby pomyśleć nie tylko o życiu doczesnym, ale i wiecznym. Dla wielu stwierdzenie takie jest wręcz zgorszeniem. Tak samo jak obecność „nieidealnych”.

Tytułowi nieidealni to ci, którzy burzą sielankowy obraz i są przeszkodą w tym, by na ziemi żyli sami szczęśliwi, realizujący się ludzie. Chodzi mi zwłaszcza o osoby chore i niepełnosprawne, które wielu współczesnych chciałoby przynajmniej przemilczeć. A i nie miałyby pewnie też nic przeciwko temu, żeby wzięli i gdzieś sobie zniknęli. Co ciekawe, wyjątek uczyniono dla osób, które z ideałem minęły się na podstawie świadomych wyborów, tworząc ruch „body positive”. A jak jesteś chory lub niepełnosprawny? To „idź być nieidealnym gdzie indziej”.

Powyższe stwierdzenie to, rzecz jasna, jakaś forma publicystyki i nie twierdzę, że wszyscy tak mają i nie ma postaw odmiennych. Trzeba jednak odnotować takie podejście, gdyż w obecnym świecie, zwłaszcza w zachodniej jego części, wyraża ono poglądy ogromnej części społeczeństw.

Odpowiedź Kościoła

Dla odmiany napotykamy wspaniałe świadectwa, zadające kłam takiemu wykluczające-

mu podejściu. Skoro jesteśmy środowiskiem katolickim, to nie zdziwi nikogo, że za przykład postawię papieża Franciszka, który wielokrotnie wzruszał świat, przytulając i całując osoby ze zdeformowanymi chorobą twarzami i ciałami. Za każdym razem zdjęcia z tych spotkań miały swoje przysłowiowe pięć minut w mediach, ale później niestety chyba szybko o nich zapomniano.



MATEUSZ ZBRÓG
 Politológ, członek Zarządu
 Katolickiego Stowarzyszenia
 „Civitas Christiana”

Kontynuując wątek katolickiego spojrzenia na omawiane tutaj kwestie, to przecież nie odrzucamy wartości ciała, ale też nie traktujemy go w oderwaniu od człowieka – takiego, jakim on jest. Nietrudno tutaj o przesadę w drugą stronę, to jest zarzucenia dbałości o ciało i skupienia się „tylko” na duszy. Człowiek to człowiek i w całości zmartwychwstanie. Jedni pójdą na zmartwychwstanie życia, inni – niestety – na zmartwychwstanie potępienia.

Wracając jednak do ciała. Jako chrześcijanie powinniśmy o nie dbać, ale także krzawić szacunek do ludzkiego życia i walczyć w imieniu tych, którzy za siebie walczyć nie mogą. Chodzi mi oczywiście o dzieci nienarodzone, ale także



kryją się ludzkie dramaty. By zrozumieć, potrzeba otwarcia na Bożą łaskę. Dostrzegając w cierpieniu szansę na duchowy wzrost i zjednoczenie z Chrystusem, możemy łatwiej zaakceptować swoje „nieidealności” i pomagać innym w dźwiganu ich brzemienn.

Kto będzie sędzią?

Wróć w rozważaniach jeszcze na chwilę do postawy opisanej na początku. Zakłada ona odrzucenie lub przynajmniej ignorowanie perspektywy wieczności. Wówczas cierpienie, choroba, niepełnosprawność i ból stają się nie do zaakceptowania. W tym systemie receptą jest aborcja i eutanazja, które mają oszczędzić cierpienie. Wynikających z tego problemów etycznych jest niemało. Ja chciałbym skupić się w tym miejscu na jednym z nich.

Jako wstęp podam autentyczną historię. Znam przypadek z Polski: rodziców, którzy porzucili po narodzinach swoje dziecko, bo miało delikatnie krótszą jedną rękę. Dla klarowności przekazu: oprócz tego było ono zdrowe. Żadnych zdiagnozowanych chorób, niepełnosprawności. Za krótka ręka wystarczyła, by wpaść pod paragraf: „nieidealny”. Żeby dopełnić dramatyzmu tej historii, to z tego, co wiem, później przez długi czas z tego samego powodu dziecko to nie mogło znaleźć rodziny adopcyjnej.

Problem, który chcę zasygnalizować, podam na przykładzie pytania dodatkowego: a co, jeśli to dziecko miało by krótszą nie całą rękę, a tylko palec? Czy znalazłoby uznanie w oczach rodziców? A może ten fakt umknąłby uwadze lekarzy i jakoś by się przemknął przez bramkę filtrującą, kto się nadaje, a kto nie? Zapytajmy dalej: co, gdyby krótsze były tylko trzy palce? Czy takie dziecko zostałoby oddane? Gdyby to był jeden palec?

Słyszałem kiedyś o przypadku z Nowej Zelandii lub Australii, gdy matka zażądała dokonania aborcji, kiedy się okazało, że dziecko ma zrosnięte dwa palce u stopy. Zgodnie z relacją

osoby niepełnosprawne, chore, zmagające się ze stanem, w którym wydaje im się, że jedyną ucieczką jest śmierć. To nie są sprawy łatwe, patrząc z perspektywy doczesności, ale Chrystus niesie nadzieję zbawienia i przebywania z Nim w wieczności tam, gdzie nie będzie już śmierci, chorób i bólu. Tam ciała wszystkich ludzi będą idealne – stworzone przez Boga do wieczności. Ideał ziemski, kreowany zresztą w oparciu o różne mody na przestrzeni historii, jest zaledwie bardzo słabym cieniem tego, do czego dążymy. Ciekawy w tym kontekście jest 15 rozdział 1 Listu do Koryntian.

Fundamenty biblijne przypominają nam, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga (Rdz 1, 27). Ta fundamentalna prawda dotyczy każdego człowieka, niezależnie od jego stanu zdrowia czy sprawności. Godność człowieka nie wynika z jego sprawności, ale z faktu bycia dzieckiem Bożym. Jezus Chrystus, uzdrawiając chorych i utożsamiając się z najbardziej potrzebującymi (Mt 25, 31-46), pokazał, że Jego miłość i miłosierdzie nie znają granic. Kościół przypomina nam, że każdy członek wspólnoty jest ważny i potrzebny, a wezwanie do troski o słabszych (Ga 6, 2) jest naszym chrześcijańskim obowiązkiem.

Raz jeszcze podkreślę, że sprawy o których piszę, nie są łatwe. W perspektywie doczesnej

nawet lekarz namawiał ją, by tego nie robić, bo to wada banalnie prosta do usunięcia. Niestety, za zrosnięte palce dziecko usłyszało wyrok śmierci.

Pytanie fundamentalne

Można mi zarzucić, że podaję przykłady skrajne, ale mam ku temu dwa powody. Po pierwsze, takie rzeczy się dzieją i trzeba o nich mówić, by pokazać różne oblicza świata, w którym żyjemy. Po drugie, przez te historie chcę pokazać, że wyznaczanie, kto może żyć, a kto ze względu na chorobę czy deformację żyć nie powinien, to granica z ogniem. Jest to szalenie niebezpieczne, bo raz postawiona

granica nie odpowiada na pytanie: *kogo można zabić?* Ona odpowiada na pytanie: *czy wolno zabić?* Gdy na to pytanie odpowiemy pozytywnie, to najpierw usunie się ludzi sparaliżowanych, chorych psychicznie, ze zdeformowanymi ciałami. A później dziecko, które ma za krótki palec. A na sam koniec nawet takie, które ma paluszki jak z katalogu – ale akurat ważniejsze są kariera, podróże czy lifestyle’owe konto w mediach społecznościowych. Kto wie, czy wielu dzisiejszych zwolenników takiego podejścia nie skończy równie marnie, gdy ich samych powali jakiś wypadek, choroba lub dopadnie starość i jacyś młodszy, zdrowsi „idealsi” uznają ich za już niepotrzebnych.



VATICAN
NEWS

Papież przekazał milion euro na fundusz budowy mieszkań potrzebującym

W ostatnich tygodniach, przed przyjęciem do szpitala Gemelli, papież Franciszek wsparł fundusz im. księdza Roberto Sardellego na rzecz renowacji dawnego domu duchowieństwa przy Via Vergerio. Budynek ten zostanie przekształcony w 20 mieszkań dla potrzebujących, a Ojciec Święty przekazał milion euro.

Różaniec w intencji papieża gromadzi wiernych z całego świata

Niech Bóg sprawi, by papież wkrótce wznowił posługę apostołską – modlitwa kard. Giovanniego Battisty Re, dziekana Kolegium Kardynalskiego, mocno wybrzmiała podczas trzeciej z kolei modlitwy różańcowej na Placu św. Piotra w intencji zdrowia Ojca Świętego. Setki wiernych z różnych krajów świata, w tym liczni pielgrzymi z Polski gromadzą się co wieczór na modlitwie za papieża.

Jubileusz 2025: otwarto wyjątkową wystawę obrazów Caravaggia

Z okazji Roku Świętego otwarto dziś w Rzymie wyjątkową ekspozycję dzieł Caravaggia. Zestawiono ze sobą obrazy, które nigdy dotąd nie były wystawiane razem. Odtworzono historyczną i twórczą perspektywę samego malarza. Zwieżdżający zobaczą obrazy, które w tym samym czasie mogły znajdować się w jego pracowni – mówi Radiu Watykańskiemu Francesca Cappelletti, kurator wystawy.

Autor Nowenny Pompejańskiej zostanie kanonizowany

Ojciec Święty zatwierdził dekrety Dykasterii Spraw Kanonizacyjnych, dotyczące pięciorga Sług Bożych, m.in. Polki, Kungundy Siwec. Zaaprobował też kanonizację dwóch świeckich błogosławionych – m.in. czciciela Matki Bożej Pompejańskiej bł. Bartolo Longo – i zdecydował o zwołaniu konsystorza, związanego z uroczystościami kanonizacyjnymi.

Starość w Piśmie Świętym i w chrześcijańskim życiu

Ostatni etap ludzkiego życia na ziemi nie cieszy się obecnie większym zainteresowaniem. Każdy chce być młody, zdrowy, piękny, sprawny, spotykać się z uznaniem. Cywilizacja konsumpcyjna promuje taki model życia i wartości, jednak jest to bardzo powierzchowne i nie może odpowiedzieć na odwieczne pytanie o sens i rzeczywistą wartość ludzkiego życia.

W naszych rozważaniach zajmiemy się starzeniem i starością z punktu widzenia nauki Pisma Świętego oraz praktyki chrześcijańskiego życia. Jako pracownik naukowy, teolog-biblista, wydawałem co dwa lata kolejne tomy serii Biblijne Wezwania do Rozwijania Kultury, w których rozważałem tematy ważne dla współczesnych ludzi. Przedostatni tom (*„Ciało (...) jest (...) dla Pana, a Pan dla ciała” (1 Kor 6, 13)*, Kraków 2019) ukazuje właściwe biblijne rozumienie ludzkiego ciała jako bardzo ważnego przejawu istnienia człowieka. Pod wpływem myśli greckiej Ojcowie Kościoła często pisali o ciele jako więzieniu duszy, tymczasem jest ono powołane do pełnego uczestnictwa w życiu człowieka zarówno na etapie ziemskim, jak i w wieczności. Przy jego pomocy możemy czynić bardzo wiele dobra (ale też nieśwety i zła). Z tego opracowania przytaczam biblijne cytaty o starości oraz ich krótkie omówienie.

Starzenie się i starość jako ostatni etap ludzkiego życia na ziemi

Czasem mówi się, że „starość się Panu Bogu nie udała”. Wynika to ze związanych z nią dolegliwości, ubytku sił i zdrowia oraz konsekwencji tych procesów. Zmiany i przemijanie są naturalną cechą bytów materialnych. Człowiek jako istota cielesno-duchowa miał z woli Bożej

cieszyć się szczęściem, ale tę harmonię naruszył grzech pierwszych ludzi, zlekceważenie Bożej miłości i danie posłuchu wężowi-kusicielowi, podważającemu dobroć Boga.

Biblia przypomina o śmiertelności człowieka:

„Wszelkie ciało starzeje się jak odzienie, i to jest odwieczne prawo: «Na pewno umrzesz».

Jak zielone liście na dorodnym drzewie, jedno spadają, a drugie wyrastają, podobnie pokolenia z ciała i krwi, jedno umiera a drugie się rodzi” (Syr 14, 17n).

Mówi o jego sile, pomyślności życia zgodnego z Bożymi wymaganiami:

„Dałeś mi siłę bawołu, skropiłeś mnie świeżym olejkim. (...) Sprawiedliwy zakwitnie jak palma, rozrośnie się, jak cedr na Libanie. Zasadzeni w domu Pańskim rozkwitną na dziedzińcach naszego Boga. Wydadzą owoc nawet i w starości, pełni soków i zawsze żywotni, aby świadczyć, że Pan jest sprawiedliwy, moja Opoka – nie ma w Nim nieprawości” (Ps 92, 11. 13-16).

Są też wzmianki o kalectwie, słabości konkretnych starszych osób:

„Izaak zestarzał się i jego oczy stały się tak słabe, że już niedowidział” (Rdz 27, 1);

„Oczy bowiem Izraela stały się tak słabe wskutek starości, że niedowidział” (Rdz 48, 10);

Heli miał [wtedy] dziewięćdziesiąt osiem lat. Był ociemniały, nic nie widział” (1 Sm 4, 15);

Prorok „Achiasz zaś już nie widział, bo wskutek starości ociemniał” (1 Krl 14, 4).

Z drugiej strony długowieczność ludzi w okresie mesjańskim zapowiada prorok Iza-jasz:

„Nie będzie już w niej niemowlęcia, co miałoby żyć tylko kilka dni, ani starca, który by nie dopełnił swych lat; bo najmłodszy z nich umrze jako stuletni, a nie osiągnąć stu lat, będzie znakiem klątwy. (...)

Bo na wzór długowieczności drzewa będzie długowieczność mego ludu i moi wybrani z radością używać będą tego, co uczynią ich ręce.

Nie będą się trudzić na próżno ani płodzić dzieci na zgubę,

bo plemieniem błogosławionych przez Pana są oni sami i potomkowie ich wraz z nimi” (Iz 65, 20. 22n).

Można tu widzieć nawiązanie do długiego życia patriarchów przed potopem (Rdz 5, 1-32) i przed narodzeniem Abrahama (Rdz 11, 10-26).

Spokojny koniec życia wyrażają natchnieni autorzy zwrotem: „odejść (umrzeć) w pokoju”. Bóg obiecuje Abramowi: „Ale ty odejdiesz do twoich przodków w pokoju, w późnej starości będziesz pochowany” (Rdz 15, 15). Formuła wyraża ideę spokojnej śmierci i godnego pochówku, a więc wypełnienia swoistego ideału oczekiwanego w związku z końcem życia na ziemi. O wypełnieniu Bożej zapowiedzi danej Abrahamowi mówi Rdz 25, 8 (śmierć „w późnej, lecz szczęśliwej starości”), podobnie o Gedeonie (Sdz 8, 32) i Dawidzie (1 Krn 29, 28: „w późnej starości, syty dni, bogactwa i chwały”).

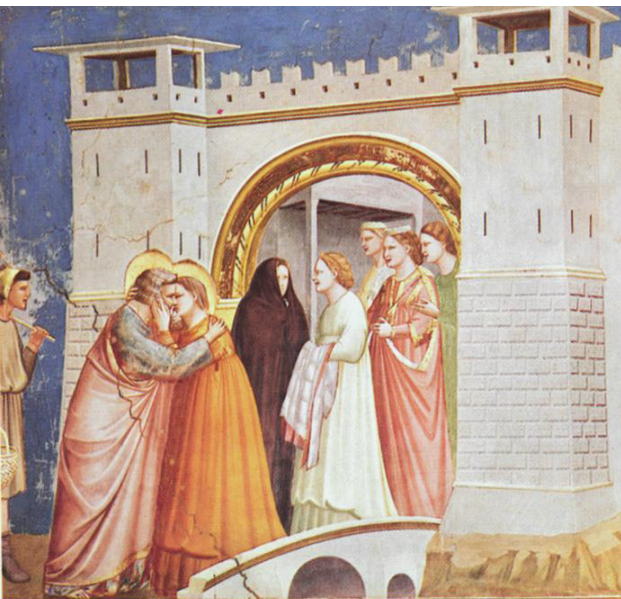
Warto też zwrócić uwagę na polecenie ojca, by syn pozostawał w Niniwie, aż pochowa matkę obok zmarłego ojca, potem ma z niej odejść (Tb 14, 9). Może to być troska, by matka do końca życia przebywała w miejscu, do którego jest przyzwyczajona, i spoczęła w grobie obok swego męża. Często starsze osoby przenoszone w inne miejsce, np. do domu opieki albo z własnego mieszkania do domu dorosłego dziecka w innej miejscowości, szybko kończą życie. Nie wiadomo, czy natchniony autor o tym myślał, ale współczesna praktyka duszpasterska zna bardzo wiele podobnych sytuacji.

Wezwania do szacunku dla starszych i otaczania ich opieką

Naturalny szacunek dla rodziców i zobowiązanie, by otaczać ich opieką, znajdują wyraz i Boże potwierdzenie w IV przykazaniu Dekalogu „Czcij ojca matkę swoją, abyś długo żył na ziemi, którą Pan, Bóg twój, ci daje” (Wj 20, 12; por. Pwt 5, 16). Stary Testament przypomina o nim w różnych okolicznościach, np.:

„Synu, wspomagaj swego ojca w starości nie zasmucaj go w jego życiu.

Fot. domena publiczna



Giotto, seria Sceny z życia św. Joachima, *Spotkanie w Złotej Bramie*

A jeśli by nawet rozum stracił, miej wyrozumiałość, nie pogardzaj nim, choć jesteś w pełni sił” (Syr 3, 12-13).

Pan Jezus piętnuje obchodzenie go przez rzekome ofiarowanie na świątynię tego, co miało służyć potrzebom rodziców (Mt 15, 3-6; Mk 7, 9-13). Powszechnie szanowano mądrość starszych (Syr 25, 4-6), choć nie zapomniano, że i oni podlegają pokusom grzechu i mogą postępować niegodnie (por. np. Syr 25, 5; Dn rozdz. 13). Ewangelia św. Łukasza wymienia czcigodne starsze osoby; rodziców św. Jana Chrzciciela: Elżbietę i Zachariasza (Łk 1, 5-25. 36. 39-45. 57-79), Symeona i Annę, którzy spotkali Dzieciątka Jezus, gdy przedstawiono Go Bogu w świątyni (Łk 2, 25-38). Listy apostołskie wzywają do szacunku dla starszych (np. 1 Tm 5, 1-2), którzy powinni dawać młodym dobry przykład (np. Tt 2, 2-5), oraz do otaczania opieką wdów (Dz 6, 1-5; 9, 36-41; 1 Tm 5, 3-16).

Znoszenie dolegliwości jako udział w krzyżu Chrystusa i obietnica wiecznej nagrody

Chrystus wielokrotnie mówił o dźwiganie krzyża jako warunku naśladowania Go: „Jeśli kto chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladuje” (Łk 9, 23; por. 14, 27; Mt 10, 38; 16, 24; Mk 8, 34). Dla chrześcijanina znoszenie dolegliwości, niesprawność czy trudności we wzajemnym zrozumieniu się z innymi wynikające z podeszłego wieku to udział w krzyżu Chrystusa.

Św. Paweł pisze: „Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony dopełniam niedostatki udreń Chrystusa w moim ciele dla dobra Jego Ciała, którym jest Kościół” (Kol 1, 24). Nie znaczy to, że czegokolwiek brakuje cierpieniom Chrystusa, ale jest On zjednoczony ze swoim Kościołem, w którym ludzki czynnik podlega różnym słabościom. Jednoczenie się z Chrystu-

sem we własnym cierpieniu może przyczyniać się do umacniania dobra.

Św. Piotr uczy: „cieszcie się, im bardziej jesteście uczestnikami cierpień Chrystusowych, abyście się cieszyli i radowali przy objawieniu się Jego chwały” (1 P 5, 13). Słowa te najpierw odnoszą się do prześladowania za wiarę, ale mogą też dotyczyć łączenia się z Chrystusem w cierpieniach wynikających z podeszłego wieku. Św. Benedykt kończy prolog swej Reguły, wzywając do podejmowania trudów związanych z życiem mniszym: „Abyśmy, nie odstępując nigdy od tego nauczania i pozostając w tej nauce aż do śmierci w klasztorze, zasłużyli przez cierpliwość być uczestnikami męki Chrystusa, aby Pan uczynił nas współdziedzicami Jego królestwa” (w. 50). Odpowiada to nauce św. Pawła: „Sam Duch wspiera swym świadectwem naszego ducha, że jesteśmy dziećmi Bożymi. Jeżeli zaś jesteśmy dziećmi, to i dziedzicami: dziedzicami Boga, a współdziedzicami Chrystusa; skoro wspólnie z Nim cierpimy, to po to, by wspólnie mieć udział w chwale” (Rz 8, 16-17).



**o. TOMASZ MARIA
DĄBEK OSB**

Teolog biblista,
em. prof. zw. UPJP II
w Krakowie. W Tyńcu od 1971,
w latach 1984-2003 proboszcz
tyńckiego opactwa

Podsumowanie

Pismo Święte mówi o człowieku jako Bożym dziecku posiadającym materialne ciało i nieśmiertelną duszę. Ciało w następstwie grzechu pierwszych ludzi podlega cierpieniu i śmierci, ale w przyszłości ma powstać do życia i uczestniczyć w wiecznym losie człowieka. Biblia ukazuje ludzi starszych, zarówno cieszących się przez wiele lat zdrowiem i sprawnością, jak też cierpiących na różne dolegliwości. Starsi zasługują na szacunek dzięki swemu doświadczeniu i mądrości. Mają prawo do pomocy ze strony dzieci i całej społeczności. Powinni młodym dawać dobry przykład. Znosząc swoje dolegliwości jako udział w krzyżu Chrystusa, mogą liczyć na wieczną nagrodę.

Czym ma być ciało postczłowieka?

Próbując dać odpowiedź na tak postawione pytania, należy odwołać się do idei transhumanizmu (H+), czyli do wszelkich dążeń mających na celu doprowadzenie do udoskonalenia ludzkiego bytowania w sensie biologicznym, poprzez jego ścisły związek z najnowszą technologią.

Samo pojęcie ludzkiego ciała w transhumanizmie jest bardzo niejednoznaczne z uwagi na to, że ruch transhumanistyczny łączy w sobie wiele kierunków, nierzadko z sobą sprzecznych. Transhumanistyczne rozumienie ciała jest wobec powyższego bardzo niejednoznaczne, zmienne oraz niedookreślone. Można uznać, że to pojmowanie znajduje się w sytuacji ciągłego zawieszenia i oczekiwania co do wyboru jego przyszłej formy. Z jednej strony w idei H+ ciało ludzkie jest czymś, o co należy dbać, poddając je różnym zabiegom i modyfikacjom, z drugiej zaś jest czymś niechcianym, gdyż podlega procesom wyczerpywania się i przemijania. Za Agnieszką F. Pawlak można przyjąć, że transhumaniści pragną gatunkowi ludzkiemu zaprojektować swoisty rytuał przejścia, w którym dotychczasowy *homo sapiens* bezpowrotnie opuści znany mu „świat ciała” i rozpocznie symboliczną podróż w stronę postgatunkowości.

U źródeł pojęcia

Warto w tym miejscu wyjaśnić czytelnikom, skąd wziął się w ogóle transhumanizm. Człowiek od zarania cywilizacji był świadomy swojej śmiertelności i ograniczoności, co wyrażało się w doświadczaniu cierpienia i małości wobec sił przyrody i biologii. W wielu mitach i legendach można usłyszeć o cudownym środku na przezwyciężenie ludzkich ograniczeń, raz w postaci eliksiru młodości, innym razem

w skonstruowaniu sztucznej istoty posiadającej ponadludzką siłę i inteligencję charakterystyczną dla człowieka. Mimo że dzisiejszy transhumanizm, zdaniem wielu jego czołowych twórców, ma zastąpić religijną wiarę w nieśmiertelność, to jego korzeni można doszukiwać się w dziewiętnastowiecznej rosyjskiej filozofii kosmizmu. Wyróżnia się w tym zakresie myśl Nikołaja Fiodorowa (1829-1903), który zafascynowany Apokalipsą św. Jana uważał, iż należy dążyć do takiego stopnia rozwoju techniki, aby umożliwił on wskrzeszanie umarłych. Chodziło mu nie tylko o przywracanie do życia ludzi zmarłych niedawno, lecz wskrzeszenie wszystkich, którzy kiedykolwiek żyli na Ziemi.

Pojęcie transczłowiek (ang. *transhuman*) pojawiło się po raz pierwszy na początku XX wieku w książce *Przyszłość człowieka*, autorstwa wzbudającego do dziś zarówno fascynację, jak i kontrowersje francuskiego teologa i paleontologa Pierre’a Teilharda de Chardin SJ (1881-1955). Twierdził on, że ludzka wolność oznaczać będzie szanse każdego człowieka do transhumanizacji, czyli rozwijania własnej potencjalności w najszerszym zakresie. Teilhard przyjaźnił się z twórcą terminu transhumanizm, pierwszym dyrektorem generalnym UNESCO Julianem Huxleyem (1887-1975), bratem pisarza Aldousa. Huxley zwiastował nadejście nowych fizjologii, które miały zmanifestować się w czasach technologicznej akceleracji, pozwalając przekroczyć istniejące ogra-

niczenia ludzkiej egzystencji. Religię uważał za przeżytek, jednak twierdził, że czymś musi zostać zastąpiona. Nowa idea Huxleya to misja odkrycia prawdziwej natury ludzkiej oraz ukrytych w niej możliwości. Oznacza to, że człowiek powinien całościowo przygotować się do tego kosmicznego zadania.

Nie trzeba wielkiej znajomości teologii, aby stwierdzić, że takie rozumienie transhumanizmu czyni z niego religię polegającą na samozbawieniu się człowieka. Z takim punktem widzenia rozprawił się Benedykt XVI w encyklice *Spe salvi*, pisząc: „Byli w błędzie Francis Bacon i ci, którzy przynależą do nurtu myśli świata nowożytnego, zainspirowanego przez Bacona, uważając, że człowiek zostanie zbawiony przez naukę. Mając takie oczekiwania, zbyt wiele wymaga się od nauki; tego rodzaju nadzieja jest zwodnicza. Nauka może wiele wnieść w proces humanizacji świata i ludzkości. Może jednak również zniszczyć człowieka i świat, jeśli nie jest ukierunkowana przez siły, które są poza nią”.

Próba uporządkowania

Ponieważ transhumanizm niejedno ma imię, to przystępując do odpowiedzi na zadane w tytule pytania, wypada wyjaśnić dwa kluczowe pojęcia mające znaczenie dla dalszych rozważań, a mianowicie terminy „android” oraz „cyborg”. Android (gr. *andros* – mężczyzna + *eidos* – postać) to robot humanoidalny, którego kształt przypomina ludzkie ciało, czyli jest to maszyna morfologicznie podobna do człowieka. Z kolei cyborg (ang. *cybernetic organism*) to organizm poddany przekształceniom, takim jak rozszerzanie czy wzmocnienie, dokonywanym przy pomocy sztucznych implantów. A zatem można uznać, że fundament ontyczny cyborga to substrat organiczny, zaś android to twór sztuczny, posiadający całkowicie abiologiczną naturę. Ponieważ wielu autorów tworzących w paradygmacie posthumanizmu (np. Yuval Noah Harari) idzie w kierunku jeszcze bardziej radykalnym, uważając, że człowiek jako taki przestanie w ogóle istnieć, gdyż zostanie zredukowany do wymiarów informacji i rozplynie się w jej morzu, to wypada jeszcze pochylić się nad pojęciem „awatar”. Jest to, jak na razie, reprezentacja osoby w rzeczywistości wirtualnej (najczęściej graficzna postać, pod jaką występuje w świecie cyfrowym). Pojęcie awatara stosuje się zarówno w odniesieniu do reprezentacji rzeczywistych ludzi, jak i postaci generowanych przez oprogramowanie. Ponieważ dzisiejszy świat społeczny jest w olbrzymiej mierze kształtowany przez *social media*, to nasuwa



Fot. Adobe Stock

się pytanie, dlaczego związane z nimi światowe korporacje internetowe (np. Alphabet-Google czy Meta-Facebook-Instagram) zbierają i magazynują ogromne ilości danych o każdym użytkowniku? Nieżyjący już informatyk Grzegorz Osiński uznał, że dane te, oddające cechy ludzkie, mogą zostać użyte do tworzenia cyfrowych bliźniaków, czyli wirtualnego odzwierciedlenia realnie istniejącego człowieka, które kiedyś może zacząć żyć swoim własnym życiem. A zatem odpowiedź na pytanie o wygląd ciała postczłowieka w tym przypadku może brzmieć tak, że wcale go nie będzie, gdyż zostanie zastąpione wirtualną informacją w postaci awatara. Ale to bardzo radykalne wyjaśnienie problemu. Warto zająć się wizją ciała w głównym nurcie transhumanizmu. Mimo wielu opracowań teoretycznych można uznać, że nie istnieje jedna odpowiedź na to, czym będzie ciało postczłowieka, zwłaszcza że sam termin „postczłowiek” nie wydaje się zbyt jednoznaczny. Jeśli człowiek ma się wyzwolić poprzez technologię ze swoich naturalnych ograniczeń w momencie zwanym technologiczną osobliwością (*technological singularity*), to stanie się czymś nowym, nowym bytem, ale do końca nie wiadomo, czym dokładnie. Jakie wobec tego ma być jego ciało?

Postulaty

Filozofia postmodernistyczna dokonała oddzielenia ciała biologicznego od ciała postrzeganego wyłącznie kulturowo, co oznacza dążenie w ramach biowładzy do tego, aby technonauka, w której biologiczne ciało nie jest tożsame z człowiekiem, służyła określonej inżynierii społecznej, dążącej zarówno do dyscyplinowania pojedynczych ciał, jak i do kontroli procesów demograficznych. W umiarkowanym nurcie transhumanizmu mówi się o udoskonalaniu ludzkiego ciała (*human enhancement*). Biologiczne ciało dotychczasowego człowieka

podlega niezbyt przyjemnym procesom entropii (pochłaniania, spalania, wydalania, gnicia, zepsucia i rozkładu). Chodzi o dążenie do wyeliminowania ludzkiej, biologicznej zwierzęcości poprzez uczynienie z ciała mechanizmu podlegającego nieustannym rekonstrukcjom. Co to oznacza w praktyce? Jeden z autorów transhumanistycznych, Michael Hauskeller, zaproponował następujące obszary ulepszeń biologicznego ciała ludzkiego:

- ulepszenie poznawcze oznaczające zwiększenie wydajności mózgu;
- ulepszenie emocjonalne w postaci eliminacji cierpienia (w tym np. uczuć) i zapewnienie umysłowi trwałego stanu mentalnej błogości;
- ulepszenie moralne w postaci zwiększenia potencjału altruistycznego i empatycznego;
- ulepszenie fizyczne, czyli zapewnienie życia w dobrej kondycji poprzez poprawianie parametrów związanych z ludzkim zdrowiem, powstrzymanie chorób, starzenia i śmierci.

Inni autorzy kreślą odmienne koncepcje. Jest ich bardzo wiele, jednak wszystkie łączą uznanie, iż naturalne, biologiczne ciało człowieka jest przeżytkiem, gdyż nie jest adekwatne do życia w świecie przeobrażonym przez kolejne fazy rewolucji naukowo-technicznej. Rewolucja ta zmieniła otaczający świat, transhumanści uważają, że teraz nadszedł czas na radykalną zmianę organizmu człowieka, adekwatną do nowych wyzwań, co oznacza porzucenie dawnego ciała i całkowitą zmianę jakościową kryjącą się pod mglistym pojęciem postczłowieka. Co do tego, czy miałby on być cyborgiem, czy istnieć jedynie wirtualnie, nie ma zgody, a jest ona ściśle uzależniona od technologii, jakie mają pojawić się w przyszłości. Wyczuwalna jest w tym względnie tęsknota za pojawieniem się ogólnej sztucznej inteligencji i spojeniem jej z dotychczasowym biologicznym człowiekiem w momencie nastania technologicznej osobliwości.



**ks. KRZYSZTOF
ADAMSKI**

Doktor teologii moralnej,
wykładowca katolickiej nauki
społecznej na Papieskim
Wydziale Teologicznym
we Wrocławiu



Analizy Badania Dokumenty



Aktualny numer oraz archiwum kwartalnika dostępne na stronie:
www.spoleczenstwo-civitaschristiana.pl



Spór o „edukację zdrowotną” – seksualność powinna służyć wzmacnianiu małżeństwa i rodziny, a nie pogłębianiu hedonizmu

Obóz Donalda Tuska, pomimo taktycznych ustępstw związanych z koniecznością poszerzenia elektoratu jego kandydata w II turze wyborów prezydenckich, nie ustaje w wysiłkach mających na celu wprowadzenie do polskich szkół „edukacji zdrowotnej” z elementami seksualizacji. Jakie są ideologiczne kulisy pozornie zdumiewającego uporu, z jakim rządzący dążą do włączenia tych elementów do podstawy programowej?

Dobrowolność edukacji seksualnej – tymczasowe ustępstwo rządu Tuska po protestach rodziców

12 kwietnia 2024 roku ministrowie rządu Donalda Tuska ogłosili rozpoczęcie prac nad przedmiotem „edukacja zdrowotna” (EZ), który miałby od września 2025 roku zastąpić w polskich szkołach dotychczasowe „wychowanie do życia w rodzinie” (WDŻ). Minister edukacji Barbara Nowacka zapowiedziała wtedy, że „będzie to przedmiot, który zdrowie człowieka traktuje w sposób kompleksowy”. Opublikowane 31 października projekty rozporządzeń z miejsca wzbudziły jednak gwałtowny i uzasadniony sprzeciw opinii publicznej, a zwłaszcza rodziców – nie w całości, a jedynie w kilku bardzo konkretnych fragmentach. O ile w podstawie programowej WDŻ seksualność przedstawiana jest przez pryzmat pojęć takich jak: „męskość, kobiecość, miłość, małżeństwo, rodzicielstwo”, a uczeń przede wszystkim „rozumie, jakie znaczenie ma zawarcie małżeństwa i jego trwałość dla rozwoju społeczeństwa”, „wyjaśnia, na czym polega dojrzałość do mał-

żeństwa” czy „opisuje fundamenty, na których powinno opierać się dobre małżeństwo”, o tyle w EZ kontekst miałby być diametralnie inny. Uczniowie szkół podstawowych mieliby odtąd dowiadywać się, że „zachowania autoseksualne” (masturbacja, onanizm) to zachowania „należące do normy medycznej”, „omawiać pojęcie orientacji psychoseksualnej”, do której należą jakoby orientacje „heteroseksualna, homoseksualna, biseksualna, aseksualna”, oraz „wyjaśnić pojęcia: tożsamość płciowa, cisplciowość, transpłciowość”. W szkole ponadpodstawowej młodzież miałaby omawiać szczegółowo różne metody antykoncepcji (w tym „mechanicznej, hormonalnej, chemicznej, naturalnej”), „omawiać zagadnienie przyjemności seksualnej oraz wymieniać, co wpływa na libido; wymieniać formy aktywności seksualnej; opisywać zaburzenia i dysfunkcje seksualne” oraz „omawiać kwestie prawne i społeczne związane z przynależnością do grupy osób LGBTQ+”. EZ, w odróżnieniu od WDŻ, miałaby być ponadto przedmiotem obowiązkowym, nauczonym już od dziewiątego roku życia. Wprawdzie 14 stycznia, po kilku miesiącach protestów rodziców,

premier Tusk zadeklarował w Helsinkach, że EZ powinna być przedmiotem dobrowolnym, ale minister Leszczyńska już nazajutrz dodała, że tylko „początkowo”, a minister Nowacka potwierdziła, że jej zamiarem jest uczynienie EZ obowiązkową już od 2026 roku. Dlaczego rząd nawet przez chwilę nie rozważył najprostszego przecież opcji, jaką byłoby usunięcie z programu EZ tych nielicznych fragmentów związanych z seksualizacją za cenę częściowego tylko okrojenia WDŻ? Skąd ta zawziętość w epatowaniu seksualnością i odrywaniu jej od kontekstu rodziny?

Karta Praw Rodziny kontra „deklaracje praw seksualnych”

22 października 1983 roku, w piątą rocznicę inauguracji pontyfikatu św. Jana Pawła II, Stolica Apostolska ogłosiła Kartę Praw Rodziny. To właśnie do tego dokumentu nawiązał polski Sejm, ustanawiając uchwałą z 2016 roku Dzień Praw Rodziny właśnie w dniu 22 października. Karta podkreśla, że „wychowanie seksualne, stanowiące podstawowe prawo rodziców, winno dokonywać się zawsze pod ich troskliwym kierunkiem, zarówno w domu, jak i w wybranych i kontrolowanych przez nich ośrodkach wychowawczych”. Propagatorzy seksedukacji mają jednak zupełnie inny punkt odniesienia. W czerwcu 1997 roku w hiszpańskiej Walencji podczas 13. kongresu Światowego Towarzystwa Seksuologicznego (WAS) opracowano pierwszą wersję „Deklaracji Praw Seksualnych”. Wyróżniała ona 9 „praw seksualnych” i stanowiła, że „ludzka płciowość jest źródłem najgłębszej więzi między ludźmi i jest niezbędna dla dobrostanu jednostek, par, rodzin i społeczeństwa”, a „przyjemność seksualna, włączając zachowania autoerotyczne, jest źródłem fizycznego, psychologicznego, intelektualnego i duchowego dobrostanu”. Deklaracja zawierała też ideologiczne rozróżnienie

między płcią uwarunkowaną biologicznie (*sex*) oraz „płcią społeczno-kulturową” (*gender*) czy sformułowania o „prawie do zakładania innych typów związków płciowych” oraz „prawie do dokonywania wolnych i odpowiedzialnych wyborów w zakresie życia reprodukcyjnego” (antykoncepcja, aborcja). Kolejna wersja deklaracji, uchwalona 26 sierpnia 1999 roku na kongresie w Hongkongu, wyróżniała 11 „praw” i – w odróżnieniu od poprzedniej – nie zawierała już odniesień do rodziny. Trzecia wersja, opublikowana przez WAS w marcu 2014 roku, rozrosła się do aż 16 „praw seksualnych”, a 15 października 2019 roku w Meksyku na 24. kongresie WAS przyjęto zupełnie nowy dokument: „Deklarację Przyjemności Seksualnej”, która już otwarcie stawia przyjemność seksualną w centrum wszystkich możliwych praw i polityk. W międzyczasie, 10 maja 2008 roku, własną „deklarację praw seksualnych” przyjęła międzynarodówka aborcyjna IPPF, stwierdzając, że przyjemność seksualna „jest centralnym aspektem bycia człowiekiem, bez względu na to, czy dana osoba decyduje się na rozmnażanie”.



**NIKODEM
BERNACIAK**

Advokat Izby Adwokackiej
w Warszawie, analityk
Instytutu na rzecz Kultury
Prawnej Ordo Iuris, absolwent
prawa na Uniwersytecie
Warszawskim

Do nich z kolei nawiązują „standardy edukacji seksualnej w Europie” opracowane w 2010 roku przez Biuro Regionalne Światowej Organizacji Zdrowia – WHO i niemieckie Federalne Biuro ds. Edukacji Zdrowotnej – BZgA (obecnie Federalny Instytut Zdrowia Publicznego – BIÖG) – spopularyzowane w Polsce w 2019 roku przez warszawską „deklarację LGBT+” Rafała Trzaskowskiego. W deklaracji IPPF czytamy, że prawa seksualne danej osoby mogą być ograniczone tylko przez prawa innej osoby albo względy „ogólnego dobrobytu” (*general welfare*). Logiczną konsekwencją takiego założenia jest konieczność odrzucenia zastanych norm moralnych i struktur społecznych, w szczególności Kościoła i rodziny jako instytucji najbardziej „ograniczających” seksualność i podporządkowujących ją jej naturalnemu celowi, jakim jest

dzietność, a nie hedonistyczna maksymalizacja osobistej przyjemności. W świetle tych uwarunkowań międzynarodowych staje się jasne, dlaczego forsowanie EZ w Polsce idzie w parze nie tylko z eliminowaniem WDŹ, ale również z ograniczaniem nauczania religii w szkołach.

Ciągłość nauczania Kościoła – za wychowaniem, przeciw kolonizacji ideologicznej

Kościół w swoim tradycyjnym nauczaniu jednoznacznie opowiada się przeciwko permissywnemu modelowi seksedukacji. W encyklice *Divini illius Magistri* o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży z 31 grudnia 1929 roku papież Pius XI jednoznacznie potępia wyodrębnianie „wychowania seksualnego” jako osobnego przedmiotu, przypominając, że „występki przeciw obyczajności są nie tyle następstwem braku znajomości rzeczy, ile przede wszystkim słabości woli, wystawionej na niebezpieczeństwa i nie wspieranej środkami łaski”, a zwolennicy seksedukacji „fałszywie sądzą, że będą mogli ustrzec młodzież przed niebezpieczeństwami zmysłów za pomocą czysto naturalnych środków”. W tym właśnie kontekście należy odczytywać fragment deklaracji *Gravissimum educationis* z 28 października 1965 roku, w której

ojcowie Soboru Watykańskiego II stwierdzają, że dzieci i młodzież powinny „otrzymać pozytywne i roztropne wychowanie seksualne, dostosowane do ich wieku”, zaraz jednak dodają, że mają one także „prawo, aby pobudzano ich do oceny wartości moralnych wedle prawidłowego sumienia i do przyjmowania owych wartości przez osobisty wybór, a również do doskonalszego poznawania i miłowania Boga”. Nawet papież Franciszek w adhortacji *Amoris laetitia* z 19 marca 2016 roku (niezależnie od jej znanych mankamentów) podkreśla, że „wielką wartość” ma tylko „taka edukacja seksualna, która pielęgnuje zdrową skromność”. Papież ten już kilka miesięcy później, 27 lipca, podczas spotkania z biskupami polskimi na Wawelu ubolewał, że współcześnie dzieci „naucza się w szkole: że każdy może wybrać sobie płć. A dlaczego tego uczą? Ponieważ podręczniki narzucają te osoby i instytucje, które dają pieniądze. Jest to kolonizacja ideologiczna, popierana również przez bardzo wpływowe kraje”. Nie ulega wątpliwości, że kolejne „deklaracje praw seksualnych” czy „standardy edukacji seksualnej” rodem z niemieckiej Kolonii są źródłem takiej właśnie „kolonizacji ideologicznej”, której przejawem byłoby także narzucenie polskim szkołom modelu „edukacji zdrowotnej” w forsowanej obecnie postaci.

Fot. Adobe Stock



„Zmęczeni demokratyczną nieodpowiedzialnością”...

Słowa stanowiące tytuł niniejszego felietonu to, jak widać, cytat, który jest fragmentem zaczerpniętym z książki ks. Stefana Wyszyńskiego pt. *Miłość i sprawiedliwość społeczna*. W piśmie środowiska „Civitas Christiana” nie muszę szerzej rozwodzić się na jej temat. Zaznaczę jedynie dla pozostałych czytelników, że ta monumentalna praca jest omówieniem wizji Polski, jaką autor tworzył w smutnych latach okupacji, ukrywając się przed aresztowaniem i nie będąc pewnym jutra.

Zacytuję też dalszą część przywołanego zdania przyszłego Prymasa Tysiąclecia: „Doświadczeni aż nadto «świecką» moralnością bez wszelkich zasad moralnych, polityką brudnych interesów i brudnych rąk domagamy się dla życia politycznego etyki i moralności chrześcijańskiej”. Tak, słowa te zostały napisane grubo ponad 80 lat temu, w określonej, jakże na pozór odmiennej od naszej rzeczywistości, a jednak zdają się być całkowicie świeżą odpowiedzią na nasze czasy.

Wracając do tytułu

Myślę, że pisząc o demokratycznej nieodpowiedzialności, przyszły błogosławiony na pewno nie miał na myśli otaczającej go rzeczywistości ani terroru niemieckiego okupanta, choć pamiętać należy, że pomijając pewien brutalizm NSDAP, ugrupowanie Hitlera, dochodząc do władzy, dostało się na polityczne salony jak najbardziej demokratycznie. Masom niemieckich wyborców program tej partii generalnie się podobał i sądzę, że gdyby całkowicie demokratyczne wybory powtórzono w Niemczech np. w roku 1939, 1940 i pewnie w 1941, to wyniki byłyby takie same. W późniejszych latach mo-

głoby być inaczej, ale nie z powodu eksterminacji Żydów, Polaków i innych przeznaczonych do niej narodów, lecz z zupełnie prozaicznych powodów – samym Niemcom się pogarszało. Ich młodzież ginęła na frontach, w sklepach asortyment oparty był na ersatzach, kupowanych w ramach coraz ściślejszego, reglamentacyjnego systemu kartkowego, brak było komfortu i okazało się, że mimo grabienia Europy z żywności, w Niemczech też jest źle. Stefanowi Wyszyńskiemu z pewnością jednak chodziło bardziej o stan Europy i świata zachodniego z okresu przedwojennego, którą to rzeczywistość bacznie obserwował. Można powiedzieć, że jeśli Niemcy padli ofiarą swojej demokratycznej nieodpowiedzialności, to tenże świat Zachodu spotkało to samo, tyle że w lustrzanym odbiciu. Europa, ze swoimi papierowymi demokracjami, nie uczyniła nic przeciwko narastającej agresji niemieckiej, bo wyborcom mogło się to nie podobać, a potem... było za późno. Oprócz tego politycy i elity gospodarcze umaczane były po uszy w interesy i interesiki, które początkowo, przy okazji zainstalowania się w Niemczech nowego reżimu, szły nawet lepiej. A że już w latach trzydziestych widziano problemy z rażącym antysemityzmem niemieckiej władzy? Cóż, spus-

czono na to zasłonę milczenia albo wciśnięto „wolnym mediom” narrację o wadze kwestii żydowskiej, która pod względem narracyjnym przypominała dzisiejsze wrzuty w postaci dyskusji o LGBTQ+. Z kolei bankierskie elity, też złożone z żydowskich biznesmenów, ulokowane poza Niemcami, wołały nic na ten temat nie wiedzieć. W końcu pieniądź był doskonałym materiałem do zamykania ust. Także „wolnym mediom”. Nie powinien więc dziwić fakt, że społeczeństwa były zmęczone taką brudną, wyzutą z podstawowych wartości demokracją.

Po wojnie

Śp. prymas patrzył w latach okupacji na ruiny po tym nieodpowiedzialnym ładzie politycznym, o którym wspomniałem powyżej, i szukał rozwiązań, które zawarł w rzeczonyj książce. Lata mijały, wydawało się, że to, co wówczas zostało napisane, przemija bezpowrotnie. Kierował Kościołem w czasach, kiedy na dobre trwało budowanie realnego socjalizmu i związanej z nim demokracji ludowej, która była dziwolągami językowo-ustrojowym. Demokracja, na jakiej opierał się system, bazowała na fundamentalnym założeniu logicznym, które na tę okoliczność wyrażało się w twierdzeniu, że papier wszystko przyjmie, a władzy raz zdobytej nie oddamy nigdy. Tak więc choroby demokracji przedwojennej były tylko zdarzeniem historycznym, do którego chętnie sięgano, by go krytykować, a to z kolei po to, by z owej krytyki wynikała słuszność idei marksistowskich, wyinterpretowanych na katedrach pseudonaukowych ośrodków tamtego czasu, przy czym ważnym czynnikiem w owych interpretacjach były aktualne kierunki polityki Związku Radzieckiego. Trochę przypominało to rzeczywistość z książek Orwella – zarówno z *Roku 1984*, jak i *Folwarku zwierzęcego*. Rzeczywistość była tak irytująca, że rzeczowa debata nad błędami przeszłości była bardzo utrudniona. Książd prymas też raczej nie wracał w swoim społecznym nauczaniu do tamtych refleksji – i tak nikt



by go nie zrozumiał. Rzeczywistość przedwojenną raczej wówczas idealizowano, odnosząc ją do propozycji ustroju socjalistycznego z całym systemowym kłamstwem, jaki za nim stał. Zresztą kiedy po upadku poprzedniego systemu w Polsce postanowiono wydać po raz pierwszy całość *Miłości i sprawiedliwości społecznej*, bojącej w roku 1990 roku, to przeszła ona niemal bez echa, bo wchodziliśmy wówczas w okres, który można by nazwać właśnie ową nieodpowiedzialnością demokratyczną i głos, który próbował porządkować rzeczywistość, a oparty był na innych aksjomatach, nie był chętnie przyjmowany. Być może trzeba było lat i pewnej powtórki z historii, by na nowo odkryć przesłanie prymasa. Kolejne wydanie książki,

zrealizowane przy okazji jego beatyfikacji, jest okazją, ale i zadaniem do poważniejszej refleksji i powrotu do rzeczowej dyskusji.

Dziś

Jak już zaznaczyłem, czasy wydają się być inne, ale to pozór. Demokratyczna nieodpowiedzialność dalej jest narzędziem rządzących światem elit, które umiejętnie używają jej jako narzędzia do demobilizacji społeczeństw w celu realizacji globalnych, zamierzonych ideologii, za którymi stoją też globalne interesy. Każdy przejaw „zmęczenia”, które to słowo oznacza raczej odruch społecznego buntu, obserwowane jest z niepokojem, a próba zmiany porządku rzeczy – obojętne, czy idąca w dobrym, czy złym kierunku – przyjmowana bywa z oburzeniem. Tu chyba szukać należy przyczyn historii, jaka wiąże się ze złamaniem monopolu dotychczasowych tradycyjnych partii politycznych w Europie Zachodniej przez ugrupowania nazywane populistycznymi, która to cecha populizmu ma być deprecjonującą ich aktywność polityczną. To nic, że ugrupowania te stosują się do zasad gry obowiązujących w demokracji liberalnej. Nie zawsze też ich hasła są nieakceptowalne z demokratyczno-liberalnego punktu widzenia, choć oczywiście fakt, że próbują artykułować coś takiego jak interes narodowy (dobrze czy źle interpretowany to inna rzecz) oraz naruszając obowiązującą narrację medialną, jest grzechem podstawowym i niewybaczalnym, tak jak nieakceptowane jest to, że politycy tych partii nie wchodzi na salony przez stworzoną wcześniej sieć partyjną, tylko budują swoją.

Tworzenie nowych narracji

Podstawą dotychczasowej układanki politycznej kryjącej się za partiami była lewacka narracja ideologiczna, której celem miało być

zniszczenie społeczeństw opartych na tradycyjnych wartościach. Odbывало się ono stopniowo poprzez opanowywanie życia politycznego i kulturalnego, oświaty oraz mediów. Tworzono spójny przekaz o walce z poprzednim opresyjnym systemem, który miał to do siebie, że był „niedemokratyczny”. Już na pierwszy rzut oka ludzie rozsądni widzieli, że z tą demokratycznością jest coś nie tak, skoro musiała ona ustawowo podierać się parytetami płciowymi. Kiedy to okazało się niewystarczające i stało się oczywiste, że mit o kobietach walczących o „swoje” prawa jest tylko mitem, bo kobiety potrafią być równie konserwatywne jak mężczyźni, trzeba było wymyślić coś nowego. Stąd chyba brały się pomysły obniżenia wieku wyborczego do 16 lat, co miało oddać głos młodzieży „wyrwanej” spod wychowawczego wpływu domu, a zainfekowanej lewacką szkolną indoktrynacją, ale to również spaliło na panewce, bo młodzież okazała się mało zainteresowana sporem politycznym starych partii, a widowiska polityczne, które miały przykuwać jej uwagę, były przez nią postrzegane jako wojny wrzeszczących starszków, że sparafrazują tytuł pewnej książki autorstwa Rafała Ziembkiewicza. Młodzież po prostu „nie kupuje” żadnych nowych autorytetów, w tym przede wszystkim tych lewackich, być może chce rewolucji, ale innej.

Tu otwiera się pole do rozważań nad drugim fragmentem frazy zaczerpniętej ze słów prymasa. Skoro instynkt zmęczonego społeczeństwa zaczyna działać, skoro dostrzega ono powoli owe świeckie moralne „brudy”, to trzeba zacząć na nowo podstawową pracę nad rewolucyjnym, jak się okazuje po ponad 80 latach, postulatem oparcia nowego ładu politycznego na etyce i moralności chrześcijańskiej. Mimo wysiłków globalnych ideologii, nie wszyscy o niej zapomnieli, trzeba tylko sił społecznych, które to koło zamachowe wprawia w ruch, bo jeśli nie ona... to będzie tylko gorzej.



**PIOTR
SUTOWICZ**

Historyk, zastępca redaktora
naczelnego, członek
Katolickiego Stowarzyszenia
„Civitas Christiana”

O bolączkach uniwersytetu w XXI wieku

Współczesny uniwersytet opiera się na trzech filarach: dydaktyce, nauce i współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym. O ile kwestia nauki i dydaktyki jest dość oczywista, o tyle trzeci filar owiany jest mglistością aury pojęciowej.

W naukach aplikacyjnych (technicznych, inżynierskich i medycznych) łatwo jest ocenić zdolność praktycznego zastosowania konkretnych rozwiązań. Wówczas niejako *ex officio* pojawia się potencjał komercjalizacyjny. Partnerzy biznesowi, nastawieni na zysk, oczekują wykorzystania możliwości nowoczesnych technologii czy sztucznej inteligencji. Innowacyjność badań oraz możliwość ich implementacji przesądzają o większych nakładach finansowych na nauki aplikacyjne kosztem nauk podstawowych.

W przypadku nauk podstawowych (humanistycznych i społecznych) sytuacja kształtuje się zgoła odmiennie. Ich podstawowym celem jest zdobycie *nomen omen* podstawowej wiedzy o zjawiskach, obserwowalnych faktach. W istocie rzeczy nauki podstawowe starają się pokazać fragment rzeczywistości przez pryzmat antropologiczny. To ludzkie ujęcie ma stanowić próbę odpowiedzi na pytanie, skąd jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Kryzys idei uniwersytetu

W przeciwieństwie do nauk aplikacyjnych, od szeroko pojętej humanistyki nie oczekuje się aspektu merkantylnego. Humanistyka ma wzbogacać pierwiastek naszej duszy. Pamiętam piękne motto w licealnej sali, gdzie miałem zajęcia z języka polskiego, znajdujące się tuż nad kredową tablicą – „Uczymy się nie dla szkoły, lecz dla życia”, Seneka Młodszy. To hasło zdaje się być niezrozumiałe dla współczesnych stu-

dentów. Wiedza jest nie tylko dobrem, zresztą coraz bardziej deficytowym, lecz towarem, za który należy słono płacić. Instytucja korepetytorów święci tryumfy już na poziomie szkół podstawowych, zaś uczelnie niepubliczne prześcigają się w zapewnieniu atrakcyjnej formy dostarczania wiedzy. Walka o studenta-klienta prowadzi do erozji wizji uniwersytetu humboldtowskiego, nastawionego na naukę i dydaktykę. Kapitalizm akademicki zmienia relacje na uniwersytecie z tradycyjnie pojmowanych mistrz – uczeń na nauczyciel *versus* uczeń. Wykładowca akademicki przestaje być w oczach studentów uczonym, zostaje zredukowany do przekaznika pożądanej wiedzy i kompetencji. „Urynkowienie” uniwersytetu w duchu neoliberalizmu doprowadziło do rozpatrywania edukacji niemal wyłącznie w kategoriach rachunku zysków i strat. Wykładowca akademicki świadczy usługę w postaci nauczania, zaś klient finalnie oczekuje produktu – dyplomu ukończenia studiów. Erozja etosu akademickiego dotyczy nie tylko studentów, ale również samych uczonych, którzy w pogoni za wszechogarniającą „punktozą” (koniecznością publikowania w wysoko punktowanych periodykach naukowych) posuwają się do zachowań nieetycznych, aby ominąć nowe rynkowe zasady. Przeobrażenia świata akademii prowadzą do powstania nowego ładu, który staje się bardziej podobny do ładu korporacyjnego aniżeli odwiecznej misji uniwersytetu – odkrywania prawdy.



Kryzys misji uniwersytetu ściśle związany jest również z kryzysem populacyjnym. W Polsce, według danych GUS, studiuje 1,2 mln studentów. Obserwuje się systematyczny spadek zainteresowania studiami II stopnia. Osoby legitymujące się licencjatem wchodzi coraz śmieiej na rynek pracy, rezygnując z kontynuacji kształcenia. Zjawisko to nosi nazwę *drop-outu*. Szczególnie widoczne jest ono w branży informatycznej – młodzi ludzie wolą zarabiać i zdobywać doświadczenie na rynku pracy, zamiast uczyć się jeszcze przez dwa lata. Studia II stopnia w istocie rzeczy są zastępowane mikropoświadczeniami (*microcredentials*) – kilkumiesięcznymi kursami, które potwierdzają znajomość oprogramowania lub obsługi systemu. Ta zindywidualizowana forma szybkiego szkolenia umożliwia zdobywanie wiedzy w sposób elastyczny z wykorzystaniem elektronicznych środków komunikacji (e-learning, wykłady online). Mikropoświadczenia pozwalają poszerzyć wiedzę, umiejętności i kompetencje potrzebne do rozwoju osobistego i zawodowego. Pracodawca w specjalnej bazie (w Polsce taką rolę spełnia portal Odznaka+) może weryfikować zdobyte przez pracownika *microcredentials*. W dłuższej perspektywie uczelnie, zamiast studiów

II stopnia, będą musiały oferować na niektórych kierunkach mikropoświadczenia, aby minimalizować negatywne skutki *drop-outu*.

Po co nam humanistyka?

Dla zachowania idei uniwersytetu wydaje się, że kluczowa będzie rola niedocenianej powszechnie humanistyki, która jednak w tym wypadku powinna zostać wyniesiona na piedestał. Po pierwsze, ze względu na pielęgnowanie uniwersalnych wartości – uniwersytetu jako „świątyni wiedzy”, uczenia zdolności krytycznego oglądu rzeczywistości, samodzielności myślenia, odróżniania fałszu od prawdy, dobra od zła. Po drugie, powrót do tego, co ponadczasowe, a nawet wiecznotrwałe, w połączeniu z bieżącym postępem wykorzystanym w służbie człowiekowi (warunek *sine qua non*) to gwarancja rozwoju cywilizacji. Na poziomie metafleksji jest to łatwe do określenia, jednak *de facto* potencjalizuje się w indywidualnych decyzjach przedstawicieli świata akademii. Po trzecie, humanistyka może stanowić nie tylko konsolację na troski doczesności, ale przestrzegać przed błędami popełnionym w przeszłości, ucząc na konkretnych przykładach. Trzeba tylko umieć rozszyfrować pewne idee, koncepty, prądy

i nurty. Po czwarte wreszcie, postęp aplikacyjny będzie niepełny lub niepożądany, jeżeli dokona się bez partycypacji nauk podstawowych.

Jak rozpoznać dobrego naukowca?

Kiedyś jeden ze znajomych zapytał mnie, czy jest jakiś uniwersalny sposób, który pozwala rozpoznać, że ktoś jest dobrym naukowcem? Po chwili zawahania odpowiedziałem – tak, dobry naukowiec to ten, który w przystępny sposób potrafi opowiedzieć o tym, czym się zajmuje. Tutaj pojawia się słowo klucz: społeczna odpowiedzialność nauki. Zdolność do popularyzowania dokonań naukowych, wiedzy naukowej dla społeczeństwa. W tym tkwi istota trzeciego filaru uniwersytetu – współpracy z otoczeniem społeczno-gospodarczym. Umiejętność opowiadania o cząsteczkach molekularnych, dziełach Gombrowicza, zasadach ekonomii czy właściwościach pola magnetycznego sprawia, że chociaż status badań podstawowych i aplikacyjnych jest wewnętrznie zróżnicowany, to potrzeba zaakcentowania doniosłości nauki w codziennym życiu łączy wszystkich przedstawicieli świata akademii. Videocasty, podcasty, symulacje, web-guesty, quizy pozwalają na prezentację dokonań naukowych w atrakcyjnej formie. Współpraca z otoczeniem społeczno-gospodarczym jest ściśle powiązana z dydaktyką. Właśnie w ten sposób naukowcy mogą udowodniać obywatelom, że są potrzebni. Dobrze byłoby, gdyby w procesie ewaluacji uczelni zapewniono właściwe miejsce dla tego obszaru, który zdaje się być nadal nie zawsze doceniany przez samych naukowców, a tym samym w ograniczonym stopniu wpływa na świadomość społeczną obywateli na temat znaczenia nauki. Każdy z trzech filarów nowoczesnego uniwersytetu powinien być właściwie doceniony w procesie oceny parametrycznej uczelni.

Transformacja szkolnictwa wyższego, zmiana modelu kształcenia akademickiego,

z którą przyszło mierzyć się nie tylko w Polsce, ale i na świecie, ma przede wszystkim wymiar finansowy. Bez względu na to, o jakiej dziedzinie nauki mówimy, od wielu lat polskie środowisko akademickie oczekuje zmian systemowych związanych z finansowaniem nauki. Mityczne 3% nakładów budżetowych na naukę nadal pozostaje w sferze marzeń. Deklaracje decydentów politycznych pojawiają się jako przedwyborczy bon mot, którego siła oddziaływania maleje wraz z opadnięciem kurzu wyborczego. Trudno oczekiwać przełomowych odkryć, oryginalnych i śmiałych hipotez, pionierskich badań, współpracy międzynarodowej bez odpowiedniego finansowania. W zakresie infrastruktury badawczej dotychczas zostało zrobione wiele. Mamy nowoczesne laboratoria, specjalistyczne banki danych, bazy danych, obserwatoria etc.

Od momentu wybuchu wojny na Ukrainie, Polska stała się krajem przyfrontowym, *no lens volens* fakt ten determinował możliwość bezpośredniej współpracy na styku nauki z biznesem oraz ograniczał szanse przyciągania potencjalnych inwestorów. Inwestycja w naukę to inwestycja w dobro wspólne i kapitał, który prędzej czy później wróci do Polski. Ta świadomość musi towarzyszyć decydentom sektora publicznego w procesie dysponowania środkami publicznymi, zaś skoncentrowanie się na dwóch, trzech specjalizacjach pozwoli Polsce na uzyskanie statusu lidera. Śmiałe i ambitne plany mogą się ziścić, jednak wymaga to strategicznego działania i konsolidacji całego środowiska akademickiego. Czy to możliwe? Wierzę, że w czasach kryzysu zwycięży nasza narodowa zdolność solidarności i jednoczenia się, a pre-dyspozycje do waśni i sporów przynajmniej na „dłuższą chwilę” ulegną hibernacji. W końcu chodzi o dobro następnych pokoleń Polaków. Nie możemy pozwolić sobie na pozostanie na peryferiach.



DAWID KOSTECKI

Doktor prawa, magister historii, członek Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”

Czy Kościół boi się cielesności?

Inspiracją do napisania tego tekstu było banalne wydarzenie, wobec którego można by przejść obojętnie. Któregoś razu w Muzeum Archidiecezjalnym w Poznaniu uczestniczyłem w spotkaniu „Kuźni Teologicznych Inspiracji”. Wydarzeniu towarzyszyła wystawa „École de Paris – artyści polsko-żydowscy”. Wśród licznych obrazów jeden szczególnie wzbudził zainteresowanie pewnego uczestnika. Na obrazie Meli Muter *Błękitne macierzyństwo* widzimy kobietę karmiącą niemowlę.

I tak, jak pisałem na początku, można było przejść obok tego obojętnie, jednak wspomniany uczestnik rozpoczął swoją krytykę. Bo jak to może być, że tak niegodne obrazy, przedstawiające rozneglizowane ciało, towarzyszą tak wzniosłym treściom jak kwestie teologiczne poruszane na „Kuźni”? Pomyślałem, że coś jest na rzeczy, skoro można się zgorszyć widokiem kobiety karmiącej dziecko, a równocześnie zachwycać nagimi postaciami z fresków Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej.

Upiory z dawnych lat

Kościół katolicki od wieków zmagają się z kwestią podejścia do cielesności, balansując między afirmacją a obawą przed nadużyciami. Problem jest stary jak świat, albo co najmniej jak kultura. Wyraźne tego odbicie widać w sporach greckich szkół filozoficznych. Podejście do ciała, a więc materii, w filozofii balansuje od skrajnego odrzucenia po głęboką refleksję nad jego duchowym znaczeniem. Filozoficzne rozterki Greków znalazły swoje miejsce także w formującej się chrześcijańskiej doktrynie na długo przed wypracowaniem przez starożytny Kościół pierwszego wspólnego wyznania wiary w Nicei w 325 roku.

Odbiciem myśli o ciele jako czymś złym był na przełomie I i II wieku doketyzm. Doketyści głosili, że Jezus nie posiadał prawdziwego, materialnego ciała, a jedynie pozorne (od gr. *dokein* – wydawać się), niebiańskie ciało, które nie mogło cierpieć, bowiem boskość nie mogła zjednoczyć się z czymś tak niskim jak ciało ludzkie. Tym samym odrzucali realność wcielenia i cierpienia Chrystusa, co stało w sprzeczności z nauką Kościoła o zbawczym charakterze męki i śmierci Jezusa. Reakcja na taki pogląd była stanowcza i w miarę szybka, a pamiątkę tego mamy w obu Listach św. Jana (zob. 1 J 1, 1; 2 J 1,7). Sobór w Chalcedonie w 451 roku definiował Chrystusa jako prawdziwego Boga i prawdziwego człowieka, a co za tym idzie, dał pewną wykładnię dla wartości ludzkiego ciała.

Sprawa wróciła tysiąc lat później, między XI a XIII wiekiem. Tym razem nie pod pojęciem pozoru, ale czystości (*katharoi* – czystości). Katarzy korzeniami swojej myśli wracali do tej samej dualistycznej koncepcji świata, co ich starsi „bracia”. Duch jest dobry, a materia zła, przy czym każdą z tych dwóch przeciwnych rzeczywistości rządzi odpowiednio dobry i zły Bóg. Odrzucali oni zatem wszystko, co związane z materią – ciałem, np. pokarmy pochodze-

nia zwierzęcego. Jednak tym, czego najbardziej się bali, była właśnie ludzka cielesność, przez co ich doktryna poniżała wartość małżeństwa i z nim związane seksualność i prokreację, aby nie niewolić dobrej duszy w złym ciele. Kościół katolicki uznał kataryzm za zagrożenie dla ortodoksyjnej wiary i porządku społecznego. To doprowadziło do krucjat przeciw katarom, które u wielu badaczy budzą spore kontrowersje, oraz ustanowienia inkwizycji i narodzin Zakonu Kaznodziejskiego, znanego nam wszystkim jako dominikanie.

Cykliczny problem?

Uważny czytelnik na pewno zanotował, że wspomniane w poprzednich akapitach upiory, jak feniks z popiołów, odradzają się w dziejach ludzkości całkiem regularnie. Co kolejne milenium Kościół stawał przed zadaniem obrony tej wartości, jaką jest ludzkie ciało. Czy zatem i nasze czasy też są narażone na mierzenie się z powracającym „upiorem”? To wręcz pytanie retoryczne. Wydaje się, że nie muszą nikogo przekonywać, że już od dawna tzw. świat Zachodu przechodzi kolejny wielki kryzys podejścia do ludzkiej cielesności i seksualności. Tym razem jednak wahadło znajduje się po drugiej stronie. Dziś problemem może być zbyt duża afirmacja ludzkiego ciała, kosztem tej zrównoważonej, biblijnej równości duchowo-cieleśnej, o której mówi Księga Rodzaju. Wystarczy wspomnieć tu stale obecne hasła programowe: seksualizacja przestrzeni publicznej, błędnie pojmowane równouprawnienie i ideologia gender. Doskonale znamy problemy, jakie za nimi stoją.

Nowa perspektywa: Jan Paweł II i teologia ciała

Problem wspomnianych wcześniej zmian nie był obcy już w poprzednim stuleciu. Ks. Robert Skrzypczak w jednym z wywiadów zauważa: „Wojtyła przyjechał do kraju z przekonaniem, że ludzka miłość, małżeństwo i rodzina to są tereny bardzo zagrożone, jeśli chodzi o kierunki, które podejmuje współczesna cywilizacja. Widział, że ludzie mają coraz większą trudność, żeby utrzymać związki, że rodziny się rozpadają. Potem przyszła rewolucja 1968 roku, rewolucja antykoncepcyjna, zmiany obyczajowe, także zmiany legislacyjne – prawo do rozwodów, do eutanazji, do aborcji. A to wszystko niesło ze sobą wiele cierpienia”. Już jako Jan Paweł II, nasz rodak podjął próbę zrewidowania katolickiego podejścia do cielesności poprzez serię katechez znanych jako „teologia ciała”. Między 1979 a 1984 rokiem podczas audiencji generalnych w Watykanie papież wygłosił 129 katechez, w których analizował znaczenie ludzkiego ciała i seksualności w kontekście Bożego planu. Hasłem przewodnim stały się tu słowa ze wspomnia-



nej już Księgi Rodzaju: „Mężczyznę i niewiastę stworzył ich” (Rdz 1, 27). Użył notabene słów, które w większości posiadanych przez nas Biblii w Polsce przetłumaczono w błędny sposób, co powoduje nadal wiele trudności na gruncie polskiej teologii. Zainteresowanych odsyłam do zadawania pytań biblistom.

Jan Paweł II podkreślał, że ciało ludzkie nie jest jedynie biologiczną strukturą, ale ma głębokie znaczenie teologiczne. Wskazywał na „pierwotną niewinność” człowieka przed upadkiem, kiedy to ciało i seksualność były w pełni zintegrowane z duchowością. Papież zwracał uwagę na to, że poprzez ciało człowiek wyraża swoją osobowość i zdolność do miłości, a małżeństwo jest obrazem miłości Chrystusa do Kościoła. Teologia ciała Jana Pawła II stanowiła odpowiedź na współczesne wyzwania związane z seksualnością i cielesnością, oferując wizję, w której ciało i duch są nierozłączne, a cielesność jest integralną częścią ludzkiej tożsamości i powołania. Cytowany wcześniej ks. Skrzypczak kwituje to w ten sposób: „To nie była walka z *kimś*, to była walka o. Jan Paweł II niktogo nie zwalczał. Chciał podarować ludziom pełną wizję człowieka, ludzkich spraw, a więc także ludzkich relacji – w oparciu o światło Bożego objawienia”.

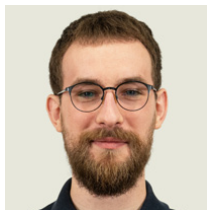
Co zatem z tym ciałem?

Analizując powyższe, trzeba powiedzieć jasno: Kościół katolicki ciała się nie boi. Zresztą poucza nas o tym sam Zbawiciel: „Nie bójcie się tych, którzy zabijają ciało, lecz duszy zabić nie mogą. Bójcie się raczej Tego, który duszę i ciało może zatracić w piekle” (Mt 10, 28). Kościół jednak ciała nie afirmuje tak, jak chciałby tego dzisiejszy świat. Herezje takie jak doketyzm i kataryzm były odrzucające nie tylko ze względu na ich błędne nauki

o Chrystusie, ale także dlatego, że deprecjowały one wartość ludzkiego ciała i materialnego świata, które w chrześcijaństwie są uznawane za dobre i stworzone przez Boga. Dziedzictwo Jana Pawła II w postaci teologii ciała pokazuje, że Kościół dostrzega głębokie znaczenie cielesności i dąży do jej integracji z duchowością. Ciało nie jest postrzegane jako przeszkoda w dążeniu do świętości, ale jako środek wyrazu miłości i narzędzie realizacji Bożego planu.

Oczywiście, w historii Kościoła pojawiały się tendencje ascetyczne i podejrzliwość wobec cielesności, zwłaszcza w kontekście grzechu i pokus. Jednakże oficjalne nauczanie Kościoła zawsze podkreślało wartość ciała, co znajduje wyraz w wierze w „ciała zmartwychwstanie” wyznawanej w Credo. Współczesny świat stawia przed Kościołem nowe wyzwania związane z cielesnością. Musimy dziś mierzyć się z kulturą permissywy, z uprzedmiotowieniem ciała w mediach oraz ideologiami, które redefiniują płć i seksualność. Jednocześnie pojawiają się tendencje do rygorystycznego moralizowania, które mogą

sprawiać wrażenie, że chrześcijaństwo nadal z trudem odnajduje równowagę między duchowością a cielesnością. Może przykładem takiego rygoru był wspomniany we wstępie człowiek z muzeum? W tym kontekście nauczanie Jana Pawła II o teologii ciała wciąż pozostaje aktualne – przypomina bowiem, że ciało i seksualność nie są przeszkodą w życiu duchowym, lecz miejscem, w którym człowiek może odkrywać swoją godność i powołanie do miłości. Kościół nie boi się więc cielesności, ale nieustannie poszukuje sposobów, by ukazać jej prawdziwy sens – jako daru, a nie zagrożenia. W tym też kontekście okazuje się, jak bardzo z tyłu, a nawet w zapomnieniu, pozostała w Polsce katecheza dorosłych i wielkie dzieło naszego papieża.



SEBASTIAN MRÓZ

Student teologii, pasjonat Pisma Świętego i języków klasycznych, koordynator OKWB archidiecezji poznańskiej

Pielgrzymi nadziei niosący prawdę, miłość i dobro

26 lutego w Panteonie Górnośląskim już po raz 49. odbyła się gala wręczenia śląskiej Nagrody im. Juliusza Ligonia. Fundatorem nagrody jest Katolickie Stowarzyszenie „Civitas Christiana”. Ligoniowe Laury, przyznawane od 1963 roku, mogą poszczycić się najdłuższą historią spośród nagród regionalnych na Śląsku.

Gałę poprowadził Sylwester Strzałkowski, a rozpoczął ją dyrektor Panteonu Górnośląskiego Ryszard Kopiec, który skierował do zebranych słowo wstępu. Obaj swoim humorem i spontanicznością zapewnili atmosferę ciepła i otwartości na innych. Wśród zgromadzonych gości, oprócz członków Kapituły oraz laureatów, ich rodzin i przyjaciół, znaleźli się m.in. ks. bp Marek Szkudło, wiceprezydent miasta Katowice Maciej Biskupski, członkowie i przedstawiciele „Civitas Christiana” na czele z prezesem zarządu Kamilem Sulejem oraz wiceprzewodniczącym Rady Nadzorczej Marcinem Sychowskim oraz laureaci poprzednich edycji nagrody. Gali patronowało przesłanie niesione przez wszystkich „pielgrzymów nadziei”, mówiące, że są trzy nadrzędne wartości, których człowiek szuka i potrzebuje: dobro, prawda oraz miłość.

Miłość

Pierwsza statuetka trafiła do Heleny i Leona Białeckich, emerytowanego małżeństwa z ponad 70-letnim stażem, nauczycieli z Szerokiej, piewców lokalnej kultury, tradycji i historii, autorów 25 książek o Szerokiej i okolicy. Film, przedstawiający ich życie, nie tylko zwrócił uwagę na ich dokonania, ale również pokazał miłość małżeńską. Laudację na ich cześć wygłosił Marcin Boratyn, kierownik Galerii Historii Miasta w Jastrzębiu-Zdroju: „Mamy tu ludzi, którzy swoją codzienną pracą, poświęceniem, zaangażowaniem tworzyli rzeczy wielkie i to pro publico bono. To są ludzie, którzy zasługują na to, żeby ich nazywać cichymi bohaterami co-

dzienności. (...) Twórczość Białeckich jest skierowana do zwykłego człowieka, który też przecież ma prawo wiedzieć, skąd pochodzi. (...) Białeccy dociekają prawdy i są jej wierni (...)”. Jak podkreślił pan Marcin, państwo Białeccy są mu znani nie tylko z opowiadań czy książek przez nich pisanych, ale zna ich osobiście, są bliscy jego sercu, a ich przykład inspirował go do działania i wytężonej pracy. Pani Helena pokazuje nam wartość legend i opowiadań, którymi można ocalić od zapomnienia swoją małą ojczyznę. Pan Leon ukazuje wartość najwyższą – potrzebę walki o krzyż w przestrzeni publicznej. Mówi też o tym, na czym trzeba budować wartości nie tylko w małżeństwie i rodzinie, ale też w społeczeństwie. W imieniu laureatów nagrodę odebrał ich syn, Leszek Białeckiecki, który przekazał zebranim informację o tym, jak wielką radość sprawiło rodzicom to wyróżnienie.

Prawda

Drugą statuetkę otrzymał prof. dr hab. Krzysztof Wieczorek, a laudację na jego cześć wygłosił dr hab. Marek Rembierz, prof. Uniwersytetu Śląskiego. Zwrócił uwagę na szeroką aktywność naukową laureata, jego zasługi jako nauczyciela akademickiego, rzadko spotykaną umiejętność prowadzenia dialogu międzyreligijnego, szerokość spojrzenia i głębię dociekań, bystrość zestawień oraz zaangażowanie w życie diecezji. Laudator opowiedział o filozofii nudy, którą zajmuje się laureat, i zachęcił, by brać z niego przykład, ponieważ „nigdy nikogo nie zanudził, natomiast skłania do refleksji

nad samym sobą. To jest bardzo wielkie osiągnięcie filozofa, który umie pobudzić, by zastanowić się nad samym sobą i zarazem wyzwolić w sobie iskrę poczucia humoru”. Profesor Wieczorek często porusza tematy miłości, człowieczeństwa, otwartości na drugiego człowieka, dialogu, który nieraz prowadzi do ostrej konfrontacji, ale także mówi o poszukiwaniu dobra i godności w drugim człowieku. Jego praca wnosi znaczący wkład w dialog międzyreligijny na Śląsku.

Dobro

Trzecia statuetka trafiła do rąk ks. Dariusza Amrogowicza, dyrektora Caritas Archidiecezji Wrocławskiej. Laudację wygłosił rzecznik archidiecezji, Maciej Rajfur, który podkreślił: „W ramach codziennej działalności Caritas obejmuje opieką 1500 osób, jadłodajnia obsługuje 700 osób dziennie, w łaźni potrzebujący kąpią się 12000 razy rocznie, a 8000 razy pobierają świeże ubrania. Hospicjum domowe niesie ulgę 500 pacjentom w ciągu roku. Do tego Caritas pomaga 300 seniorom w trudnej sytuacji materialnej, prowadzi warsztaty terapii zajęciowej, ośrodek szkolno-wychowawczy, gdzie rozwija się setka dzieci i dwustu dorosłych. A to nie wszystko”. Liczby mówią same za siebie, ale nie one są najważniejsze. Najpiękniejsze jest świadectwo osób, które twierdzą, że pracownicy Caritas są ich aniołami. W swoim wystąpieniu Maciej Rajfur podkreślił również, że działalność organizacji w Archidiecezji Wrocławskiej zaczęła się o wiele wcześniej, ponad 120 lat temu – od matki Gabrieli Klausy. Jej hasło o niesieniu *ofiary miłości* – *victima caritatis* jest wciąż żywe i aktualne, a siła Caritas to siła wspólnoty. Odbierając nagrodę, ks. Dariusz Amrogowicz zaznaczył: „Po prostu robimy to, co należy robić. (...) Mogę powiedzieć, że parę tysięcy ludzi jest beneficjentami dzisiejszej nagrody. (...) Dziękuję za to szczególnie i wyjątkowe wyróżnienie”.

Następnie do zgromadzonych przemówił ks. bp Marek Szkudło. W odniesieniu do hasła Roku Jubileuszowego”, mianem *pielgrzymów nadziei* określił wszystkich tegorocznych laureatów Nagrody im. Juliusza Ligonia. Prezes zarządu „Civitas Christiana” Kamil Sulej pogratulował laureatom, zwracając uwagę na znaczący wpływ ich dobroczynności na obecne czasy. Wskazał też wspólny mianownik – wartość miłości, którą laureaci przejawiają w różnych aspektach życia społeczno-kulturalnego – który łączy ich z patronem nagrody, Juliuszem Ligoniem. Jako ostatni gratulacje złożył wiceprezydent Katowic Maciej Biskupski, wskazując na szczególne znacznie Nagrody Ligonia dla miasta.

Wieczór podsumował przewodniczący Kapituły, ks. dr hab. Arkadiusz Wuwer: „Państwo Białe



**MAŁGORZATA
BERNAT**

Katechetka, koordynator
OKWB archidiecezji
katowickiej

łyccy to dla mnie symbol *miłości*, wyrażający się nie tylko w ich pięknym małżeństwie i sposobie, w jaki opowiadają o swoim życiu, ale też w miłości do ziemi, w której się wyrasta. (...) Pan prof. Wieczorek jest dla mnie uosobieniem *prawdy* i dążenia do prawdy, tak jak na filozofa przystało, który inspiruje do dążenia do prawdy. (...) I wreszcie Caritas – to symbol *miłości*. (...) I jeżeli dzisiaj nagradzamy i dziękujemy za pomoc Caritasu,

to wiemy, że to jest tylko jedno ogniwo wielkiego łańcucha dobra, które płynie od czasów, kiedy Pan Jezus nakazał na wzór dobrego Samarytana widzieć Siebie w tych najbardziej potrzebujących”.

Tegoroczna gala w Panteonie Górnośląskim w Katowicach po raz kolejny ukazała, że wartości, które przyświecały patronowi wyróżnienia, ks. Juliuszowi Ligoniowi, są nadal żywe i aktualne. Takich aniołów – cichych, w codzienności niosących nadzieję, każdemu z nas potrzeba.

 **YouTube**

Playlista:

https://www.youtube.com/watch?v=GnRulwLCOyA&list=PLux4R99nKMNNUzPMIHMqegaj4FF_OKqhU





Fot. Marta Karpińska

49. Nagroda Katolickiego Stowarzyszenia "Civitas Christiana" im. Juliusza Ligonia

Katowice, 26 lutego 2025 roku



Laureaci Nagrody:

Helena i Leon Białeccc



www.youtube.com/watch?v=-Y_7MI4ZCWM

prof. dr hab. Krzysztof Wieczorek



www.youtube.com/watch?v=_sGNWZj8E78

Caritas Archidiecezji Wrocławskiej



www.youtube.com/watch?v=gApbpdz43Sg



Po co nam dojrzałe powołania świeckie?

O potrzebie modlitwy o dojrzałe powołania świeckie, formacji społecznej w Kościele i o polityce, która przestała być troską o dobro wspólne z ks. bp. Piotrem Jareckim, doktorem nauk społecznych, krajowym asystentem kościelnym Akcji Katolickiej w Polsce w latach 1996-2003, rozmawia Piotr Sutowicz.

Dużo się mówi o konieczności modlitwy o powołania kapłańskie, co jest zrozumiałe w dzisiejszych okolicznościach. Jednak Ksiądz Biskup zwraca szczególną uwagę na konieczność modlitwy o dojrzałe powołania świeckich w Kościele. Dlaczego?

Od kiedy jestem biskupem, czyli już trzydziesty pierwszy rok, zwracam na to szczególną uwagę. Niestety odbija się to jak groch o ścianę i nikt sobie tego nie bierze do serca. Myślę, że ani razu w modlitwie wiernych nie słyszałem wezwania: „Módlmy się o dojrzałe powołania świeckie”. Sam tego nie wymyśliłem, natomiast zwrócił mi na to uwagę jeden z biskupów włoskich, Agostino Superbo, w czasie kiedy byłem asystentem Akcji Katolickiej i działałem także w Międzynarodowym Forum Akcji Katolickiej, któremu on przewodniczył. Kiedyś mi powiedział, że dobrze, że się modlimy o dojrzałe powołania kapłańskie i zakonne, ale to nie jest największy problem w Kościele i w społeczeństwie. Jest nim brak dojrzałych powołań świeckich. Łączy się to z szerszym tematem, jakim jest rola Kościoła. Czy Pan Jezus powołał Kościół dla samego siebie? Jeżeli będziemy istnieć dla samych siebie, to przekształcimy się w grupę interesu i, niestety, nieraz nam to grozi. Pan Jezus powołał Kościół po to, ażeby był zaczynem dla świata i w świecie. Żeby świat przekształcać od wewnątrz w kierunku Królestwa Bożego,

które się powinno rozpocząć już tutaj na ziemi. Jak wierzymy, kiedy przyjdzie Pan Jezus, to temu, co dobrego uczynili ludzie inspirowani wiarą, nada doskonały kształt i zainauguruje Królestwo, które nie będzie miało końca. I kto w tym przekształcaniu świata odgrywa najważniejszą rolę? Czy też powinien odgrywać? Ci, którzy są najliczniejsi, najaktywniejsi w świecie i nadają ton życiu społecznemu, politycznemu, gospodarczemu, kulturalnemu i tak dalej. To są ludzie świeccy. Z inspiracji wiary chrześcijańskiej mają nadawać ewangeliczny, Chrystusowy kształt rzeczywistości ziemskiej.

Gdzie tkwi błąd, że ciągle pozostaje to na poziomie jednak dość akademickich dywagacji?

Ad hoc mogę odpowiedzieć, że lęki są zarówno po stronie duchownych, jak świeckich. Po stronie duchownych to obawa, żeby nie utracić swojej pozycji, gdyż w przeszłości to oni odgrywali dużą rolę i nadawali kształt światu. Świeccy lękają się, żeby czasami nie popełniać błędów i nie podpaść hierarchii. Na początku mojego biskupstwa wielu polityków przychodziło do mnie z pytaniem, co mają robić. Odpowiadałem, że to nie moja rola, że mogę im pomóc w chrześcijańskim ukształtowaniu sumień, natomiast sami powinni wiedzieć co robić. Z drugiej strony między moją a ich pro-



pozycją zawsze będzie rozbieżność. Bo ja jestem stróżem ideału, a politycy działają w konkretnej rzeczywistości pluralistycznego społeczeństwa i mogą zrobić tylko to, co jest możliwe w danej rzeczywistości.

Pozostaje jeszcze pytanie, skąd świeccy mają wiedzieć, jak aplikować w skomplikowanym, pluralistycznym świecie katolicką naukę społeczną? Tym bardziej że – ośmielę się tu użyć pewnego sofizmu – jest ona uważana za bardzo pilnie strzeżoną tajemnicę Kościoła.

To brzmi nieco humorystycznie, natomiast jest tragiczne. O tym, że nauka społeczna Kościoła jest najbardziej strzeżoną tajemnicą w samym Kościele, wyczytałem kiedyś w przemówieniu kardynała Wyszyńskiego do jej wykładowców. Natomiast jeden z naszych sędziwych profesorów zapytany przeze mnie wiele lat temu o wykłady nauki społecznej Kościoła, prowadzone przez wybitnego znawcę prof. Aleksandra Wójcickiego, tylko jedno zapamiętał, że *nauka społeczna jest i obowiązuje*. Dlaczego tak jest? Dotykamy tutaj bardzo złożonej rzeczywistości. Głosić ideał jest prosto. Stosować metodę tylko dedukcyjną – bardzo prosto. Natomiast rzucić światło Ewangelii na

skomplikowaną rzeczywistość społeczno-gospodarczo-polityczną oraz kulturową to już jest trudna sprawa. Jeżeli ktoś nie jest ideologiem, który postrzega rzeczywistość w czarno-białych kolorach, to musi się choć trochę znać na dynamice społeczeństwa, gospodarce, polityce i na zmianach kulturowych. Być może ze względu na to, że to jest trudne przedsięwzięcie, to od tego uciekamy. W Ewangelii Pan Jezus mówi, żeby miłować nieprzyjaciół. To serce chrześcijaństwa. W rzeczywistości mikrospołecznej, w relacji osoba – osoba, jest to jeszcze do wyobrażenia. Natomiast w rzeczywistości makrospołecznej, choćby podczas obecnego konfliktu i agresji Rosji na Ukrainę, już nie tak prosto. Chrześcijaństwo jest łatwe do zastosowania, kiedy pod względem moralnym mamy mniej więcej porównywalne podmioty, ale jeżeli jeden jest agresorem i z niczym się nie liczy, a drugi chciałby się kierować logiką chrześcijańską, to co z tym począć? Często więc uciekamy w teorię, natomiast konkretnych, rzeczywistych problemów nie rozwiążemy.

Czy nie istnieje niebezpieczeństwo nadużyć ze strony świeckich, że nie dokonają w swej działalności aplikacji nauki społecznej Kościoła, tylko ideologizacji pod przykrywką autorytetu takiego czy innego biskupa?

Świecki w swojej działalności politycznej powinien być obecny i zaangażowany z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność. To są dwie bardzo ważne rzeczy. On nie jest tam posłany przez Kościół hierarchiczny, tylko odkrywa w sobie powołanie do zaangażowania politycznego. Duchowny może mu w tym pomóc, doradzić, szczególnie jeśli się przyjaźnią, natomiast nie ma prawa go tam wysyłać. Świecki w życiu publicznym, szczególnie w życiu politycznym, nie jest przedłużonym ramieniem Kościoła.

Tak trochę było w tradycyjnej chadecji.

Trochę tak. Niektórzy sądzą, że powinno być tak samo i teraz, ale nie. Świecki działa na własną odpowiedzialność, rozeznając swoje powołanie polityczne, i nie reprezentuje tam Kościoła. Zawsze o tym mówiłem i nie umiem zmienić zdania, że między wyborami świeckiego w życiu politycznym a nauką Kościoła będzie rozdźwięk. Kiedy w działalność polityczną angażuje się z własnej inicjatywy człowiek świecki, musi mieć uformowane sumienie, powinien być człowiekiem dojrzałym i wolnym, czyli niezideologizowanym i silnym, potrafiącym walczyć. Używając słów Jana Pawła II z encykliki *Laborem exercens*, nie ma zaangażowania bez walki. Hasłem przewodnim „Partito Popolare”, które założył don Luigi Sturzo, były słowa „Liberi e forti” – „Wolni i mocni”. To świetna charakterystyka polityka o inspiracji chrześcijańskiej.

Do tego potrzeba formacji. Formacji społecznej w Kościele, a to obszar całkowicie albo prawie całkowicie niezagospodarowany. Weźmy za przykład katechezę szkolną.

Kiedy działałem w Akcji Katolickiej, rozmawiałem o tym ze świętej pamięci o. Ziębą i nawet postanowiliśmy sobie, że przygotujemy program dla lekcji religii, poczynszy już od szkoły podstawowej, zawierający podstawy nauczania społecznego Kościoła. Niestety, nic nam z tego nie wyszło.

A formacja dorosłych zaangażowanych społecznie?

Staraliśmy się z Akcją Katolicką podejmować ten temat i kiedy wyszło *Kompendium nauki społecznej Kościoła*, przeprowadziłem dwanaście spotkań z dyskusją, przybliżając tematy, które są w nim zawarte. Uczestniczyło w nich około stu osób. Nieraz myślę, czy nie warto by było powtórzyć tego w dzisiejszych czasach. Trzeba by było zebrać jakichś znawców nauczania społecznego Kościoła, żeby przybliżyli poszczególne rozdziały tego kompendium, przede wszystkim ludziom



młodym. Trzy razy miałem rekolekcje dla Parlamentu w parafii św. Aleksandra. Na 460 parlamentarzystów uczestniczyło plus minus pięćdziesięciu. Starłem się podjąć tematy społeczne, natomiast liderzy nie są zainteresowani tą tematyką, oni wszystko wiedzą. Księdzu mogą powiedzieć, jak od podszewki znają tę codzienność polityczną. Jednym z największych zafałszowań, jakie dzisiaj obserwuję, jest rozumienie i realizacja polityki. Jest ona w przepastnym kontraście z nauczaniem społecznym Kościoła. Troska nie tylko o drugiego człowieka i jego dobro, ale o dobro wszystkich to jedna z najszlachetniejszych form miłości bliźniego, która ustępuje tylko miłości religijnej, czyli miłości do Boga. Droga od zaangażowania partyjnego do zaangażowania parlamentarnego – i dalej – wymaga w pewnym sensie zmiany myślenia. Czyli przejścia z dbania o cząstkę do dbania o całość. Powinniśmy się zgodzić co do głównych wartości, natomiast możemy się różnić w zależności od opcji, a zarazem dyskutować na temat dróg do realizacji wspólnego celu. Natomiast dzisiaj nie ma wspólnego celu, a jeżeli jest, to tylko werbalny, ponieważ podkładamy pod to samo określenie zupełnie inne treści.

I to jest nasz główny problem. Bardzo dziękuję Księdzu Biskupowi za rozmowę.

W Gnieźnie i Kaliszu wiedzą, czym jest KNS i dlaczego warto się nią zajmować

Za nami kolejne spotkania z cyklu „Widzieć – oceniać – działać. Katolicka nauka społeczna w teorii i praktyce”. Zaproszeni prelegenci kwestie związane z KNS oraz wydanym przez Instytut Wydawniczy PAX *Słownikiem katolickiej nauki społecznej* prezentowali tym razem w Gnieźnie (21 lutego 2025) oraz w Kaliszu (27 lutego 2025).

Nasi prelegenci, ks. dr Tomasz Głuszak (Gniezno) oraz ks. kan. Paweł Guździół (Kalisz), wprowadzili słuchaczy w podstawowe pojęcia i zagadnienia związane z katolicką nauką społeczną. Zgromadzeni mieli okazję dowiedzieć się o początkach KNS-u jako odrębnej dziedziny badań teologicznych, która swoje źródła ma w dokumencie *Rerum novarum* papieża Leona XIII, wydanym 15 maja 1891 roku. Papież Leon XIII po raz pierwszy w całościowy sposób

pochylił się nad zagadnieniami dotyczącymi ówczesne społeczeństwa i poświęcił temu encyklikę. Poza *Rerum novarum* księża przedstawili publikacje kolejnych papieży, którzy podejmowali kwestie społeczne w swoim nauczaniu. Silnie podkreślili, że katolicką naukę społeczną można nazwać „społeczną ewangelią”, a to z dwóch powodów. Po pierwsze Ewangelia jest głównym źródłem, z którego ta nauka czerpie. Po drugie KNS jest Dobrą Nowiną, którą



Fot. Sebastian Mróz



przekładamy na język społecznych problemów. Następnie przewodniczący Zarządu Oddziału Okręgowego Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Poznaniu – Karol Irmeler – podjął się odpowiedzi na pytanie, dlaczego warto zajmować się katolicką nauką społeczną. Komentując ważną społeczną encyklikę *Quadragesimo anno* papieża Piusa XI, zauważył, że: „Od samego początku konfrontowała się ona [katolicka nauka społeczna] z rzeczywistością społeczną i gospodarczą tamtych czasów. Dlatego warto się nią zajmować, bo nie jest ona jedynie teorią, ale wchodzi głęboko w ten wir życia społecznego, gospodarczego, politycznego, dokonując moralnej oceny tego, co dzieje się wokół nas”. Dokonał porównania KNS do busoli, która poza wyznaczaniem kierunków „dostrzega, namierza zagadnienia, problemy społeczne, gospodarcze i polityczne, poddając je ocenie moralnej”.

Kolejno głos zabrali Maciej Szepietowski – dyrektor Instytutu Wydawniczego PAX oraz Marian Rybicki z „Civitas Christiana”, którzy zaprezentowali *Słownik katolickiej nauki społecznej*. Maciej Szepietowski przedstawił również genezę wydania tej publikacji. Przypomniał, że poprzednie takie dzieło, poświęcone obszernie całości nauczania społecznego, zostało wydane blisko 30 lat temu. Zatem Instytut podjął się zadania zaproszenia do współpracy

naukowców z wielu ośrodków akademickich w Polsce i opracowania na nowo licznych haseł, gdyż część na przestrzeni tylu lat się zdezaktualizowała, pojawiły się także nowe problemy, na które patrzymy dziś z innej perspektywy. Marian Rybicki, prezentując słownik, rzucił wyzwanie słuchaczom, by spróbowali tak jak on przeczytać go od deski do deski. Na dowód pokazał swój egzemplarz, wypełniony licznymi notatkami i fiskalami. Przytoczył także anegdotę dotyczącą KNS, która wywołała uśmiechy na twarzach słuchaczy. „Na pytanie profesora «Czym jest KNS?», pewien student odpowiedział po dłuższej chwili milczenia, że *katolicka nauka społeczna to jest nic nowego*. Zdumiony profesor, także po chwili milczenia, przyznał studentowi rację, bo to wszystko można znaleźć w Ewangelii”.

Na obu konferencjach, po wystąpieniach prelegentów, zgromadzeni słuchacze wzięli udział w dyskusjach i wymianie myśli na temat katolickiej nauki społecznej.

Serdeczne podziękowania kierujemy do gospodarzy miejsc – Biblioteki Publicznej Miasta Gniezna oraz Wyższego Seminarium Duchownego Diecezji Kaliskiej – w których gościliśmy oraz patronów medialnych za wsparcie w promocji naszych konferencji.

Sebastian Mróz



Fot. Marta Karpińska

Modlitwa i spotkania „Z bł. Stefanem kard. Wyszyńskim w nowy czas”

Każdego 28 dnia miesiąca w różnych regionach Polski celebrowane są msze święte dziękczynne oraz o ogłoszenie bł. Stefana kard. Wyszyńskiego świętym. Tego dnia odbywają się też konferencje, a spójny program formacyjny „Miłość i sprawiedliwość społeczna” stanowi przygotowanie do obchodzonego po raz pierwszy 28 maja święta patronalnego Stowarzyszenia.

28 stycznia, Warszawa

– „**Miłość i sprawiedliwość społeczna**”

Wprowadzające, pierwsze spotkanie licznie zgromadziło członków i sympatyków Stowarzyszenia z regionów: krakowsko-kieleckiego, wrocławsko-opolskiego i warszawsko-łódzkiego.

„Nie przez nienawiść powstanie nowy program na świecie, on może się zrodzić tylko przez miłość” – przypominała słowa prymasa Wyszyńskiego świadek jego życia, Anna Rastawicka. Podkreślała, że musimy ciągle czuwać nad tym, by we wszystkich naszych udrękach oczyszczała się miłość, abyśmy umieli miłować nawet nieprzyjaciół, bo to jest szczyt chrześcijaństwa i szczyt postępu ludzkości.

Przedstawicielka Instytutu Prymasa Wyszyńskiego przypominała także o podstawowych prawach każdego człowieka, o które zawsze upominał się błogosławiony, w tym szczególnie o prawie do życia, do czci Boga i swobodnego wyznawania wiary oraz konieczności jej obrony i troski o młode pokolenia: „Łatwo jest wychować pokolenie samolubów, którzy nie chcą przyjąć na siebie i wypełnić żadnych obowiązków, ale trudno później odebrać samolubom kamienne serca i dać im serca wrażliwe. Gdy dziś się zdemoralizuje młodzież, gdy raz się odzwyczaimy od poszanowania życia, jutro proces ten stanie się nieodwracalny”.

Kamil Sulej, prezes zarządu Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”, odniósł się do genezy powstania katolickiej nauki społecznej i jej znaczenia. Podkreślił, że jest to Kompas poruszania się w życiu społecznym, umożliwiający współpracę i realizację zasad dobra wspólnego, odpowiedzialności, solidarności i miłości społecznej.

Spotkania oparte są na tekstach nauczania społecznego kard. Wyszyńskiego zawartych w książce *Miłość i sprawiedliwość społeczna*. „Mimo że książka ma najmniej 80 lat, jest na wskroś nowoczesna, bowiem wszystkie teksty ks. dr. Wyszyńskiego mają głębokie podłoże biblijne i cała jego myśl prowadzi nas do wiedzy o naszej społecznej relacji z Panem Bogiem, to fundament etyki społecznej” – przekonywał Piotr Sutowicz, wiceprzewodniczący Rady Nadzorczej Stowarzyszenia. Podkreślał, że wszelkie nasze prawa i idące za nimi obowiązki wynikają z nadprzyrodzonej godności człowieka, tworzą ład społeczny, który ma nas prowadzić do życia wiecznego.

Mszy świętej w intencji kanonizacji bł. Stefana Wyszyńskiego przewodniczył bp Piotr Jarecki. W kazaniu podkreślał, że nazywa Prymasa Tysiąclecia pierwszym twórcą i filarem teologii wyzwolenia w Polsce. „On nie uległ *angelizmowi*, czyli oderwaniu wiary, religii chrześcijańskiej od ziemi i wprowadzeniu jej tylko do nieba. Wierzymy w Boga, który nie jest ideą,

któremu nie zależy tylko na urządzaniu nieba, bo niebo jest urządzone. Ale wierzymy w Boga, któremu zależy na właściwym urządzeniu ziemi, bo ziemia jest drogą, która ma prowadzić do naszej definitywnej ojczyzny, czyli do nieba” – mówił bp Jarecki.

28 lutego, Lublin – „Dobro wspólne”

W spotkaniu również bardzo licznie wzięli udział przedstawiciele regionów: olsztyńsko-białostockiego oraz lubelsko-rzeszowskiego.

„Dzisiejszy świat najbardziej potrzebuje świadków, którzy są nauczycielami, takich jak bł. kard. Stefan Wyszyński” – mówił na rozpoczęcie drugiej konferencji Sławomir Józefiak, przewodniczący Rady Nadzorczej Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” i prezes Grupy INCO S.A. Nawiązał do trudnej historii PAX-u i zaangażowania jego członków w działania przeciw Kościołowi, zwłaszcza w 1953 roku. „Gdy w odpowiedzi na postawę polskich biskupów o tym, że *rzeczy Bożych na ołtarzach cesarza składać nie wolno, non possumus*, bp Czesław Kaczmarek został skazany na 12 lat więzienia, a potem zapadła decyzja o uwięzieniu także ks. prymasa – ówczesny przywódca PAX-u, Bolesław Piasecki, przekazał kard. Wyszyńskiemu propozycję uniknięcia uwięzienia w zamian za potępienie bp. Kaczmarka. Prymas się nie zgodził i napisał list, w którym zauważył, że *Kościół będzie wiecznie żądał prawdy i wolności, może dlatego Kościół ma tylu wrogów*”. Prezes Józefiak mówił o tym, jak ten ciąg zdarzeń zmienia rzeczywistość w późniejszym okresie: „Dzisiaj to środowisko mówi o dziedzictwie, o nauczaniu bł. kard. Wyszyńskiego, świadcząc swoimi postawami, działaniami, ale również pragnieniem promocji tego, co kard. Wyszyński wniósł jako świadek, jako nauczyciel”.

„Odpowiedzialność za dobro wspólne to według ks. prymasa nie obowiązek jedynie dla wybranych: polityków, organizacji społecznych czy dobroczynnych. Uważał, że wynika to z natury człowieka, i odsyłał do Księgi Rodzaju,

kiedy Bóg mówi, stwarzając drugiego człowieka – Ewę: *uczynmy pomoc*” – mówiła Anna Rastawicka. „Ks. prymas był tutaj realistą i mówił: nie możemy przestać myśleć o sobie, ale możemy w sobie wyrobić zwyczaj myślenia o innych i było to rzeczywiście bardzo mu bliskie” – podkreślała.

Kamil Sulej przekonywał, że katolicka nauka społeczna jest dziś potrzebna, byśmy byli obywatelami świadomymi, obeznanymi w sprawach społecznych i nieobojętnymi wobec zachodzących w świecie zmian. Jan Juszcak, członek Rady Nadzorczej Stowarzyszenia, omówił zasady życia społecznego, które są „sercem katolickiej nauki społecznej”, pomagają w osiągnięciu celów życia społecznego i mają charakter praktyczny. Jedną z podstawowych zasad jest dobro wspólne, z najważniejszym, osobowym jego wymiarem.

Bp Adam Bab w swojej homilii przekonywał, że dziś troską o dobro wspólne powinno być głoszenie przekonania, że istnieje prawda dla wszystkich jednakowa i jest nią Bóg: „Dziś nas przekonują, że wszystko jest względne, że każdy może żyć po swojemu i jak chce. A jednak z pewnych scenariuszy życia *po swojemu* rezygnujemy, bo pracuje w nas sumienie, które daje sądy powszechne, jednakowo obowiązujące wszystkich. I istnieje prawda dla wszystkich jednakowa i nie jest to totalitaryzm, nie jest to teza zniewalająca ludzką wolność, jest to najgłębszy, najbardziej prawdziwy fundament życia społecznego. Tę prawdę Kościół odkrył dzięki Chrystusowi już dawno”.

Spotkania „Z bł. Stefanem kard. Wyszyńskim w nowy czas” to wyjątkowa okazja do odbycia pielgrzymek do miejsc związanych z patronem Stowarzyszenia, a w Roku Nadziei także do budowania naszej wspólnoty ku przyszłości.



Playlista:

<https://www.youtube.com/watch?v=tM9bIB2IaMg&list=PLLux4R99nKMNpkeXoT-FPIEsypzpiS476M>



„Chociaż jednemu człowiekowi dajcie świadectwo Prawdzie” – rekolekcje wielkopostne

O tym, by stawać się znakiem odpowiedzialności za innych i prorokiem nadziei w czasach, kiedy kusi bez-nadzieja traktowały wielkopostne rekolekcje „Nadzieja i odpowiedzialność” dla członków „Civitas Christiana”, które odbyły się 7-8 marca w Częstochowie. Przez czas duchowych ćwiczeń przeprowadził rekolektantów ks. dr hab. Miłosz Hołda, filozof i teolog, prof. Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II, asystent oddziału Stowarzyszenia w Kielcach.

Przestrzeń odpowiedzialności

W jaki sposób karmić nadzieję? Jak ma się wyrażać nasza odpowiedzialność za siebie, za drugiego człowieka, za świat, w którym Bóg nas postawił? Wyjaśniając temat, ks. Hołda zwrócił uwagę, że jest potrzeba, by „nadzieję ukonkretnić”. „Nadzieja dla nas jest sprawą fundamentalną, pragniemy jej, robimy wszystko, by jej nie stracić. Ale z drugiej strony zapominamy często, że nasza wiara, jest związana z tajemnicą Wcielenia Boga – Boży Syn przyszedł w ludzki świat, do konkretnych ludzkich spraw, i On też brał odpowiedzialność za konkretne sprawy w swoim życiu. I jeżeli chcemy Jezusa naśladować, to także w odpowiedzialności za to, co nam jest powierzone; za naszą rodzinę, pracę, nasze uczestnictwo i życie w Kościele, i w ten sposób nasza nadzieja będzie się karmić” – wyjaśniał duchowny.

Przypomniał, że właściwe odkrywanie płaszczyzn nadziei i odpowiedzialności wiąże się w pierwszej kolejności ze zrozumieniem pochodzenia człowieka, jego tożsamości i godności, a te wynikają z tego, że wyszedł on z ręki Boga, jest powołany do współuczestnic-

stwa w dziele zbawienia świata. „Nie jest rzeczą możliwą wypełnić wspólne zadania rodziny, ułożyć współżycie w pracy zawodowej, w narodzie, w dziejowym bycie społecznym bez wzajemnej pomocy i miłości społecznej” – wskazywał rekolekcjonista. Człowiek, by mógł działać odpowiedzialnie, musi wiedzieć, kim jest i po co jest. Ze złego pojmowania człowieka rodzi się zła polityka, relacje międzyludzkie i społeczne. Podkreślał, że odpowiedzialność to nie „nieznośny ciężar”, obowiązek, ale przywilej człowieka, wynikający z jego godności dziecka Bożego.

Rekolekcjonista wskazał także na wynaturzenia w dziedzinie pojmowania i przyjmowania odpowiedzialności, czyli dyspensowanie się od niej i branie na siebie zbyt wielkiej odpowiedzialności. Tu ważne jest rozpoznanie tzw. pola odpowiedzialności (określenie ks. J. Tischnera), czyli rozpoznanie „swojej miary tu i teraz”. Zdaniem ks. Miłosza, odpowiedzialność wiąże się także z rozpoznawaniem woli Bożej, czyli daniem Bogu odpowiedzi na to, co On tu i teraz chce, bym czynił. Dla chrześcijanina pierwszą przestrzenią nadziei i odpowiedzialności jest codzienność, chwila obecna.

Nadzieja musi wcielić się w czyn

Ks. Hołda przekonywał, że dziś potrzeba nam pracy nad ludzką nadzieją, świadczenia o miłości Boga. „Chociaż jednemu człowiekowi dajcie świadectwo Prawdzie, powiedzcie o Bogu i Jego Kościele” – zachęcał. Zapraszał do prorokowania o nadziei – słowami i czynami, zwłaszcza w miejscach, gdzie jest ona zbyt „uziemiona” i sprowadzona do materii, by dać ducha wolności, uskrzydlić do działania i życia na miarę dziecka Bożego. Podkreślił, że wielkim wyzwaniem jest staranie o własne serce uporządkowane według tej nadziei, którą przyniósł Chrystus, a potem pokazywanie chrześcijaństwa jako orędzia nadziei nadprzyrodzonej: „Nadzieja nie może pozostać w świecie idei, lecz musi wcieleć się w czyn” – podkreślił ks. Hołda.

Jak zauważył ks. Dariusz Wojtecki, asystent krajowy „Civitas Christiana”, rekolekcje odbywają się „nie tylko w sercu naszej Ojczyzny, ale i naszego Stowarzyszenia”, bo pod wzrokiem Jasnogórskiej Królowej Polski. To na Jasnej Górze zanoszona była modlitwa różańcowa w kaplicy Matki Bożej, uczestniczono we mszy św. w kaplicy Jana Pawła II i w Apelu Jasnogórskim. Wyjątkowym akcentem było też zwiedzanie starej, zabytkowej jasnogórskiej biblioteki, która powstała w latach trzydziestych XVIII wieku.

Święto Kobiet u Najpiękniejszej z Niewiast

Zwieńczeniem rekolekcyjnych ćwiczeń było przeżywanie 8 marca XVIII Święto Kobiet u Najpiękniejszej z Niewiast. Jego mottem były słowa Prymasa Tysiąclecia: „trzeba ożywić w każdym obywatelu potrzebę żywego związku ze swoim Narodem, z własnym państwem, z Kościołem”. Między innymi o tym, jak pracować, by służyć Ojczyźnie, mówiła Magdalena Tchórz z Instytutu Prymasa Wyszyńskiego, a temat „Jak dziś wychować patriotę” podjęła Marta Karpieńska, redaktor naczelna kwartalnika „Civitas Christiana”. Koncert Młodzieżowej Orkiestry

Dętej z Dąbrowy Zielonej był dowodem na to, że młodzi chętnie kultywują zwyczaje, tradycje i aktywnie włączają się w budowanie polskiej kultury.

Najważniejszym punktem świętowania była msza św. pod przewodnictwem bp. Andrzeja Przybylskiego z Częstochowy, który w kazaniu mówił o tym, że to dom jest sprawdzianem naszego nawrócenia. Dom – zdaniem duchownego – jest źródłem naszych powołań, naszego szczęścia. Podkreślił, że jeśli Kościół nie będzie domem, nie spełni swojego powołania. Zwrócił uwagę, że dziś wiele ataków na rodzinę bierze się z zamiaru, żeby budować ją według świeckiego, sztucznego modelu, bo „jeżeli się rozwali ludzki dom, jeżeli człowiek nie będzie miał domu, to nie będzie zdolny do odkrycia ani własnego szczęścia, ani do budowania domu w Kościele, w narodzie”. Bp Przybylski przypomniał, że jeżeli Biblia mówi o domu w znaczeniu atmosfery wspólnoty i bezpieczeństwa, o miłości, o właściwych, uporządkowanych relacjach, to ten dom utożsamiany jest z kobietą. Podkreślił, że i dla kobiety fundamentalną wartością, na której może budować wszystkie inne, np. zawodowe, jest doświadczenie domu, a rodzina jest pierwszym miejscem realizacji jej życia. Przestrzegając, by nie ignorować dobra domu i rodziny. Zgodnie ze zwyczajem Eucharystia celebrowana była w Kielichu Życia i Przemiany.

„Maryjo! Chcę odtąd wszystko czynić z Tobą, przez Ciebie i dla Ciebie. Wiem, że własnymi siłami niczego nie dokonam. Ty zaś wszystko możesz, co jest wolą Twojego Syna i zawsze zwyciężasz” – m.in. te słowa znalazły się w odczytanym Akcie Zawierzenia.

Mirosława Szymusik



Konferencje



<https://e-civitas.pl/pl/aktualnosci/nadzieja-i-odpowiedzialnosc-zapis-filmowy-rekolekcji-wielkopostnych-wygloszonych-przez-ks-milosza-holde>



Fot. Marta Karpińska, Emilia Bernaciak

Społeczne obowiązki przedsiębiorstw.

Spotkanie z prof. Kazimierzem Dadakiem

13 lutego w Cafe Ludwik w Warszawie odbyło się spotkanie poświęcone koncepcji społecznej odpowiedzialności biznesu (CSR) i zastosowaniu jej w praktyce. Prof. Kazimierz Dadak przytoczył wiele przykładów z rynku amerykańskiego, czerpiąc z 40-letniego doświadczenia mieszkania i pracy naukowej w USA.



Fot. Aleksandra Bilicka

Gościem spotkania był prof. Kazimierz Dadak – uznany ekspert z USA, profesor ekonomii i finansów, pracujący na Hollins University w Stanach Zjednoczonych. Rozmowę opartą m.in. na artykule profesora, który ukazał się na łamach kwartalnika „Społeczństwo”, poprowadził Kamil Sulej, prezes zarządu Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”.

Rozmowa w dużej mierze dotyczyła CSR, czyli *corporate social responsibility*. Jest to koncepcja, według której firmy na etapie budowania strategii nie tylko uwzględniają kwestie ekonomiczne, które są oczywiście niezbędne do działania przedsiębiorstwa, ale biorą również pod uwagę aspekty społeczne oraz działalność dobroczynną i filantropijną.

Prof. Dadak podczas rozmowy podkreślił: „W ekonomii nie ma nic za darmo, proszę o tym pamiętać. Jakiegokolwiek dobro czynimy, to dobro musi mieć jakieś podstawy finansowe, gospodarcze. Tak samo jest w każdej innej dziedzinie czy w przypadku programów pomocy społecznej. Każdy taki program musi być podparty rachunkiem ekonomicznym, czy pożytki przewyższają koszty. To jest nieuniknione. Stąd też ja jestem wielkim zwolennikiem nauki społecznej Kościoła, przede wszystkim zasady pomocniczości, która mówi, że państwo, najwyższy szczebel, może się zajmować tylko tymi rzeczami, którymi niższe szczeble nie mogą się zajmować, a niższe szczeble mogą się zajmować tylko tymi sprawami, z którymi nie radzi sobie rodzina czy jednostka. To jest podstawa sprawnego systemu gospodarczego. Społeczna nauka Kościoła i teorie ekonomii, moim zdaniem, są doskonale zsynchronizowane i zgadzają się”.

Organizatorami spotkania były Instytut Katolickiej Nauki Społecznej Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” oraz Fundacja Civitas Christiana.

Aleksandra Bilicka



<https://www.youtube.com/watch?v=FkuGLw6ZgV4>

Warsztaty OKBW

W Łodzi oraz w Krakowie odbyły się stacjonarne warsztaty przygotowujące uczniów do 29. edycji Ogólnopolskiego Konkursu Wiedzy Biblijnej.

Pierwsze spotkanie odbyło się 11 lutego w Zespole Szkół Politechnicznych im. Komisji Edukacji Narodowej w Łodzi. W warsztatach zatytułowanych „Słowo godne wiary”, które poprowadził doktor teologii Michał Zborowski, wzięło udział ok. 40 uczniów z kilku szkół z archidiecezji łódzkiej. Prowadzący podczas zajęć połączył teorię z praktyką, najpierw omawiając 1. i 2. List do Tymoteusza oraz List do Tytusa, a później prezentując indywidualne i grupowe ćwiczenia dla uczniów związane z tym zagadnieniem.

Drugie spotkanie odbyło się 6 marca w siedzibie Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana” w Krakowie, na które przybyli krakowscy licealiści. Na kilka dni przed etapem szkolnym odbyli solidną powtórkę materiału. Młodzież wysłuchała wykładu wygło-



zonego przez dr inż. Annę Wajdę z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie. Tematem przewodnim była Księga Ezdrasza i Księga Nehemiasza, ale do Tytusa). Uczniowie, będący kilka dni przed etapem szkolnym konkursu, wykazali się bardzo dobrą wiedzą z tegorocznego zakresu, nieraz zaskakując prowadzącą odpowiedziami na pytania.

Zarówno warsztaty w Łodzi, jak i w Krakowie były nagrywane, a ich zapis jest dostępny na kanale Civitas Christiana TV w serwisie YouTube.

Kamil Latuszek



 **YouTube**
Warsztaty Łódź

<https://www.youtube.com/watch?v=0aNMYqLqpv0>



 **YouTube**
Warsztaty Kraków

<https://www.youtube.com/watch?v=G4KP06WWM9Q>





XVIII

Spotkanie Młodych z Biblią



13-14 maja
2025
Częstochowa

Przesłanie ksiąg Ezdrasza i Nehemiasza

Księgi Ezdrasza i Nehemiasza poruszają przede wszystkim temat odbudowy świątyni, wzniesienia miasta zdolnego do obrony oraz położenia fundamentu pod kształtowanie tożsamości narodu w oparciu o odnowiony kultu Boga Jahwe.

Miejsca oddawania czci

Świątynia od zawsze była dla Izraelitów miejscem wyjątkowym. Paradoksalnie jednak pojawiła się w historii Narodu Wybranego dopiero w czasach monarchii (X wiek p.n.e.), czyli po kilkuset latach historii tego ludu. Wcześniej Izraelici mieli miejsca święte, w których wzywano imienia Pana, oraz szczególnie ołtarze bądź stele rozsiane w różnych miejscach ziem, w których przebywali. Po wyjściu z niewoli egipskiej, w czasie wędrówki przez pustynię, obecność Boża manifestowała się w słupie ognia i obłoku, a szczególnym jej znakiem była dla Narodu Wybranego Arka Przymierza, mieszkająca w Namiocie Świadcstwa. Po dotarciu do ziemi obiecanej Izraelici uczęszczali do wspólnych dla wszystkich pokoleń sanktuariów w Gilgal, Sychem czy Szilo.

Świątynia

Sytuacja ta uległa radykalnej zmianie po wybudowaniu świątyni w Jerozolimie. Pierwszym, który zapragnął wznieść taką budowlę, był król Dawid, ale dokonał tego dopiero jego syn Salomon. Świątynia była centralnym i najważniejszym miejscem życia religijnego oraz sprawowania kultu Boga Jahwe. A co najważniejsze, była miejscem obecności Bożej, widzialną przestrzenią zamieszkania Boga. Była dowodem Jego błogosławieństwa oraz bliskości z ludem. Z tego powodu stała się celem pielgrzy-

mek, w czasie których wierni pragnący „ogłądać Jego oblicze” (por. Ps 42, 3) mogli spotkać się z Bogiem. Budowla była świadectwem miłości oraz świętości Boga, ale także ważnym punktem odniesienia w każdej dziedzinie życia Izraelitów. Była również świadkiem historii Narodu Wybranego, jego wzlotów i upadków. Niestety, niewierność względem Boga, łamanie Przymierza, kult innych bożków, ale także liczne czynniki zewnętrzne doprowadziły do podziału monarchii Izraela w 931 roku p.n.e., a później także do upadku obu podzielonych królestw. Skutki dziejowych wydarzeń wpływały także na świątynię, która była burzona i wielokrotnie profanowana. Pierwszy raz jej zniszczenia dokonały wojska babilońskie króla Nabuchodonozora II. Jerozolima została zniszczona, a ludność przymusowo przesiedlona do Persji. Izraelici po raz kolejny trafili do niewoli. Tym razem jednak trwała ona niespełna 50 lat.

Odbudowa

Bóg Jahwe poruszył serce Cyrusa, króla perskiego (zob. Ezd 1, 1), który zezwolił na powrót Izraelitów do Jerozolimy oraz rozpoczęcie prac nad jej odbudową. Prace te obejmowały także święte miejsce dla Izraelitów, jakim była świątynia. Ten wyjątkowy moment powrotu z niewoli oraz rozpoczęcia prac restauracyjnych opisują Księgi Ezdrasza i Nehemiasza. Koncentrują się na opisanu historii, przekazaniu szczegółów, takich jak na przykład liczba

sprzętów świątynnych oddanych Izraelitom, lista repatriantów, imiona głów rodów towarzyszących Ezdraszowi czy nazwy bram odbudowywanych w Jerozolimie. Co ważne, pisma te nie ograniczają się tylko do rejestru osób, miejsc czy przedmiotów, ale zawierają także teologiczne wyjaśnienie wydarzeń, w tym odpowiedź, dlaczego doszło do utraty wolności i zburzenia świątyni: „My (...) odbudowujemy dom, który – niegdyś wzniesiony – stał przez wiele lat, a wielki król izraelski zbudował go i wykończył. Ponieważ jednak przodkowie nasi rozgniewali Boga niebios, wydał ich Chaldejczykowi Nabuchodonozorowi, królowi babilońskiemu. On zburzył ten dom, a lud uprowadził do Babilonu” (Ezd 5, 11-12).

Protagonistami tego etapu historii Izraela są kapłan i nauczyciel Pisma Ezdrasz oraz świecki urzędnik na dworze perskim Nehemiasz. Obaj dążą do odbudowy Jerozolimy i odnowy religijnej narodu. Wprowadzają reformy, chcą umocnienia wspólnoty narodowej oraz duchowej Izraela. Obaj to ludzie wiary i modlitwy. Wyjątkowi przywódcy, wypełniający misję powierzoną im przez Boga.

Przesłanie

Księgi Ezdrasza i Nehemiasza poruszają przede wszystkim temat odbudowy świątyni, wzniesienia miasta zdolnego do obrony i normalnego funkcjonowania oraz położenia fundamentu pod kształtowanie tożsamości narodu w oparciu o odnowiony kultu Boga Jahwe. Bez wątpienia najważniejszym zadaniem Izraelitów była odbudowa świątyni. Jeśli jest ona miejscem zamieszkania Boga, znakiem Jego przebywania, to jej brak lub zbezczeszczenie rodzą pytania o obecność Boga wśród Izraelitów. Odślaniają także konsekwencje ich wcześniejszych wyborów, kiedy naród nie dotrzymywał Przymierza. Skoro Bóg po raz kolejny okazał swoją łaskę i doprowadził do uwolnienia Izraelitów, to powrót do bliskiej z Nim relacji, sprawowania kultu jest czymś pierwszorzędnym.

Jerozolima była miastem rozległym i znacznym, „ale w jego obrębie było ludności mało i nie było domów odbudowanych” (por. Ne 7, 4). Dlatego nie bez znaczenia był również fakt odbudowy miasta, począwszy od infrastruktury obronnej wokół Jerozolimy. „Mur Jerozolimy jest zburzony, a bramy jej są spalone” (Ne 1, 3). Miasto zniszczone przez Nabuchodonozora musiało odzyskać swoje zabezpieczenia. Było to ważne ze względu na zachowanie pokoju, planowane reformy, rozwój, a także odbudowę. Mury jako gwarant bezpieczeństwa oraz fundament dalszego kształtowania życia społecznego i religijnego jawiły się jako kolejne wyzwanie dla powracających z niewoli członków Narodu Wybranego.

Odbudowa miasta i świątyni napotykała wiele przeszkód, artykułowanych w donosach czy skargach kierowanych do królów perskich, ale także w drwinach, napadach, szemraniach, a nawet zastraszeniach ludzi przeciwnych temu działaniu. Ostatecznie jednak udało się jej dokonać. W księdze Ezdrasza opisane zostało doniosłe wydarzenie, jakim było poświęcenie świątyni: „Izraelici: kapłani, lewici i reszta wysiedleńców radośnie obchodzili poświęcenie tego domu Bożego. I na poświęcenie tego domu Bożego ofiarowali: sto cielców, dwieście baranów, czterysta jagniąt, a jako ofiarę przebłągalną za całego Izraela – dwanaście kozłów według liczby pokoleń izraelskich. I do służby Bożej w Jerozolimie ustanowili kapłanów według ich oddziałów, a lewitów według ich grup, zgodnie z przepisem Księgi Mojżeszowej” (Ezd 6, 16-18).

Odbudowa miasta i ośrodka kultu miała prowadzić do celu, jakim było odrodzenie Izraela. I nie chodzi o państwową autonomię, bo Izrael pozostawał podległą i okupowaną prowincją perską, ale odnowę duchową. Odbudowa narodu miała dokonać się poprzez powrót do wierności Bogu Jahwe poprzez oddawanie Mu czci, kultu świątynny oraz na drodze słuchania Słowa Bożego czytanego i nauczanego. „Kapłan Ezdrasz przyniósł Prawo przed zgromadzenie,



Fot. Adobe Stock

w którym uczestniczyli przede wszystkim mężczyźni, lecz także kobiety oraz wszyscy inni, którzy byli zdolni słuchać (...). Czytano więc z tej księgi, księgi Prawa Bożego, dobitnie, z dodaniem objaśnienia, tak że lud rozumiał czytanie” (Ne 8, 2.8).

Nie bez znaczenia było także zabieganie Ezdrasza oraz Nehemiasza o wdrożenie surowych przepisów, między innymi zakazujących zawierania małżeństw mieszanych (zob. Ezd 10; Ne 13, 23-29). Wszystko to po to, aby wierność Przymierzu oraz trwanie przy Bogu Jahwe stały się na nowo tożsamością Narodu, który Bóg wybrał.

Dobra Nowina

Księgi Ezdrasza i Nehemiasza jako księgi natchnione, poza opisem konkretnych wydarzeń i ich znaczenia, działania Boga i ludzi, zawierają także prawdy ponadczasowe. Uczestniczą w objawianiu Boga ludziom. Można zatem zapytać, jakie prawdy teologiczne przynoszą te dwie księgi? Jaka dobra nowina dla współczesnych ludzi wynika z treści ksiąg opisujących Izraelitów wracających do swej ojczyzny.

Po pierwsze należy podkreślić, że Bóg cały czas prowadzi historię swojego narodu. Nawet jeśli ten nie za bardzo chce z Nim współpracować. Co więcej, jest On w stanie posłużyć się

obcym władcą dla realizowania swojego planu zbawienia. „Pobudził Pan ducha Cyrusa, króla perskiego, w pierwszym roku [jego panowania], tak iż obwieścił on, również na piśmie, w całym państwie swoim, co następuje: 2 «Tak mówi Cyrus, król perski: Wszystkie państwa ziemi dał mi Pan, Bóg niebios. I On mi rozkazał zbudować Mu dom w Jerozolimie, w Judzie” (Ezd 1, 1-2). Jawi się zatem jako Pan historii, któremu nic nie wymyka się spod kontroli i który ma moc oddziaływania oraz pobudzania serc wszystkich ludzi.

Po drugie warto zauważyć, że wierność Boga przewyższa niewierność ludzi.

Naród wybrany trafia na skutek swoich błędnych wyborów do niewoli. Ale Bóg się o niego upomina. „Ale w niewoli naszej nie opuścił nas Bóg nasz, lecz dał nam znaleźć względy u królów perskich, pozwalając nam odżyć, byśmy mogli wznieść dom Boga naszego i odbudować jego ruiny – dając nam ostoję w Judzie i Jerozolimie” (Ezd 9, 9). Niewola i utrata tożsamości nie są powołaniem ludzi wierzących. Bóg posyła swoje sługi, aby plan zbawienia był realizowany w ich życiu. A reforma, odnowa i rozpoczęcie nowego etapu są wpisane w dynamikę rozwoju duchowego.

Na koniec można także wskazać na rolę świątyni jako miejsca oddawania czci Bogu. Dla Izraelitów obecność świątyni dla sprawowania kultu była kluczowa. Dlatego dążyli do jej szybkiego odbudowania. Jednak dla Boga liczy się nie tylko samo miejsce, ale postępowanie i serce człowieka. W sposób pełny objawił to Jezus, stwierdzając, że „prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Bogu w Duchu i prawdzie” (J 4,2 3). Nowość objawiona przez Jezusa przenosi akcent z czegoś zewnętrznego na wymiar wewnętrzny i duchowy. Ważne jest miejsce, ale dla Boga ważniejszy jest człowiek, co dobitnie podkreśla pytanie św. Pawła: „czyż nie wiecie, żeście świątynią Boga?” (1 Kor 3, 16).

dr Michał Zborowski

Dziedziczka Tarnowskich, matka Esterházych

Stosunkowo niedawno czytelnicy kwartalnika „Civitas Christiana” mieli okazję zapoznać się z przywódcą słowackich Węgrów okresu międzywojennego, Jánosem Esterházym. Po kądzieli był on Polakiem, a wobec wczesnej śmierci ojca mały János na dobrego Węgra został wychowany przez niezwykłą polską matkę, Elżbietę z Tarnowskich Esterházycy.

Życie oddane w służbę narodom węgierskiemu

„W wigilię mojego ślubu, który życie moje oddawał w służbę narodu węgierskiego, ojciec mój, ś.p. Stanisław hr. Tarnowski, dwukrotny Rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego i długoletni Prezes Akademii Umiejętności w Krakowie, przyniósł mi mały odlew dzwonu Zygmuntońskiego ze słowami: Nie zapomnij nigdy, co jesteś winna Twojej dawnej Ojczyźnie”.

Tymi słowami Elżbieta z Tarnowskich Esterházycy (1875-1955) zaczynała przedmowę do pierwszego ze swoich znakomych przekładów dzieł najwybitniejszego węgierskiego (a może i europejskiego) kaznodziei dwudziestolecia międzywojennego, księdza (późniejszego biskupa) Tihaméra Tótha.

Małżeństwo oddało więc życie tej dzielnej kobiety „w służbę narodu węgierskiego” – i wielką przysługę oddała mu hrabianka Tarnowska, dochowując przybranej ojczyźnie wierności w czasie (i miejscu) szczególnie dla niej trudnym.

Miłość umie czekać

Zanim jednak Stanisław Tarnowski w styczniu roku 1898 udzielił Elżbiecie ojcowskiego błogosławieństwa na ślub, musieli zakochani

długo czekać. Jakkolwiek bowiem przyjaźń polsko-węgierska już w XVIII wieku była opiewana jako starożytna, to dziejowy moment, w którym Elżbieta poznała się z przystojnym madziarskim huzarem, był szczególnie delikatny. Węgry wywalczyły sobie równoprawny wobec Austrii status w monarchii habsburskiej. Warto dodać, że w tym okresie węgierski rząd prowadził politykę bezwzględnej madziaryzacji – nawet w seminariach duchownych można było otrzymać „wilczy bilet” za czytanie słowiańskojęzycznych gazet. Trudno się więc dziwić, że stary hrabia Tarnowski z rezerwą podchodził do kandydata na zięcia i przez długie trzy lata odmawiał młodemu swojego błogosławieństwa, zapewne nie bez nadziei, że czas ten pozwoli jego młodziankiej córce, na zabój zakochanej w Jánosie Esterházym, odzyskać trzeźwość umysłu, której brak charakteryzuje wszak stan zakochania.

Młodzi sprostali jednak próbie czasu. Hrabia Tarnowski – którego w owej przedmowie pisanej cztery dekady później sama Elżbieta nazwie „najidealniejszym katolikiem, Polakiem, patriotą, politykiem, uczonym, a w życiu domowym synem, bratem, mężem i ojcem rodziny” – potrafił to dostrzec. A dostrzegłszy, że to, co połączyło Elżbietę i Jánosa, jest czymś więcej niż płochym uczuciem, przestał stawiać opór. Może też przekonał się co do szczerości katolickiej wiary przyszłego zięcia (jego wnuczka,

Maria Mycielska, wspominała później, że „obiekcje Dziadzi były natury światopoglądowej – Węgrzy uchodzili za niedowiarków”).

Brama wszystkim otwarta

Tarnowski nie poprzestał jednak na samej tylko zgodzie. Skoro swoją córkę oddawał węgierskiemu huzarowi, to tym samym oddał ją także węgierskiemu narodowi. Kochającego (acz apodyktycznego) ojca i gorliwego patriotę musiało podwójnie boleć jej zamęcie – jeśli jednak klamka zapadła, to Elżunia miała umieć własne dzieci wychować na gorliwych patriotów nowej ojczyzny, godnych wielkiego nazwiska Esterházy.

János Esterházy starszy i Elżbieta z Tarnowskich wzięli ślub 8 stycznia 1898 w Krakowie, po czym zamieszkali w rodzinnym majątku w Nyitraújlak na Górnych Węgrzech (dzisiejszej Słowacji). Na tle wielkiej madziaryzacji ich rodzina stanowiła chwalebny wyjątek. Nie tylko nie zmuszali swoich wieśniaków do mówienia po węgiersku, ale sami uczyli się ich mowy. Brama ich majątku zawsze stała otworem dla potrzebujących. Trójka małych Esterházycy bawiła się ze słowacką wiejską dzieciarnią, rozmawiając z rówieśnikami po ichniemu.

Polska matka węgierskich dzieci

Początkiem końca sielanki wiejskiego życia Esterházycy była nagła śmierć ojca rodziny, hrabiego Jánośa, w roku 1905. Przystojny huzar miał zaledwie 41 lat. Osierocił troje dzieci, z których najstarsza córka miała raptem siedem lat. Najmłodsza, roczna Marysia, nie będzie zaś nawet pamiętała swojego ojca... Do łóża śmierci hrabia wezwał czteroletniego syna – to on miał wszak podjąć wielkie tradycje rodu...

– Synu! – powiedział – Bądź zawsze dobrym Węgrem!

Umierający żołnierz nie mógł przypuszczać, co słowa te będą oznaczać w kolejnych dekadach. Tym mniej mógł z tego patriotycznego



Portret Elżbiety i Janosa Esterházycy

testamentu zrozumieć czterolatek. Kto miał go nauczyć bycia dobrym Węgrem? Przecież nie słowaccy rówieśnicy, z którymi się bawił...

Trud ten wzięła na siebie córka rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Elżbieta hrabianka Tarnowska była teraz hrabiną Esterházy i wykonawczynią testamentu zmarłego męża. Z całym zaangażowaniem podjęła pracę wychowywania swoich dzieci na dobrych Węgrów, ale przede wszystkim na dobrych ludzi i katolików.

Nie brakowało jej przykładów do naśladowania. Zapewne teraz szczególnie często wspominała swojego ojca, który przez większą część życia nauczał młodzież „żywym słowem wykładów, piórem w swych dziełach, a przede wszystkim przykładem swojego kryształowego, niezłomnego, nieskazitelnego charakteru”. Był punktem odniesienia, według którego młoda wdowa formować chciała dzieci, ucząc je „kochać

Boga i Kościół katolicki, kochać Ojczyznę dobrze i mądrze, kochać Prawdę, Dobro i Piękno”.

Szlachectwo zobowiązuje

Elżbieta nie była samotną matką w znaczeniu, jakie boleśnie dotyka tysiące młodych kobiet porzuconych przez ojców ich dzieci. Ojciec szlachetny i kochający, który zmarł otoczony rodziną, może nadal w jakiś sposób wypełniać swoją rolę, pozostając dla dzieci ważnym punktem odniesienia. Pamięć o mężu była dla młodej wdowy pocieszeniem w trudach, jakie musiała podjąć w wieku zaledwie trzydziestu lat, z jednym dzieckiem u piersi i dwójką uczepionych jej spódnicy. Pamięć ta wypełniała jej serce dumą, otuchą i determinacją – bo zobowiązywała do dzielnego wypełniania jego ostatniej woli.

O oddaniu Elżbiety mężowi i sprawie, jaką jej powierzył, najlepsze świadectwo wyda jej syn, który stawszy się przywódcą słowackich Węgrów, powie, wspominając ów testament swego ojca:

„Nigdy nie zrozumiałbym, co miało oznaczać to pożegnanie, gdyby nie stojąca przy moim boku matka, której teraz, zaraz po Bogu, dziękuję. To jej zawdzięczam, że pojąłem, co oznaczały skierowane do mnie słowa ojca. Jej, która jakkolwiek nie była Węgierką z urodzenia, stała się tak bardzo częścią tego narodu, że dziś jej serce jest bez reszty oddane sprawie Węgrów”.

Czyste skrzydła białej duszy

Śmierć głowy rodziny była zaledwie początkiem trudności. I początkiem wielkiego egzaminu Elżbiety. Rok 1918 przyniósł rozpad monarchii habsburskiej, a traktat triański usankcjonował utratę przez Węgry dwóch trzecich terytorium – w tym dzisiejszej Słowacji. W miejsce poprzedniej madziaryzacji teraz przyszło bezwzględne

prześladowanie pozostałej w Czechosłowacji mniejszości węgierskiej. Ród Esterházych utracił ogromną część majątku. Elżbieta, córka Tarnowskich, mogła wobec tego kataklizmu powrócić do pierwszej ojczyzny. Uznała jednak za swoją powinność pozostać na „ziemiach utraconych” przez ojczyznę drugą.

Kolejnym kataklizmem w jej życiu stała się II wojna światowa, a następnie gorszy od samej wojny stalinizm, którego ofiarą padł także ukochany syn, wywieziony do gułagu, a w Czechosłowacji zaocznie skazany na śmierć za rzekomą „zdradę ojczyzny”. Elżbieta straciła dom, a w końcu została zmuszona do emigracji. Modlitwą i miłością do końca towarzyszyła w krzyżowej drodze synowi. Opatrzność oszczędziła jej jednak udziału w ostatnich jej stacjach, kiedy to János dogorywał w więzieniu, a następnie rodzinie odmówiono wydania jego ciała.

Elżbieta pokochała przybraną ojczyznę – János Esterházy, młodszy syn, mógł wręcz mówić o jej „bezgranicznym oddaniu” sprawie węgierskiej. Nie zapomniała jednak o polskości własnej duszy. W latach trzydziestych, kiedy jej syn stawał się politycznym liderem słowackich Węgrów, Elżbieta zajęła się tłumaczeniem książek Tihaméra Tótha, a jej piękna przedmowa do jednej

z nich (*Młodzieńca z charakterem*) mówi dobitnie o jej miłości do pierwszej ojczyzny:

„Gdy mój Ojciec schodził z pola czterdziestoletniej pracy, na uroczystości jubileuszowej w Auli Almae Matris Jagiellońskiej, między innymi Henryk Sienkiewicz składał mu dzięki imieniem Warszawy, Królestwa Polskiego, Wołynia, Podola, Ukrainy, za to, że: *Przez całe życie strzegł czystości piór Orła Białego!* Niech do każdego z młodych czytelników, u końca znoej jego pracy, zwróci się Ojczyzna z tym zaszczytnym uznaniem. Ale jeżeli tak górnej chwili dożyć chcecie, musicie najprzód: Strzec czystości skrzydeł własnej białej duszy!”.



**o. WAWRZYNIEC
MARIA
WASZKIEWICZ**

Misjonarz Matki Bożej
Anielskiej, proboszcz
węgierskiej parafii
na Słowacji, autor książek



Już od siedmiu lat obchodzimy w Kościele Dzień modlitwy i solidarności z Osobami Skrzywdzonymi wykorzystaniem seksualnym. Jak Ksiądz Rzecznik ocenia dotychczasowe postępowanie w kierunku uzdrowienia zranień osób skrzywdzonych, a także całej kościelnej wspólnoty w Polsce oraz plany działania na przyszłość?



Jesteśmy jako Kościół wciąż w drodze, jednak z pewnością pokonaliśmy już niemały jej dystans. Myślę, że coraz bardziej chcemy tworzyć wspólnotę ze zranionymi, towarzyszyć im i pomagać w zdrowieniu. Dzień modlitwy i solidarności z Osobami Skrzywdzonymi jest z pewnością jednym z ważnych elementów, ale solidarność ta jest potrzebna każdego dnia. Jest to przede wszystkim praca delegatów i delegatek ds. ochrony w diecezjach i zakonach, posługa siostr i duszpasterzy osób skrzywdzonych. Konkretnie wsparcie i pomoc niesie powołana przez Konferencję Episkopatu Polski w 2019 roku Fundacja Świętego Józefa, która tylko w ubiegłym roku przekazała blisko 3,8 mln zł na bezpośrednią pomoc osobom skrzywdzonym i pomoc pośrednią przez wsparcie projektów i osób, które działają na poziomie lokalnym na rzecz skrzywdzonych i prewencji.

Potrzebne są bowiem wszelkie działania, które służą temu, by taka krzywda się po prostu nie wydarzyła. Niezmiernie ważna jest tu działalność Centrum Ochrony Dziecka, które jako pierwsze w Polsce rozpoczęło podyplomowe studia z profilaktyki wykorzystywania seksualnego dzieci i młodzieży, opracowuje materiały edukacyjne i programy prewencyjne. Regularne działania na rzecz prewencji podejmuje też Fundacja Świętego Józefa. W ostatnim czasie powstały m.in. scenariusze katechez z elementami prewencji wykorzystania seksualnego

czy bezpłatny kurs online „Safeguarding” we współpracy z ukraińskim Centrum Godności Dziecka.

Wracając do pomocy osobom skrzywdzonym, ważnym krokiem naprzód w tym wzajemnym zrozumieniu było spotkanie biskupów z przedstawicielami osób skrzywdzonych. Odbyło się ono na Jasnej Górze 19 listopada 2024 roku. Wcześniej Rada Stała KEP odpowiedziała na list otwarty osób skrzywdzonych i zaproponowała, by odbyło się w tym czasie, gdy biskupi przeżywali swoje doroczne rekolekcje i uczestniczyli w Zebraniu Plenarnym. Było to bardzo ważne, braterskie i pełne otwartości spotkanie.

Najbliższa przyszłość to na pewno dalsze prace nad powołaniem niezależnej kościelnej komisji ekspertów do zbadania zjawiska wykorzystania seksualnego w Kościele w Polsce. Na najbliższym Zebraniu Plenarnym biskupi podejmą dyskusję nad projektem dokumentu o zadaniach komisji i zakresie jej działania. Ponadto trwają też prace nad nowelizacją „Wytocznych KEP”.

Myślę, że najważniejsze jest to, by nieść pomoc osobom skrzywdzonym, starać się iść naprzód razem i nie poddawać się na tej drodze, mimo pojawiających się trudności.

Z o. Leszkiem Gęsiakiem SJ,
rzecznikiem Konferencji Episkopatu Polski,
rozmawiała Marta Karpińska

Chrześcijaństwo afirmacją ciała

Chrześcijaństwo, wbrew pewnym obiegowym opiniom, nie jest religią odrzucającą ciało, ale wręcz przeciwnie – afirmuje je zarówno w wymiarze ludzkim, jak i boskim. Podstawą tej afirmacji jest tajemnica Wcielenia, a więc przyjęcia ludzkiej natury przez Boga w osobie Jezusa Chrystusa. Przez to wydarzenie chrześcijaństwo podkreśla wartość i godność ludzkiego ciała, wskazując, że nie jest ono jedynie więzieniem duszy, ale istotnym wymiarem życia osoby ludzkiej.

Ciało jako rzeczywistość stworzona przez Boga

Już w opisie stworzenia świata zawartym w Księdze Rodzaju ciało człowieka jawi się jako coś dobrego, skoro Bóg po stworzeniu człowieka na swój obraz i podobieństwo stwierdza, że „było to bardzo dobre” (Rdz 1, 31). Nie mamy tu do czynienia z dualizmem, który deprecjonuje materię i wynosi jedynie element duchowy. Człowiek został powołany do życia w pełni, obejmującej zarówno jego duszę, jak i ciało.

Wcielenie – potwierdzenie godności ciała

Centralnym punktem chrześcijańskiego rozumienia ciała jest wcielenie Chrystusa. To, że Bóg stał się człowiekiem, przyjmując ciało, pokazuje jego niezwykłą wartość i godność. Jezus nie tylko żył w ciele, ale również przez nie nauczał, uzdrowiał, a ostatecznie poprzez nie dokonał dzieła zbawienia – w swojej męce, śmierci i zmartwychwstaniu. Wydarzenia te wskazują, że zbawienie nie dotyczy wyłącznie duszy, ale obejmuje całego człowieka.

Sakramentalność ciała

Papież Franciszek, opierając się na nauce o Wcieleniu, podkreśla również sakramentalny wymiar ciała. W sakramentach Bóg posługuje się rzeczywistością materialną, by przekazywać swoją łaskę. Człowiek przez swoje ciało może

objawiać miłość i uczestniczyć w Bożym planie, a zatem ciało samo w sobie ma też sens teologiczny i odgrywa również istotną rolę w życiu sakramentalnym. Franciszek przypomina, że sakramenty, zwłaszcza Eucharystia, angażują ludzką cielesność. Podkreśla znaczenie gestów w liturgii, takich jak dotyk, znak pokoju czy postawa ciała jako wyraz duchowego zjednoczenia.

Zmartwychwstanie ciała

Chrześcijaństwo nie kończy swojej afirmacji ciała na życiu doczesnym. Jednym z fundamentalnych dogmatów wiary jest wiara w zmartwychwstanie ciała. Oznacza to, że człowiek nie jest przeznaczony do istnienia jedynie jako czysty duch – jego ciało zostanie odnowione i uwielbione, tak jak ciało Chrystusa po Zmartwychwstaniu. Ta prawda jeszcze bardziej podkreśla wartość cielesności i jej udział w pełni życia wiecznego.

Ciało a współczesność

Współczesna kultura często traktuje ciało w sposób skrajny – albo je ubóstwia, redukując człowieka do biologii i przyjemności, albo odrzuca je jako ograniczenie, poszukując jego technologicznego przewyciężenia. Chrześcijaństwo natomiast zachowuje równowagę, ukazując, że ciało jest darem, który należy szanować i odpowiednio kształtować. Papież Franciszek

w swoim nauczaniu, gdy porusza temat ludzkiej cielesności, podkreśla jej wartość w kontekście teologicznym, moralnym i społecznym. Jego podejście do ludzkiego ciała jest zakorzenione w tradycji chrześcijańskiej, ale jednocześnie cechuje się nowatorskim spojrzeniem, uwzględniającym współczesne wyzwania. Ciało w jego wypowiedziach nie jest jedynie kwestią biologiczną jako układ tkanek i narządów, zintegrowanych i współzależnych, tworzących całość organiczną człowieka, ale jest głęboko powiązane z duszą ludzką, godnością człowieka, relacjami oraz duchowością i partycypuje w rzeczywistości nadprzyrodzonej.

Cielesność jako dar Boga

Papież Franciszek wielokrotnie podkreśla, że ludzkie ciało jest darem od Boga i powinno być traktowane z szacunkiem. W adhortacji *Amoris laetitia* zwraca uwagę na wartość cielesności w kontekście miłości małżeńskiej, podkreślając, że ciało jest przestrzenią wyrażania miłości, a nie jedynie przedmiotem pożądania. Wskazuje również na konieczność akceptacji własnego ciała jako elementu harmonii życia duchowego.

Seksualność i jej rola w relacjach międzyludzkich

Franciszek odnosi się do seksualności jako naturalnej części życia człowieka. Podkreśla, że Kościół nie może ograniczać swojego nauczania do zakazów, lecz powinien wskazywać piękno relacji opartych na miłości, wzajemnym darze z siebie, szacunku i odpowiedzialności. Ciało ludzkie, jego płciowość, męskość i kobiecość, jest w samej tajemnicy stworzenia nie tylko źródłem płodności i prokreacji, tak jak w całym porządku natury. Jest w tym ciele «od początku» zawarta właściwość «oblubieńcza», czyli zdolność wyrażania miłości, tej właśnie miłości, w której człowiek-osoba staje się darem

i spełnia sam sens istnienia i bytowania poprzez ten dar. W nauczaniu papieża cielesność w kontekście seksualnym jest nie tylko darem, ale także zadaniem, wymagającym dojrzałości i wzajemnej odpowiedzialności.

Cielesność a ubóstwo i cierpienie

Jednym z kluczowych tematów nauczania Franciszka jest solidarność z ubogimi i cierpiącymi. Papież zwraca uwagę, że ludzkie ciało, zwłaszcza osób marginalizowanych społecznie, wymaga opieki i godnego traktowania. We *Fratelli tutti* nawołuje do troski o tych, których ciała są wyniszczone przez ubóstwo, choroby czy wykluczenie społeczne. Jego przesłanie podkreśla, że chrześcijaństwo nie może być obojętne na cielesne potrzeby bliźnich. W katechezach o teologii ciała rozwija temat w kontekście ekologii integralnej, wskazując w *Laudato si*, że troska o ludzkie ciało łączy się z troską o stworzenie i społeczną sprawiedliwość.



ks. DARIUSZ
WOJTECKI

Asystent krajowy Katolickiego
Stowarzyszenia
„Civitas Christiana”

Zakończenie

Nauczanie papieża Franciszka na temat ciała ludzkiego i cielesności podkreśla integralność z duchowością, relacjami międzyludzkimi i sprawiedliwością społeczną. Ciało nie jest dla niego jedynie narzędziem, lecz rzeczywistością niosącą godność i sacrum. Jego podejście inspirowane do głębszego zrozumienia cielesności jako daru, który należy przyjmować, szanować i troszczyć się o niego w wymiarze osobistym i wspólnotowym. Franciszek przypomina, że chrześcijaństwo jest religią afirmacji ciała. Podkreśla jego godność, wartość i rolę w Bożym planie zbawienia. Wcielenie, sakramenty i obietnica zmartwychwstania pokazują, że ciało jest nie tylko elementem życia ziemskiego, ale ma także perspektywę wieczności. Ta prawda może być istotnym drogowskazem dla współczesnego człowieka, poszukującego sensu swojej cielesności w świecie pełnym sprzecznych narracji.

Clare Crockett – poznała miłość większą niż uciechy tego świata

W niedzielę 12 stycznia 2025 roku został oficjalnie otwarty proces beatyfikacyjny siostry Clare Crockett, inspirującej młodej irlandzkiej zakonnicy, która zmarła w 2016 roku podczas trzęsienia ziemi w Ekwadorze. Starania o jego rozpoczęcie trwały blisko cztery lata. Ceremonia odbyła się w katedrze Alcalá de Henares w Madrycie w Hiszpanii.

Clare Crockett została uznana za Służebnicę Bożą, co jest pierwszym krokiem prowadzącym do zdobycia statusu świętej Kościoła katolickiego. Starsza siostra Clare, Shauna Gill, w rozmowie z BBC News Northern Ireland powiedziała: „nigdy w życiu nie pomyśleliśmy, że zostanie zakonnicą, a co dopiero, że zostanie świętą”.

Kim była?

W jednym zdaniu można powiedzieć, że to młoda kobieta, która z marzeń o karierze w show-biznesie przeszła na drogę całkowitego oddania życia Bogu. Jej historia to idealny scenariusz na film.

Urodziła się 14 listopada 1982 roku w Derry w Irlandii Północnej. Była najmłodsza z trójki dzieci w Kochającej się, choć zwyczajnej rodzinie. Clare od wczesnego dzieciństwa wyróżniała się nie tylko ogromnym poczuciem humoru, co widać po uśmiechu na licznych zdjęciach, ale również naturalnym talentem aktorskim. W szkole średniej najbardziej pasjonowała się literaturą i teatrem. Jako uczennica lubiła się wygłupiać, grając rolę klasowego błazna. Była uwielbiana przez rówieśników i bez trudu zaskarbiała sobie sympatię innych. Uwielbiała być w centrum uwagi, a jej charyzma przy-

ciągała zarówno rówieśników, jak i dorosłych. Wiedziała, że gdy dorośnie, to właśnie z filmem i teatrem będzie chciała wiązać swoją przyszłość, tym bardziej że miała do tego ogromne predyspozycje. Pięknie śpiewała, grała na gitarze, doskonale radziła sobie z recytacją poezji, a także potrafiła naśladować inne osoby. Scena była miejscem, gdzie Clare czuła się zdecydowanie najlepiej. Dlatego wybór jej ścieżki zawodowej nie był dla nikogo zaskoczeniem. Kiedy miała



**SYLWIA
SUŁKOWSKA**

Dziennikarz Naczelnej
Redakcji Programów
Katolickich Polskiego Radia,
żona i matka dwóch córek

14 lat, dołączyła do agencji aktorskiej, a swoją pierwszą pracę dostała w wieku lat 15. Pracowała jako aktorka teatralna, pisarka i reżyserka, a także prezenterka telewizyjna programu dla dzieci w Channel 4. Potem zainteresował się nią amerykański kanał Nickelodeon. Wtedy rozpoczęła się jej prawdziwa kariera. Zagrała w kilku produkcjach filmowych i krok po kroku realizowała swoje marzenia. Skupiała się na „tu i teraz” i robiła wszystko, by maksymalnie wykorzystać swoją szansę.

Życie gwiazdy

Clare prowadziła życie świeckie, które dla wielu, nie tylko jej rówieśników, było spełnieniem marzeń – pełne energii, ambicji, dobrze

zapowiadającej się kariery w show-biznesie, nieustającej zabawy, imprez do białego rana z używkami w tle, relacji romantycznych i wielkich planów na przyszłość. Londyńska scena kulturalna wciągnęła ją bez reszty – castingi, próby, występy. Przeżywała młodość na własnych warunkach – pełną zabawy i szaleństw. Jak sama przyznała, była „dzikim dzieckiem” i uwielbiała imprezować. Gdy miała 17 lat na dobre paliła, miała problem z nadużywaniem alkoholu, pojawiła się próżność i grzechy nieczystości. Była pewna, że jej szczęście zależy od sukcesu zawodowego i chwilowych przyjemności. Szukała miłości w złych miejscach.

Zanim Clare Crockett wstąpiła do zakonu, przez wiele lat wiara nie miała dla niej wielkiego znaczenia. W dzieciństwie przyjmowała sakramenty inicjacji chrześcijańskiej, ale jako nastolatka nie chodziła już do kościoła. Mimo że wychowała się w rodzinie katolickiej, nie wyciągnęła z niej wartości chrześcijańskich. Jej rodzinne Derry było miastem podzielonym politycznie i religijnie, a konflikty między katolikami i protestantami kształtowały rzeczywistość codziennego życia. W takiej atmosferze, gdy przyjaciół miało się i wśród katolików, i wśród protestantów, a Clare nade wszystko uwielbiała przebywać w towarzystwie, trudno było młodej osobie wzrastać w wierze. Jak sama później przyznała, „Kościół był dla niej jedynie obowiązkiem i tradycją, nie zaś miejscem spotkania z Bogiem”.

Kiedy jej kariera nabierała tempa, podjęła decyzję, że chce zostać zakonnica. Jak do tego doszło? Choć z zewnątrz mogło się wydawać, że osiągnęła wszystko, czego pragnęła, wewnętrznie czuła, że czegoś jej brakuje. W tamtym czasie nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby kiedykolwiek związać swoje życie z Bogiem. Ale pojechała do Hiszpanii i tam wszystko się zmieniło.

Jeden wyjazd i...

W 2000 roku, gdy Clare miała 17 lat, przyjaciółka, która z powodów zdrowotnych musiała



Rok 2015, Ekwador

zrezygnować z wyjazdu do Hiszpanii, zaproponowała jej swoje miejsce. Clare zgodziła się, wyobrażając sobie, że spędzi czas na zabawach, rozrywkach i plażowaniu. Tymczasem po przyjeździe na miejsce okazało się, że zamiast luksusowego hotelu czekają na nią klasztor i tygodniowe rekolekcje, które odbywały się podczas Triduum Paschalnego. Na rekolekcjach dziewczęta były z Siostrami Służebnicami Matczynego Ogniska – wspólnotą założoną w 1982 roku, skupiającą się na Eucharystii, duchowości Maryjnej i młodych ludziach. W tym czasie Clare miała zmieniające życie spotkanie z Bogiem. „Nie wiem, jak dokładnie wyjaśnić to, co się stało. Nie widziałam chórów anielskich ani białej gołębiczy zstępującej z sufitu i opadającej na mnie, ale byłam pewna, że Pan jest na krzyżu, dla mnie” – wspominała Clare. Poczwała, że Chrystus oddał życie także za nią, i zrozumiała, jak bardzo raniła Boga swoim dotychczasowym

postępowaniem. To doświadczenie odmieniło jej sposób myślenia – wiedziała, że musi całkowicie oddać swoje życie Bogu. Po rekolekcjach i udziale w Światowych Dniach Młodzieży w 2000 roku zrozumiała, że jest powołana do życia zakonnego.

Rozterki i decyzja

Po powrocie do Irlandii Clare próbowała wrócić do swojego dawnego stylu życia – imprezy, praca w telewizji, spotkania towarzyskie. Nie dawało jej to jednak szczęścia. W jednym z wywiadów tak wspominała ten czas: „Żyłam bardzo



Rok 2001, przed wstąpieniem do zakonu

źle. Żyłam w grzechu śmiertelnym. Dużo piłam, dużo paliłam, zaczęłam zażywać narkotyki. Kontynuowałam dotychczasowe życie z moimi przyjaciółmi, z moim chłopakiem. Nie miałam siły, by zerwać z tymi wszystkimi rzeczami, ponieważ nie prosiłam Pana, aby mi w tym pomógł”. Ostatecznie w 2001 roku, zaskakując wszystkich, wstąpiła do klasztoru Sióstr Służebniczek Domu Matki w Hiszpanii, gdzie przyjęła imię siostra Klara Maria od Trójcy Świętej i Serca Maryi. Początkowo jej nowa droga życiowa nie była łatwa. Wydawało jej się, że zostanie zakonnicą, trzymając „piwo w jednej ręce i papierosa w drugiej”. A skoro nie może być sławną aktorką, to będzie sławną zakonnicą. Jednak musiała zostawić wszystko, co miała, co osiągnęła, i nie było to takie proste, jak myślała.

W nowicjacie przeżywała wiele trudnych chwil – musiała nauczyć się dyscypliny, pokory i życia w całkowitym podporządkowaniu regułom zakonnym. Musiała zmierzyć się z własnymi słabościami i dawnymi nawykami. Jednocześnie odkrywała radość płynącą z bliskości Boga i służby innym. Siostra Clare wspominała: „Na początku byłam kuszona, żeby spojrzeć wstecz i powiedzieć: chcę to odzyskać. Ale zrozumiałam, że znalazłam jeszcze większą miłość”. Dzięki ufności wobec Boga i działaniu Ducha Świętego powoli odkrywała radość płynącą z realizacji swojego powołania.

Jaka była?

Siostra Clare była naturalna, radosna i pełna życia. Jej motto życiowe brzmiało: „wszystko albo nic”. Żyła „na maksa”. Swoją wiarę przekazywała innym w sposób prosty i szczerzy, zyskując sympatię zarówno młodzieży, jak i dorosłych. Cechami jej duchowości były radość, pogoda ducha i humor. Zawsze powtarzała, że jej siła pochodzi od Boga: „On mnie powołał i wie, co robi. Moim zadaniem jest Mu ufać”. Clare, której śniły się światła reflektorów na scenie i występy na czerwonym dywanie, teraz w pełni poświęciła się pracy z młodzieżą,

pomaganiu potrzebującym i głoszeniu Ewangelii. Jej charyzma, która wcześniej przyciągała ludzi na scenie, teraz służyła budowaniu wspólnoty i inspirowaniu innych do pogłębiania wiary. Pomagała ona myśleć o życiu bardziej pozytywnie i dawała nadzieję, że Pan Bóg ma zawsze najlepszy plan. Siostra Clare towarzyszyła dzieciom, młodzieży, dorosłym – wszystkim tym, którzy poszukiwali miłości przez duże „M”. Tłumaczyła młodym dziewczynom, by nie dały się zwieść „przyjemnej miłości” i jej fałszywemu rozumieniu. Mówiła: „Miłość jest ofiarna, a nie powierzchowna czy sentymentalna. Uczy człowieka zapomnieć o własnych chęciach i pragnieniach”.

Od momentu złożenia pierwszych ślubów służyła we wspólnotach Sióstr Służebniczek w Belmonte (Hiszpania), Jacksonville (USA), Walencji (Hiszpania), Guayaquil oraz Playa Prieta (Ekwador). W Playa Prieta siostry służebniczki prowadziły szkołę, Centrum Edukacyjne Świętej Rodziny, w której biedne dzieci dzięki wielu dobroczyńcom mogły otrzymywać wysokiej jakości edukację katolicką. Clare uczyła w szkole religii i języka angielskiego, a także zajmowała się pomocą potrzebującym. W ostatnich dniach życia w czasie powodzi, która nawiedziła kraj, pomagała mieszkańcom sprzątać skutki kataklizmu. Niedługo później Ekwador dotknęło trzęsienie ziemi.

Moment, którego się nie bała

16 kwietnia 2016 roku o godzinie 18.58 przyszło trzęsienie ziemi, w którym Clare zginęła na miejscu jako jedyna siostra z domu w Playa Prieta. Wraz z Clare śmierć poniosło pięć dziewczyn: cztery postulantki do Zgromadzenia i jedna licealistka, która też już myślała o życiu zakonnym. Były razem na piętrze i pod kierunkiem Clare ćwiczyły grę na gitarze. Jak zaświadczyła jedna z ocalałych licealistek, która jako ostatnia



Rok 2015, szkoła gry na gitarze

widziała je przy życiu kilka minut przed trzęsieniem, śpiewały piosenkę *Prefero el paraiso (Wolę raj)*, do której muzykę skomponowała Clare, a tekst napisała siostra Estela Morales. Dopiero na drugi dzień udało się wygrzebać spod gruzu pięć dziewcząt i Clare. Gdy odnaleziono jej ciało, w rękę trzymała część swojej gitary, z którą rzadko się rozstawała. Co ciekawe, tego dnia podczas lunchu siostry rozmawiały o śmierci. Clare powiedziała wówczas: „Czemu miałabym bać się śmierci, skoro mam być z Tym, z którym pragnęłam być przez całe życie?”.

Miała 33 lata. Śmierć siostry Clare, która m.in. składała świadectwo o swoim sposobie życia podczas Światowych Dni Młodzieży w Madrycie w 2011 roku, odbiła się szerokim echem w mediach na całym świecie. Zakonnica stała się znana także dzięki swojej filmowej biografii, która została przetłumaczona na różne języki i przy użyciu oryginalnych nagrań opisuje ważne etapy jej życia.

Do hiszpańskiego zakonu zaczynały przychodzić wiadomości z całego świata od osób, które zostały poruszone historią siostry Clare, nawróciły się i postanowiły powrócić do życia sakramentalnego. Jej grób w rodzinnym mieście zaczęli odwiedzać ludzie z całego świata, a wierzący od razu modlić się za jej wstawiennictwem. Jej ofiarne życie i tragiczna śmierć stały się pięknym świadectwem wiary.

Kolebka chrześcijaństwa bez chrześcijan?

Nie wszyscy pamiętają o tym, że Bliski Wschód i śródziemnomorska część Afryki Północnej, a nie tylko Palestyna i Izrael, są kolebką chrześcijaństwa. A przecież to ziemie, które od czasów Chrystusa zamieszkiwali chrześcijanie różnych obrządków. Muzułmanie dotarli tam dopiero w VII i VIII wieku, dokonując systematycznie islamizacji tych terenów. Dziś chrześcijanie na tych ziemiach żyją w bardzo trudnych warunkach. Wielu z nich na skutek prześladowań wyemigrowało do Europy, obu Ameryk, a nawet Australii, tak że obecnie stanowią oni zaledwie około 3,6% miejscowej ludności.

Kręgi geograficzne

Współcześnie ludność Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej wyznająca chrześcijaństwo dzieli się na rdzennych Arabów nawróconych na chrześcijaństwo w starożytności i wczesnym średniowieczu oraz na potomków ludności niearabskiej, zarabizowanych w wyniku podbojów arabskich (m.in. Asyryjczycy, Koptowie, Maronici).

Silna chrystianizacja terenów Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej miała miejsce w IV i V wieku. Do VI wieku chrześcijaństwo obejmowało swym zasięgiem większość ziem cesarstwa rzymskiego. W Europie rozciągało się od południa po Dunaj, a od zachodu po Ren. Na Południu obejmowało śródziemnomorskie wybrzeża Afryki, a wzdłuż Nilu sięgało na południe po Etiopię. Na Wschodzie zaś obejmowało całą dzisiejszą Turcję, Izrael, Palestynę, Liban, Syrię, Jordanię, Irak, Armenię, Gruzję i Azerbejdżan. Chrystianizacji uległy północne tereny Półwyspu Arabskiego (państwa Ghassanidów

i Lachmidów), a nawet tereny dzisiejszego Jemenu czy Bahrajnu! W tym okresie największym skupiskiem chrześcijan były tereny dzisiejszej Turcji, Palestyny, Izraela, północnej Tunezji, północno-wschodniej Algierii oraz okolice Tangeru w północnym Maroku, zaś w Europie okolice Rzymu oraz południowe wybrzeże Hiszpanii, od Sewilli po Kartagenę. Stąd główne siedziby administracyjne ówczesnego Kościoła – patriarchaty – oprócz Rzymu, mieściły się na Bliskim Wschodzie: w Aleksandrii, Jerozolimie, Konstantynopolu i Antiochii. Pierwsze sobory, czyli spotkania biskupów całego Kościoła, także miały miejsce na Bliskim Wschodzie: w Nicei, Efezie, Chalcedonie i Konstantynopolu. Jeśli zaś chodzi o Ojców Kościoła, czyli starożytnych pisarzy-teologów chrześcijańskich, urodzonych od II do przełomu VII i VIII wieku, których pisma wywarły znaczny wpływ na wykrystalizowanie się doktryny chrześcijańskiej, to na trzydziestu dziewięciu najczęściej wymienianych przez historyków Kościoła, z terenów dzisiejszej Europy pochodziło tylko dwunastu,

natomiast dwudziestu siedmiu z terenów Bliskiego Wschodu (m.in. Klemens, Orygenes, Atanazy Wielki, Bazyl Wielki, Grzegorz z Nazjanzu, Grzegorz z Nyssy, Jan Chryzostom) oraz z Afryki Północnej (m.in. Tertulian, Cyprian, Augustyn).

Historyczna różnorodność

Chrześcijaństwo w basenie Morza Śródziemnego rozwijało się w pierwszych wiekach w obrębie kilku kręgów cywilizacyjnych. Każdy z tych kręgów kultury chrześcijańskiej miał własną tradycję literacką i własną formę kultury.

Najbardziej prężne były Kościoły wschodnie z terenów dzisiejszej Turcji (zwłaszcza Kapadocji) oraz wschodnich wybrzeży śródziemnomorskich, czyli tam, gdzie kultura hellenistyczna była najsilniejsza, a więc w wielkich greckich miastach śródziemnomorskiego świata: Antiochii, Efezie, Tesalonice, Koryncie i Aleksandrii. To tam uformowało się chrześcijaństwo jako religia światowa i tam podjęta została pierwsza próba syntezy filozofii greckiej z chrześcijaństwem. Kościoły na tych terenach stały się w późniejszym okresie bazą Kościoła bizantyjskiego, a po rozłamie chrześcijaństwa w XI wieku – prawosławnego.

W połowie III wieku wyodrębnił się i zdobył własną oryginalność Kościół na Zachodzie, tzw. łaciński. Na jego czoło wysunęła się Italia z Rzymem oraz Afryka Północna (teren wokół Kartaginy). W tym miejscu trzeba przypomnieć, że łacińska literatura chrześcijańska i cała teologiczna tradycja zachodniego Kościoła nie zrodziły się w Europie, lecz w Afryce, na obszarach dzisiejszej Tunezji i Algierii, skąd pochodzili Ojcowie: Tertulian, Cyprian i Augustyn.

Jeszcze inne tradycje teologiczne wypracowali na przestrzeni IV i V wieku chrześcijanie z Syrii i Egiptu, wychowani poza greckim od-

ziaływaniem kulturowym. Kościoły oparte na tych tradycjach, tzw. starożytne Kościoły wschodnie, działają na tych terenach do dziś. Pierwszym nurtem był wywodzący się z nestorianizmu ryt chaldejski (zwany też syro-chaldejskim), który uformował się na terenach dzisiejszego Iraku, Iranu i Turcji. Jego zwolennicy dotarli aż do Chin, Indii (tzw. chrześcijaństwo malabarskie) i Azji Środkowej (Turkiestanu i okolic Taszkentu). Z kolei

w Egipcie oraz Syrii inny odłam chrystianizmu – monofizytyzm – uformował w Egipcie Kościół koptyjski, a ten z kolei ewangelizował w VI wieku Nubię i Etiopię. W Syrii zaś monofizytyzm ukształtował odrębne wspólnoty Kościoła jacobickiego i ormiańskiego (chrześcijaństwo w Armenii stało się religią państwową już w IV wieku) oraz związanego z nimi Kościoła gruzińskiego, który około 600 roku od-

dzielił się od ormiańskiego i zwrócił w kierunku Bizancjum. Dziś Kościół gruziński zaliczany jest do rodziny Kościołów prawosławnych rytu bizantyjskiego. Monofizytami byli początkowo również maronici z Libanu, którzy dziś są katolikami.

Obecnie na Bliskim Wschodzie, oprócz wyżej wymienionych starożytnych Kościołów wschodnich, funkcjonują też Kościoły prawosławne oraz wspólnoty obrządku katolickiego różnych rytów.

Dzisiejsza mozaika

Cały Bliski Wschód i Afryka Północna, pierwotnie niemal całkowicie schryścianizowane, zostały w okresie od 632 do 750 roku opalone przez islam, z wyłączeniem terenów dzisiejszej Turcji. Upadek Konstantynopola w 1453 roku przypieczętował ostatecznie islamizację tych obszarów, w tym również Turcji, a nawet fragmentów Bałkanów. Populacja chrześcijan w latach 1500-1900 spadła do około



**JANUSZ
PARADA**

Samorządowiec. Członek
Katolickiego Stowarzyszenia
„Civitas Christiana”

15% całej ludności tych terenów. Niestety, wraz z początkiem XX wieku rozpoczął się proces całkowitego zaniku chrześcijaństwa na Bliskim Wschodzie. Szczególnie tragiczne w tym procesie okazało się ostatnie dwadzieścia lat. Między rokiem 1910 a 2010 udział chrześcijan spadł na Bliskim Wschodzie z 13,6% do około 4,2%. W poszczególnych krajach skala spadku w latach 1910-2024 była następująca: w Libanie spadek z 77,5% do 30,4%, Egipcie z 18,7% do 8,5%, Iraku z 6,3% do 0,6%, Izraelu z 8% do 1,8%, Jordanii z 5,8% do 1,9%, Palestynie z 11,6% do 1%, Syrii z 15,6% do 2,7%, Turcji z 21,7% do 0,2% (za: ks. prof. Piotr Mazurkiewicz, *Bliski Wschód bez chrześcijan? Migracja a zmiany w strukturze religijnej społeczeństw na Bliskim Wschodzie*). Jedynie na Cyprze spadek był mniejszy – z 77,9% do 71,5%. Co ciekawe, w ostatnich latach wzrost liczby chrześcijan nastąpił w krajach Zatoki Perskiej, takich jak Arabia Saudyjska, Bahrajn, Katar, Kuwejt, Oman czy Zjednoczone Emiraty Arabskie, czyli w krajach, gdzie chrześcijaństwo było pra-

wie nieobecne. Nie są to jednak lokalni chrześcijanie, ale imigranci zarobkowi głównie z Filipin i krajów afrykańskich, przebywający tam raczej czasowo.

Dziś chrześcijan na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej została garstka, a ci, którzy trwają na tej ziemi, spotykają się z agresją i ich sytuacja życiowa ulega stałemu pogorszeniu. Kościoły wschodnie są zagrożone prawdziwym i faktycznym wymarciem, bo większość chrześcijan z tych terenów z powodu prześladowań chce emigrować lub jest do tego zmuszana. Niestety, rządy państw europejskich nie robią praktycznie nic, by zaradzić tej sytuacji. Co gorsze, Unia Europejska próbuje wymuszać na krajach członkowskich przyjmowanie imigrantów, którymi są głównie muzułmanie z Bliskiego Wschodu i Afryki, ale o obronę miejscowych chrześcijan przed prześladowaniami i pomoc dla nich jakoś nie walczy. Smutna i gorzka to prawda, której Europejczycy będą się kiedyś bardzo wstydzić, a swego zaniechania żałować.



Życie, pasja i świętość

mlodego błogosławionego, entuzjastycznego informatyka, krzewiciela tajemnicy i piękna Eucharystii



www.iwpax.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



KSIĄŻKA +
EBOOK



WYRÓŻNIENIE
FENIKS 2024



Genetyczny Adam. Nowe odkrycia nauki wobec biblijnej koncepcji stworzenia człowieka

Wiele nawet najbardziej niewiarygodnych wydarzeń opisanych w Piśmie Świętym wraz z rozwojem nauki i poszerzaniem naszej wiedzy okazuje się możliwych. Świetnym tego przykładem są m.in. wydarzenia towarzyszące wyjściu Izraelitów z Egiptu. Wielkim, dotąd nierozwiązanym sporem był ten między ewolucjonistami i kreacjonistami wokół powstania człowieka. Czyżby wyniki badania dwójki polskich profesorów mogły go zażegnać?

Prof. Anna Gambin, bioinformatyk na Uniwersytecie Warszawskim, i prof. Paweł Stankiewicz, genetyk z Baylor College of Medicine w USA, dokonali przełomowego odkrycia w sprawie pochodzenia człowieka. Opowiedzieli o nim w rozmowie z Karoliną Głowacką w Radio Naukowym. Polscy uczeni odkryli bowiem, że nasz gatunek ma jednego „praojca”, u którego doszło do mutacji – fuzji chromosomów z 48 do 46. To właśnie ta fuzja, która nastąpiła w organizmie jednego (prawdopodobnie) samca, oddziela nas od naszych najbliższych genetycznych krewnych – szympansov i goryli – tworząc barierę reprodukcyjną. Naukowcy, używając modeli bioinformatycznych, obliczyli również, kiedy w historii miała miejsce ta fuzja. Okazuje się, że praludzie pojawili się na świecie o wiele później, niż wcześniej zakładano, bo miało to miejsce ok. 900 tys. lat temu.

Na dodatek niedawno opublikowane chińsko-amerykańskie badanie mówi o tym, że w historii naszego gatunku był okres 100 tys.

lat, kiedy byliśmy bliscy wyginięcia. Przez bardzo niesprzyjające warunki na Ziemi populacja ludzka skurczyła się do ok. tysiąca osobników. Mieszkali oni najprawdopodobniej na małym obszarze, w „rajskiej dolinie” – jedynym miejscu, w którym mogli przetrwać. Według wyliczeń naukowców okres ten to między 930 a 813 tys. lat temu. Czyli właśnie wtedy, kiedy żył nasz „genetyczny Adam”. Czy nie brzmi to jak przełożenie na naukowy żargon słów Księgi Rodzaju?



**ALEKSANDRA
BILICKA**

Dziennikarz i kulturoznawca.
Redaktor portalu e-civitas.pl

Odkrycie genetycznego „praojca” ludzkości

Naukowcy już od ponad 20 lat przyglądają się ludzkiemu DNA, jednak dopiero dzięki nowym technologiom i zastosowaniu bioinformatyki są w stanie ostatecznie odtworzyć całe genomy. Długo uważano też pewne fragmenty DNA za „śmieciowe”, za „odpadki” po ewolucji, niezawierające żadnych informacji wartościowych dla badaczy. Przyglądając się właśnie tym fragmentom genomu, prof. Gambin



Figura woskowa prehistorycznego jaskiniowca, Muzeum Neandertalskie, Niemcy. Zdjęcie pogłądowe

i prof. Stankiewicz dokonali swojego odkrycia. Prof. Stankiewicz mówił w wywiadzie: „Mało kto wie, że to nie było takie proste policzyć, ile mamy chromosomów. Przez 30 lat pierwszej połowy XX wieku ludzie mylnie uważali, że mamy 48 chromosomów i dopiero na przełomie 1955 i 56 roku, czyli 3 lata po odkryciu chemicznej struktury DNA (...), udało się określić prawidłową liczbę, czyli 46, a nie 48. 48 chromosomów mają natomiast małpy człekokształtne – szympansy, goryle i orangutany. Czyli wiemy, że w pewnym momencie naszej ewolucji musiało dojść do zmniejszenia liczby tych chromosomów, do redukcji. Tym tematem zaczęliśmy się zajmować kilka lat temu i udało nam się wyjaśnić, kiedy i jak do tego doszło”.

Badacze szukali miejsca w kodzie genetycznym, w którym nastąpiło połączenie dwóch chromosomów i przy użyciu metod bioinformatycznych oraz molekularnych odkryli, że taka fuzja miała miejsce tylko jeden raz w ewolucji. Najpierw u samca, który miał 48 chromosomów, doszło do mutacji, w wyniku której jego plemniki zawierały 23 chromosomy. Kiedy skrzyżował się on z samicą, ich potomstwo miało już 47 chromosomów. Naukowcy spekulują, że ten pierwszy osobnik – „Adam” – krzyżował się z wieloma samicami. W związku z dużą ilością potomstwa, łatwo mogło dojść

do skrzyżowania się dwóch osobników posiadających 47 chromosomów, których potomstwo posiadało już 46 chromosomów, czyli tyle, ile człowiek ma dzisiaj. Biorąc pod uwagę drugie przytoczone badanie i mały obszar, na którym ludzie mieszkali w tym okresie, jak podkreśliła prof. Gambin, jeżeli do fuzji doszło właśnie tam, miała ona szansę się utrwalić.

Co ciekawe, niedawno odkryto, że gen, który uległ modyfikacji w wyniku opisanej fuzji, jest genem odpowiadającym za rozwój mózgu u człowieka. Toteż ta zmiana mogła odpowiadać za zmianę postawy na dwunożną. „Błysk w oku, wysportowana sylwetka, mogły zwracać uwagę...” – zażartowała prof. Gambin, wskazując, że osobniki posiadające mniejszą liczbę chromosomów najprawdopodobniej chętniej się ze sobą krzyżowały. Natomiast prof. Stankiewicz zaznaczył, że „wszyscy ludzie obecnie żyjący musieli pochodzić od tego jednego rodovodu. Nie ma innej drogi”.

„Wąskie gardło” ewolucji

Zespół, w którym brali udział naukowcy m.in. z Uniwersytetu La Sapienza w Rzymie, Uniwersytetu we Florencji oraz Chińskiej Akademii Nauk, również podjął w badaniu temat historii gatunku ludzkiego. Badacze przyjrzeni się genomom ponad 3 tys. współcześnie żyjących ludzi pochodzących z 10 populacji afrykańskich i 40 spoza Afryki. Na tej podstawie udało się oszacować, że w historii gatunku istniał okres 117 tys. lat (między 930 a 813 tys. lat temu), w którym populacja spadła do ok. 1200 osobników. Jak podkreślił prof. Giorgio Manzi z Uniwersytetu La Sapienza, współautor badania, „liczby, które wyłaniają się z naszego badania, odpowiadają gatunkom, które są obecnie zagrożone wyginięciem”.

Tak drastyczny spadek liczby naszych przodków, czyli powstanie „wąskiego gardła” w ewolucji, mógł być spowodowany zlodowaceniami, a więc ekstremalnie niskimi temperaturami, a w Euroazji i Afryce wystąpieniem poważnych

susz. Takie warunki klimatyczne doprowadziły do wyginięcia wielu gatunków organizmów, którymi żywił się człowiek, a także czyniły dużą część Ziemi niezdatną do zamieszkania i utrudniały dostęp do wody. Gdzie więc mieszkali nasi przodkowie, że tej garstce udało się przetrwać? Tutaj jest miejsce jedynie na przypuszczenia, które mówią o „rajskiej dolinie”, niewielkim obszarze, na którym życie było możliwe. Badacze podkreślili jednak, że „z punktu widzenia biologii ewolucyjnej wiemy, że pojawienie się nowego gatunku może nastąpić w małych izolowanych populacjach”. Te ustalenia zgadzają się z wynikami badań polskich naukowców.

To odkrycie pokrywa się też z dowodami kopalnymi. Do tej pory znaleziono bowiem niezwykle mało szczątków przypadających na ten okres, chociaż znalezisk datowanych zarówno na czas poprzedzający „wąskie gardło”, jak i okres późniejszy, jest wiele. Potwierdzałoby to zatem bardzo nieliczną populację w tym czasie – im mniej osobników, tym trudniej trafić na znaleziska.

Jak wskazał Ansa Yi-Hsuan Pan z East China Normal University w Szanghaju: „Nowe odkrycie otwiera pole do dalszego badania ewolucji człowieka, ponieważ rodzi wiele pytań, takich jak to, gdzie żyły te osoby, jak przeży-

wały katastrofalne zmiany klimatyczne i czy dobór naturalny w czasie, kiedy pozostało tak niewielu ludzi przy życiu, przyspieszył ewolucję mózgu człowieka”.

Ewolucja vs. wiara

Pamiętam, że kiedy jako nastolatka uczyłam się w szkole o ewolucji, wzrastając równocześnie w wierzącej rodzinie, czułam niemalą zgrzyt. Tłumaczono mi wtedy, że wiara w Boga-Stworzyciela nie wyklucza ewolucji, bo siedem dni, o których mówi Księga Rodzaju, nie musi być – i prawdopodobnie nie jest – siedmioma dniami w dzisiejszym rozumieniu. Nie wiemy, ile dla Boga trwał tydzień stwarzania człowieka. Rozwój nauki oraz coraz więcej interdyscyplinarnych badań rzucają jednak jeszcze inne światło na początki gatunku ludzkiego. Czy w obliczu przytoczonych ustaleń możemy pokusić się o tezę, że „gliną”, którą Bóg posłużył się do „ulepienia” Adama w raju, była fuzja chromosomów u naszego „genetycznego praojca” 900 tys. lat temu? Nie jestem ani naukowcem, ani teologiem, więc na to pytanie nie odpowiem, ale podoba mi się myśl, że im więcej wiemy, tym więcej sensu, ze zdroworozsądkowego punktu widzenia, ma nasza wiara.

eKai

Czy wiesz, że:

Laureat Nagrody Nobla Jon Fosse: pisanie jest dla mnie modlitwą

Dla norweskiego noblisty Jona Fosse’a pisanie jest rodzajem modlitwy. „Nie jestem przyjacielem wielkich słów. A moje powiedzenie «literatura jest modlitwą» jest z pewnością wielkim słowem. Ale dla mnie pisanie jest najbardziej szczerym sposobem wyrażania modlitwy” – powiedział pisarz podczas spotkania zorganizowanego przez archidiecezję kolońską w Środę Popielcową dla artystów w Kolonii.

Rekord nawróceń w archidiecezji Sydney

Archidiecezja Sydney w Australii przeżywa

prawdziwy rekord nawróceń. W pierwszą niedzielę Wielkiego Postu rekordowa liczba 380 osób przystąpi do obrzędu, który rozpoczyna ostatni etap przygotowań do sakramentów inicjacji chrześcijańskiej. W ciągu ostatnich czterech lat odnotowano ponadtrzykrotny wzrost nawróceń.

Archidiecezja Indianapolis bada ewentualny cud eucharystyczny

Amerykańska archidiecezja Indianapolis prowadzi obecnie dochodzenie w sprawie domniemanego cudu eucharystycznego w kościele katolickim św. Antoniego Padewskiego w mieście Morris w stanie Indiana. Jej przedstawiciel w oświadczeniu, udostępnionym katolickiej agencji CNA 5 marca, stwierdził, iż „obecnie trwa dokładne badanie laboratoryjne”.

Jak zachować twarz

Twarz. Jak często mówi za nas, nawet jeśli nie zdążyliśmy jeszcze otworzyć ust. Widać na niej wczorajsze zmęczenie, nieprzespane noce, strach, zaskoczenie czy ekscytację. Jest jedyną częścią ciała, której nie zakrywamy garderobą. Jest zawsze odsłonięta. Ma być naszym komunikatem, reklamą, wizytówką. Może zachęcać lub odstraszać. Chcemy, aby była piękna. Ale czy nasza twarz to my?

Twarz – fasada

Każdy z nas codziennie staje przed wyborem sposobu, w jaki chce zarządzać swoją „fasadą”, czyli w jaki sposób chce zaprezentować swoje ciało innym ludziom. Na najbardziej podstawowym poziomie człowiek wybiera swój strój – jego kolory, kroje, elementy, które później złożą się na określony styl ubioru. Na nieco głębszym poziomie człowiek stara się dbać o swoją cerę poprzez używanie kremów, odpowiednią dietę itp. lub decyduje się na ćwiczenie mięśni ciała, chcąc osiągnąć tym samym określony kanon piękna. Na najgłębszym poziomie prezentujemy ciało poprzez konkretne gesty, mimikę, sposób chodzenia, gestykulowania, stania. Część cech jest jednak niezależna od nas – płeć, wiek, wzrost czy cechy rasowe. Na pozawerbalny przekaz, który nieprzerwanie przez cały dzień nadaje nasze ciało, składa się gigantyczna liczba małych elementów. Aby jednak uczestniczyć w życiu społecznym, już od najmłodszych lat uczymy się kontrolować ciało, prezentować je w sposób ogólnie aprobowany społecznie.

Jak wskazał Erving Goffman, amerykański socjolog i pisarz, przedstawienie siebie w sytuacjach społecznych polega na kontrolowaniu swoich stygmatów, które podzielił na trzy grupy: zeszpecenia ciała, wady charakteru oraz stygmaty rasy, narodowości i religii. Skupmy się

jednak na pierwszej z grup. To, co szpetne, tak samo jak to, co piękne, w dużej mierze zależy od kultury, w której żyjemy. Najogólniej więc trzeba stwierdzić, tak jak wskazuje Goffman, że szpetnym będzie element stanowiący różnicę pomiędzy tym, czego oczekujemy, a tym, co posiadamy.

Kanon piękna

Przez swoje nieustanne odsłonięcie twarz stale narażona jest na ocenę. O ile ubiorem możemy do pewnego stopnia zakryć nadwagę, krzywe nogi, blizny czy inne niedoskonałości ciała, o tyle na twarzy widać wszystko. Mijani przez nas ludzie w pierwszym odruchu (choć często to pierwsze wrażenie rzutować będzie na późniejszą całościową ocenę człowieka) oceniać będą właśnie twarz. Dlatego tyle wysiłku wkładamy, aby utrzymać ją w powszechnie przyjętym kanonie piękna. Olbrzymią rolę w tym zakresie odegrały oczywiście mass media, przemysł filmowy i reklamowy. Jednym z najliczniej reprezentowanych tematów reklam są reklamy kosmetyków mających przemienić i udoskonalić nasze ciało. Jednocześnie reklamujący je aktorzy wcale takich udoskonaleń nie potrzebują (niektórzy dzięki naturze, ale większość dlatego, że takie udoskonaleń już przeszli). Twórcy reklam liczą jednak na to, że ich odbiorca

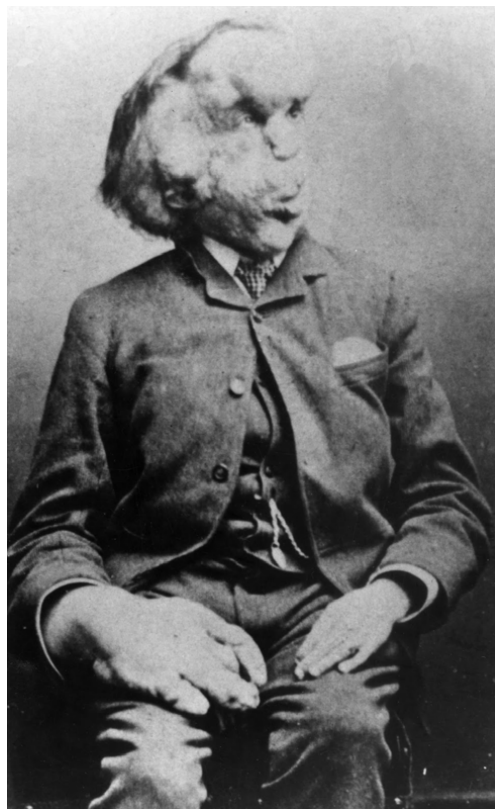
wpadnie na tę właśnie refleksję – „jeśli zastosuję oferowany kosmetyk, będę wyglądał jak aktor/aktorka z reklamy”. I choć na poziomie świadomości przeciętny konsument wie, że do takiej przemiany nie dojdzie, to jednak obietnica zmiany i obsesyjna wręcz chęć wpisania się w społecznie akceptowalny kanon piękna pchać go będą do zakupu. I w tym miejscu mógłbym skończyć moją nieodkrywczą refleksję o tym, jak media nami manipulują. Na szczęście życie stawia o wiele więcej pytań.

Człowiek słoń

Bo co z tymi, których twarz z różnych względów uległa deformacji lub znacznemu oszpeceniu? Jeżeli jest ona naszą wizytówką, to twarze takich osób nie zachęcają do kontynuowania z nimi znajomości. A jednak nie przestają być oni przecież zwykłymi ludźmi.

Z historii wiemy, że osoby dotknięte chorobami twarzy często wystawiane były jako atrakcje w cyrku. Ciekawą refleksję w tym temacie czyni David Lynch, który w jednym ze swoich pierwszych filmów pt. *Człowiek słoń* (za który nominowany został do Oscara) zajął się przypadkiem Josepha Careya Merricka.

Merrick urodził się w 1862 roku w Anglii, a pierwsze zmiany w ciele zaczęły pojawiać się u niego w wieku trzech lat. Prawdopodobnie jego matka również była w jakiś sposób zdeformowana (wynika to jedynie z notatki w zipskach rodzinnych). Odrzucony przez macochę i ojca, uznany za zbyt szpetnego, nie mogąc podjąć normalnej pracy fizycznej, stał się cyrkową atrakcją. Dzięki wstawiennictwu dr. Fredericka Trevesa, początkowo zainteresowanego Merrickiem jedynie ze względu na jego ciekawą z medycznego punktu widzenia przypadłość, filmowy „człowiek słoń” znalazł schronienie i właściwą opiekę medyczną. Co więcej, pieczę nad jego losem objęła sama Królowa Wiktorja. To jednak, co najciekawsze i najbardziej poruszające w filmie, to relacja przyjaźni, która połączyła Merricka z dr. Trevesem. Choć po-



Joseph Merrick w 1889

czątkowo doktor interesował się „człowiekiem słońciem” jedynie ze względów zawodowych (jego prezentacja Merricka dla grupy lekarzy niewiele różniła się od pokazów w cyrku), z czasem odkrył to, co wydawałoby się najbardziej banalne – choroba nie odbiera Merrickowi człowieczeństwa i tym samym możliwości odczuwania takich samych emocji jak ludzie zdrowi. W tej historii widać wyraźnie, jak wielki stygmat ciąży na chorobach ciała, a w szczególności twarzy. O ile poważne choroby narządów wewnętrznych budzą w nas współczucie, o tyle poważne deformacje ciała raczej strach i niechęć.

Wewnętrzne piękno

Kiedy byłem na wolontariacie misyjnym z Fundacją Domy Serca w Chile, wielokrotnie

miałem kontakt z osobami niepełnosprawnymi lub cierpiącymi na choroby deformujące ich ciała. W czasie spotkań z nimi niejednokrotnie zdawałem sobie sprawę, jak prawdziwe są słowa Jezusa, że „światłem ciała jest oko” (Mt 6, 22). Nawet bowiem, gdy ograniczenia ciała nie pozwalały na werbalną komunikację ani na gesty, to w oczach tych ludzi można było wyczytać ich myśli i pragnienia.

Pamiętam, jak pewnego dnia, późnym wieczorem przyszedł do naszego domu don Luis. Jego twarz, naznaczona wieloma latami alkoholizmu i spania na ulicy, przypominała tego wieczoru woskową maskę. Czoło zroszone potem i przerażenie w oczach powiedziały mi już wystarczająco. Wiedziałem, że właśnie znowu zaczął pić. On swój dramat wypisany miał na twarzy. W tym wypadku zadziałała ona jak wizytówka. Ktoś, kto go nie znał, odgadłby jego historię alkoholizmu. Ci, którzy go znali, wiedzieli jednak, że jeśli spojrzy mu się głęboko w oczy, to odkryje się prawdę o nim – o jego wrażliwości, uczynności i dobru, jakie w sobie ma.

Podobnie było w przypadku więźniów, których odwiedzałem. Większość z nich miała nieco ponad 20 lat, byli młodymi mężczyznami, ale jednak widać było na ich twarzach, że wiele w życiu wycierpieli. Wbrew filmowemu stereotypowi nigdy nie chwalili się tym, co zrobili, ani nie uważali, że są w więzieniu „za niewinność”. Mogłem tylko domyślać się przestępstw, których się dopuścili. Pamiętam trzech z nich, którzy chcieli przyjąć w więzieniu Pierwszą Komunię. Towarzyszyłem im w ich przygotowaniach, dużo rozmawialiśmy o wierze, mieli wiele pytań. Jednak dzień, w którym przyjęli Najświętszy Sakrament, był dniem, w którym zobaczyłem ich twarz zupełnie odmienioną. Ci groźnie wyglądający faceci, z bliznami na twarzach i tatuażami, nagle wydawali się mieć oblicza dzieci – ciekawych, jak to jest przyjąć Komunię; ufnych, że to, cze-

go doświadczają, jest prawdą; a także pokornych w swoim myśleniu o tym, że nie zasłużyli swoim postępowaniem na taki Dar. I nie przesadzam ani trochę, pisząc, że wyglądali jak dzieci zafascynowane czymś nowym – mieli błysk w oczach, rozdziawione usta i szturchali się nawzajem, pokazując sobie co chwilę jakiś nowy szczegół. Ich zniszczone twarze doznały przemienienia.

Od starożytności ludzkość zwykła utożsamiać piękno z dobrem. Bo przecież to, co piękne i ładne dla oka, nie może być złe moralnie. Takie podejście, mające swoje korzenie w greckiej filozofii, stosowane w odniesieniu do ludzi okazuje się zgubne. Nie trzeba być wielkim znawcą ludzkiej natury, żeby wiedzieć, że pod piękną twarzą mogą się ukrywać, z moralnego punktu widzenia, bardzo złe zachowania. A tym samym najbardziej nawet szpetna twarz skrywać może dobrą duszę. Do takiego właśnie głębszego spojrzenia na człowieka zachęca nas sam Jezus, mówiąc „wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili” (Mt 25, 40). Wskazuje tym samym, że to On sam kryje się za fasadą naszej twarzy.



RAFAŁ BILICKI

Prawnik, specjalista
w Urzędzie Ochrony Danych
Osobowych

Czy moja twarz to ja?

Nasze twarze są różne – ładne, brzydkie i zupełnie przeciętne. Jak żadna inna część ciała, twarz narażona jest na ocenę i krytykę. I jak z żadnej innej możemy z niej wyczytać stan wewnętrzny człowieka – jego emocje, myśli czy odczucia. Może nam ona zapewnić akceptację społeczną lub wręcz przeciwnie – wyrzucić poza margines społeczeństwa. Jednak nasze człowieczeństwo nie zamyka się w twarzy. Choć podatna jest ona na różnego rodzaju deformacje i oszpeccenia, to nie mogą nam one odebrać ludzkiej godności. To ważne, aby pamiętać, że pod twarzą zewnętrzną mamy też tę wewnętrzną, która mówi o nas prawdę.

Zakręty ponowoczesnej „naturalności”

Naturalne podejście do swojego ciała jest obecnie jednym z najbardziej propagowanych. Dbanie o siebie, wsłuchiwanie się w swoje potrzeby, diety, ćwiczenia i masaże. Wraz z rozwojem takiej postawy rośnie też hipokryzja lewej strony sceny politycznej. Wpływa ona na naturalny rozwój człowieka w sposób całkowicie sztuczny, twierdząc, że on sam rozwija się w taki sposób.

Chcąc opowiedzieć o cyklu życia człowieka, zaczynamy od narodzin, idąc przez dzieciństwo, dorastanie, wejście w dorosłość, potem wiek średni i starość, po której następuje śmierć. Wydaje się, że ta wiedza jest tak podstawowa, że nikt się już nad nią nie zastanawia. Okazuje się, że „wolność”, którą dostajemy od lewicy, zaburza ten ład.

Narodziny

Przyjście na świat dawno wyczekiwanego dziecka, radość od samego momentu poczęcia – są to uczucia, które towarzyszą każdej matce, która chciała posiadać potomstwo. Różnice światopoglądowe nie są w tym wypadku ważne. Jeśli kobieta chciała dziecka, to będzie ono jej córką czy synem od momentu, w którym pojawi się w jej brzuchu. Niestety, zdarzają się poronienia, które zawsze są tak samo bolesne i obciążające. Niedawno zdarzyło się to też pewnej lewicowej aktywistce – Mai Staško, która straciła ciążę, dziecko, o które się starała. Sama użyła tych słów. Od wielu lat krzyczy jednak, że do pewnego momentu jest to zlepek komórek, a nie dziecko. Ciążę można przerwać, bo to tylko zarodek, nie czuje i nie myśli. Do 12. czy 26. tygodnia to nawet nie jest śmierć, tylko „pozbycie się problemu”. Tylko dlaczego matka w takim razie płacze i cierpi? Dlaczego dzieli się tym doświadczeniem w Internecie, wspierając tym razem wszystkie kobiety, które straciły

dziecko? Jak to się w takim razie nazywa? Strata dziecka czy nic nieznaczącego zlepek komórek?

Dzieciństwo

Bez troski czas zabaw, poznawania nowych umiejętności, nazywania rzeczy po imieniu. Większość z nas chciałaby wrócić do tamtych lat, gdy wszystko było takie proste. Należy jednak pamiętać, że obecnie dziecko nie może dostać zabawki, która jest związana z płcią, ani nie można ubierać go w kolory, które ją definiują. Niech bawi się zabawkami, jakimi chce, ale jeśli dziewczynka pobawi się samochodem, a chłopiec lalką, to zachodzą przesłanki do stwierdzenia, że może to dziecko urodziło się w „złym ciele”. Oczywiście jest za wcześnie, żeby to stwierdzić, więc wychowuje się je bez tożsamości płciowej i przynależności do grupy. Nie można mu także odpowiedzieć na pytanie, jak się będzie dalej rozwijać. Zakazuje się mu mówienia, że ktoś jest „gruby”, ponieważ jest to „osoba w kryzysie”. Nie może powiedzieć, że pan chodzi w sukience, bo to wybór tego człowieka i trzeba to akceptować. Musi się nauczyć, że trzeba pytać o zaimki, a także nie zakładać, że ktoś ma tożsamość, skoro ty sam jej nie masz. Bez troskie dzieciństwo, w którym pewne rzeczy wydają się oczywiste, nagle przepełnione jest zasadami, które nie łączą się z prostym i logicznym rozumowaniem małego człowieka.

Dorastanie

Moment buntu, odkrywania siebie, podejmowania decyzji, co chce się robić w życiu, kim być. Na tym etapie najlepiej jest podjąć decyzję co do zmiany płci, zacząć brać hormony, których organizm nie produkuje naturalnie w odpowiedniej ilości, i przyjmować je prawdopodobnie do końca życia. Trzeba przejść też inicjację seksualną i koniecznie się nauczyć, „jak to się robi”, bo w wieku nastoletnim jest to najważniejsza wiedza i im wcześniej dowiesz się, jak te mechanizmy działają, tym będziesz... no właśnie. Jaki? Doroslejszy? Lepiej znający świat? Dowiesz się, jak działa twoje ciało i zrobisz z tego pożytek. Mając wcześniej dzieciństwo pozbawione tożsamości, młody człowiek zaczyna szukać nie tylko tego, kim chce być, ale tego, kim w ogóle jest. Kiedy wydaje mu się, że wie, szuka grupy, która go w tym wesprze i zgodnie z jej ideologią podejmuje decyzje. Nie ma teraz czasu na problemy z nauką, pierwszą miłością czy poszukiwaniem zainteresowań. Twoją tożsamością jest grupa, w której jesteś. Ciało zmuszane jest do dorastania pod wpływem hormonów, które powinno produkować w mniejszej ilości, czy też brania tabletek, które mają zapobiec ciąży, a tym samym hamują rozwój płciowy, który jest i tak niepotrzebny, bo to są problemy dorosłych ludzi.

Dorosłość

Będąc pełnoletnimi, możemy robić wszystko. Rodzice nie mają już nad nami władzy, a życie przebiega na naszych zasadach. Wchodzimy wtedy w związki, zakładamy rodziny lub zmieniamy partnerów. Możemy decydować o tym, czy to dziecko, czy „złepki komórki”, czy nasz rodzic ma jeszcze prawo do życia, możemy wybierać rząd i wychodzić na ulice wykrzyzczać swoje racje. Lewa strona sceny politycznej na-

mawia do rozwiązłości, „sprawdzania” siebie nawzajem, zanim wejdziemy w długotrwałą relację. Trzeba się przecież „wysaleć”. Skutkiem ubocznym są choroby weneryczne, które są normalizowane jako coś naturalnego. Należy tylko pamiętać o antykoncepcji w postaci tabletek na wypadek ciąży i prezerwatywach, żeby jednak żadnej z tych chorób nie złapać. Nie ma stuprocentowej pewności, że to zadziała, ale czego się nie robi dla „odnalezienia siebie”. Jeśli wybrana została płeć inna niż „biologiczna”, to trzeba pamiętać o dalszym przyjmowaniu hormonów, bo organizm nadal nie produkuje ich w ilości wystarczającej, żeby sprostać wymaganiom psychiki. Należy również pamiętać o terapii, ponieważ nic nie jest takie, jak się wydaje, a żeby odkryć, co jest nie tak, trzeba przeprowadzać długie rozmowy z terapeutą. Prawdopodobnie po prostu wychowanie przez rodziców było „złe”, bo nie nadążyło za obecnymi standardami, nie zapewniło tej „wolności”, która teraz jest powszechna.



**EMILIA
BERNACIAK**

Dziennikarz, realizator
dźwięku, redaktor Radia
Civitas Christiana

Wiek średni

Życie wydaje się już stabilne, praca i zarobki są na poziomie, na coraz więcej można sobie pozwolić. Kobietom nie udało się zająć w ciążę, bo najpierw nie chciały, a jak już chciały, to było na nią za późno. Zdarzały się poronienia, okazuje się, że organizm, po długotrwałym ingerowaniu w cykl, nie chciał podjąć się tego zadania. Związki się rozpadają, bo przesłanie było takie, żeby się nie przywiązywać. Po trzeciej zmianie zaimków człowiek już nie wie, kim jest, więc stwierdza, że jest niebinarny, bo nie przywiązuje się do żadnej grupy płciowej. Trzeba się leczyć na nawracające choroby weneryczne. „Na szczęście” nadal jest grupa, która akceptuje takiego człowieka, grupa ludzi z podobnymi wartościami, którzy nadal walczą o „wolność” płci i stwierdzenie, że człowiek jest tym, kim chce być, a nie tym, kim

środowisko mu karze. Osoby po „korekcie płci” nadal przyjmują „leki”, bo organizm nie chce się przestawić sam z siebie na „właściwe tory”. Trzeba dalej chodzić na terapię, bo jakoś nadal nie można się przystosować do zmian, które zaszły już tak dawno. W głowie można być tym, kim się chce...

Starość

Kim jesteś...?

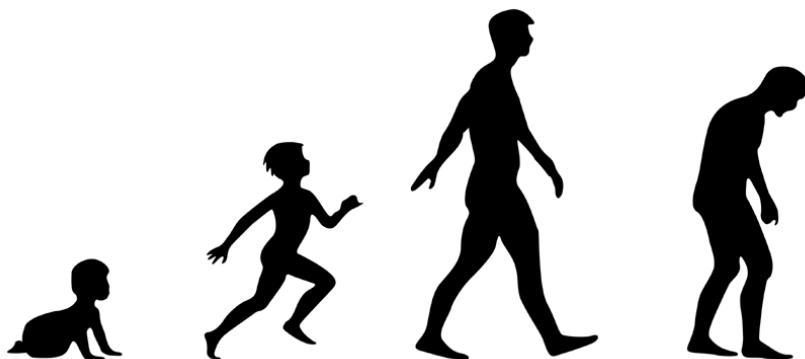
Możesz odpuścić, inni zdecydują za ciebie, czy masz żyć.

Nowa naturalność

Współczesna propaganda głosi „wolność, naturalność, oddanie się uciechom”. Jednocześnie ta sama „naturalność” z jakiegoś powodu nie wynika z faktu, że żyjesz i istniejesz, ale trzeba jej pomóc. Każdy etap życia angażuje coraz to więcej zasobów zewnętrznych, które obciążają organizm. Hipokryzją jest więc nazywanie tego wolnym i naturalnym życiem. Jednoczesna propaganda, która głosi, że warto się zdrowo odżywiać i ćwiczyć, ponieważ to przedłuży życie, wydaje się wykluczać kult chorobliwej otyłości, zmiany dokonywane mechanicznie w ciele, przyjmowanie preparatów, które chwilowo „pomagają”. W promowaniu takiej postawy brakuje refleksji, że nie urodziliśmy się, posiadając samoistne możliwości

takich zmian, ewolucyjnie jest to niemożliwe i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Ukazują się artykuły, które głoszą, że mężczyzna zaszedł w ciążę. Po przeczytaniu dowiadujemy się, że to nie mężczyzna, a biologiczna kobieta, której nie usunięto żeńskich narządów płciowych. W komentarzach zaczyna się dyskusja, czy prawidłowo napisano, że to mężczyzna, czy kobieta, jakich zaimków powinno się używać. Ludzie zarzucają sobie błędy, bo przecież poprawnie to powinno być tak, a nie inaczej. Za chwilę osoba o tych samych poglądach mówi, że powinno być odwrotnie. Wydawca publikującej strony, która ma charakter lewicowy, prosi o kulturę wypowiedzi w komentarzach, potwierdzając tym samym, że temat jest sporny. Tylko dlaczego taki jest, skoro to powinno być „naturalne”? Lewa strona sceny politycznej próbuje spowodować, że przyjmiemy za normalne coś, co nigdy nie wydarzy się bez ingerencji człowieka w organizm oraz w wychowanie. Pierwotne instynkty do prokreacji i rozwoju w grupie określonej po pierwsze przez płć zostały zaburzone. Człowiek gubi się w tym, kim ma być i jak ma funkcjonować, a także, kim jest osoba żyjąca obok niego. Od dzieciństwa nie odnajduje się w swoim ciele i jest uczony, że dowie się, kim jest, później. W przyszłości nagle każą mu podjąć decyzję, której nigdy nie przemyślał, więc zasięga rady środowiska i zaczyna pracować nad swoim ciałem środkami zewnętrznymi. Hipokryzją jest więc nazywanie tego „naturalnością”.

For: Adobe Stock



Sri Lanka. Eden z brzemieniem kolonializmu

Nigdy sobie nie wyobrażałem, że w grudniu 2024 odwiedzę ten niemal tropikalny kraj, aby poznać kulturę i tradycje buddyjskie. Pan Bóg jednak potrafi nas czasem zaskoczyć i posłać w odległe miejsca, które zupełnie zmieniają patrzenie na świat.

Znalazłem się na Sri Lance, która nie tylko stała się moim pierwszym spotkaniem z Azją, ale również nauczyła mnie nieco innego, szerszego spojrzenia na otaczającą rzeczywistość. Myślę, że warto podzielić się tym doświadczeniem, bo jest to dość nieoczekiwany kierunek świata.

Raj smakoszków czaju

Nie będę ukrywał, że osobiście nie jestem wielkim fanem herbat. Moja klasyfikacja dzieli je na czarną, zieloną i owocową. Cóż to jednak byłaby za wyprawa do Cejlonu, gdybym nie pojechał zobaczyć tych owianych sławą wzgórz herbacianych i nie przeszedł uproszczonego kursu parzenia tego napoju. Wydaje mi się, że to punkt obowiązkowy dla każdego jadącego na Sri Lankę. Piękne, mieniące się zielenią wzgórza, skąpane w promieniach słońca, przypominają niekończący się ocean krzewów – i jest to widok zapierający dech w piersiach. Bez wątplenia uroku dodaje mu pojawiająca się tu i ówdzie architektura brytyjska, kolonialne domki z tarasami orientowanymi na wschód słońca. No i oczywiście ogromne napisy przypominające te z Hollywood, na których widnieją nazwy producentów herbaty. Widok jak z bajki! Jednakże za tym bajecznym klimatem kryje się, po pierwsze, smutna historia kolonialnego ucisku, a po drugie – wciąż obecny wyzysk.

Za jedną herbatę w brytyjskiej kawiarni zapłacimy czasem więcej, niż wynosi dzienne wynagrodzenie pracownika plantacji, który w pełnym słońcu, narażony na tropikalne choroby i ukąszenia jadowitych węży, dźwiga na swoich plecach 30 kilogramów drobnych listków.

Może będzie to dla wielu zaskoczeniem, ale warto nadmienić, że generalnie znacznie lepsze jakościowo oraz pod względem smaku herbaty wypijemy u siebie w domu niż na Sri Lance, ponieważ najlepszy susz idzie na eksport, a w kraju produkcji pozostaje niestety ta gorsza część. Jako ciekawostkę dodam, iż w 2022 roku lankijski rząd ogłosił światu, że zbankrutował, bo pobrane kredyty przewyższyły możliwości spłaty. Chcąc jednak mimo to jakoś uporać się z dziurą w budżecie, zaproponował swoim kredytodawcom, że zadłużenie może być spłacane właśnie tym dobrem narodowym, jakim jest herbata. I jeden z krajów nawet na to przystał.



**KRZYSZTOF
NIEMCZYK**

Finalista Ogólnopolskiego Konkursu Wiedzy Biblijnej. Członek Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”. Kleryk seminarium we Wrocławiu

Kraj barw i zapachów

Już w momencie opuszczenia samolotu warto wziąć głęboki wdech, nie tylko dlatego, że po dziesięciu godzinach lotu chce się zaczerpnąć świeżego powietrza, lecz z powodu niesamowitego zapachu Cejlonu. Składa się na niego zarówno dym licznych kadzidełek stawianych przy

każdym ołtarzyku, jak i woń rozlicznych upra-
wianych tam przypraw. Znanie również w Polsce
dymiące „pałeczki” nie tworzą ogromnych kłę-
bów dymu jak kadzielnice w naszych kościołach,
pachną jednak niezwykle intensywnie, dlatego
choć nie widać szerokich smug dymu, to mocno
czuć wszelkiego rodzaju kwiatowe nuty. Z ko-
lei zapach przypraw przesiąka ulice, zwłaszcza
w pobliżu lokali gastronomicznych – aromatycz-
ne curry, charakterystyczny anyż, znany cejloń-
ski cynamon czy wiele odmian papryk to właśnie
nie tylko smak tamtejszej kuchni, ale również za-
pach miast. Co więcej, są tam dostępne napraw-
dę ciekawe produkty, w które się „obkupiłem”,
gdyż w Polsce ciężko je dostać, jak goździkowa
pasta do zębów czy mieszanka dziesięciu przy-
praw, znana pod hasłem „aiurveda”, z której robi
się mydła, kremy i wszelkiego rodzaju kosmetyki
do pielęgnacji, opierające się w 100% na natural-
nych składnikach. Trzeba jednoznacznie skon-
kludować – miasta lankijskie, w odróżnieniu od
europejskich, po prostu pachną!

Drugą cechą charakterystyczną Sri Lanki
jest bez wątpienia barwność. To koloryt zu-
pełnie odmienny od klasycznych, eleganckich
połączeń znanych ze Starego Kontynentu.
Tu śmiało mieszają wiele barw. Mieniące się
różnymi kolorami sari noszone przez kobiety
to widok zachwycający, zwłaszcza że architek-
tura bywa uboga, niejednokrotnie z braku pie-
niędzy jest to szary beton. Na tym tle barwne
suknie budzą radość. Dotyczy to również stro-
ju mężczyzn, którzy po ulicach chodzą w...
spódnicach. Może to dość duże uproszczenie
tak nazwać te długie aż do ziemi chusty, ale
rzeczywiście są one obecne w ubiorze. Kupi-
łem nawet jedną, ale z przeznaczeniem na bar-
dzo zdobny szal. To też ciekawostka – wyroby
tkackie i materiały do szycia stanowią dobro
narodowe, z jakiego słynie Sri Lanka.

Chiński neokolonializm

Chociaż historia Sri Lanki ma ponad dwa
tysiące lat, to jednak większości świata wyspa

kojarzy się głównie z czasami brytyjskiego ko-
lonializmu, kiedy była jedną z pereł herbacianej
potęgi Anglii. Ten smutny etap wyzysku ludno-
ści na szczęście minął, chociaż pewne tradycje
biznesowe z tego okresu są nadal gdzieś widoczne.
Te długie lata odcisnęły swoje pię-
tno także na języku. Lankijczycy mają własny
alfabet, jednak w przestrzeni reklamowej uży-
wa się języka angielskiego. Nowsze banery są
dwujęzyczne, bo dodatkowo umieszcza się na
nich napisy po chińsku. Posążki Buddy na str-
ganach, tradycyjne sari, a nawet cynamon już
najczęściej noszą znaną metkę „made in Chi-
na”. Oczywiście, że podobne zjawisko znamy
z Europy, jednak nie kojarzą żadnego państwa
Starego Kontynentu, przez którego stolicę prze-
biega autostrada, w której około 90% udziałów
mają Chiny i gdzie zbudowane są całe osiedla
dla inwestorów z Państwa Środka.

Najciekawsza historia z chińskimi wpły-
wami na Cejlonie wiąże się z pewnym portem.
Otóż władze lankijskie miały plan na skok in-
westycyjny. Słusznie zauważono, że położenie
geograficzne kraju jest niezwykle korzystne do
czerpania zysków z żeglugi morskiej. Budowa
terminala na południu kraju była zatem słuszną
inicjatywą. Jednak z prośbą o realizację przedsię-
wzięcia zwrócono się do ChRL. Podpisano kon-
trakt na kredyt i wykonanie oraz aneks, zgodnie
z którym wykonawcą miała być spółka chińska.





Tu pojawiło się pierwsze zaskoczenie. Lankijczy- cy wzięli kredyt od Chin, który spłacili podwój- nie, ponieważ zapłacili z niego chińskim firmom, a następnie musieli spłacać go chińskiemu rzą- dowi. Ostatecznie jednak port powstał i pojawiła się szansa na rozwój. Należy jednak pamiętać, że Ocean Indyjski opanowany jest przez Chiny, które jakoś nieskore były do korzystania z lankijskiego portu, przez co stał się on nierentowny i trzeba go było sprzedać. Jak łatwo się domyślić, kupili go Chińczycy i dziś jest prosperującym miejscem, które zyski przynosi Państwu Środka.

Buddyzm i hinduizm

Z perspektywy europejskiej buddyzm i hin- duizm to wyznania obce, wielu ludziom ciężko byloby podać choćby dziesięć sensowych infor- macji na ich temat. Jednak, udając się do Azji, warto spróbować choć troszkę bliżej poznać te religie, szczególnie zaś nonteistyczny buddyzm,

bowiem ma on największe znaczenie dla lankij- skiej mentalności. Nonteistyczny – bo Budda jest właściwie jedynie perfekcyjnym człowiekiem, nie Bogiem. Z drugiej jednak strony istnieje w tej myśli przestrzeń dla siły nadprzyrodzo- nej, a pod strzechami buddyjskich świątyń jest miejsce również dla Wiszni czy Siwu. Co ważne, nauczanie Buddy jest tak zakorzenione w tutej- szym sposobie myślenia, że nikt nie obawia się tu kieszonkowców, ponieważ wierzy się, że kra- dzież „wyzerowuje” karmę. Odzwierciedla się ono także w gościnności i chęci pomocy, gdyż to z kolei zwiększa szanse na życiową pomyślność. Jest to widoczne do tego stopnia, że gdy wejdzie się do pizzerii i zamówi na przykład krewetki, to mimo że tej opcji nie ma w karcie dań, zdarza się, że kelner pójdzie do restauracji kilka ulic dalej, by spełnić prośbę klienta. Istnieje jednak ciekawy wyjątek. Biedniejszy, według Buddy, ma prawo do uczciwego zarobku, co w wykładni niektórych myślicieli pozwala na „zdzieranie” z turystów. Jeśli bowiem turystę stać, żeby tu przyjechać, to stać go też, aby zapłacił więcej niż mieszkańców. Najbardziej uwidacznia się to chy- ba przy atrakcjach turystycznych, gdzie różnica w cenie wejściówek wynosi nawet 2000%.

O hinduizmie natomiast chciałbym wspo- mnąć dość subiektywnie. Odwiedziłem wiele świątyń buddyjskich. Jest ich w tym kraju peł- no, nawet w najmniejszych wioskach. Jednak do hinduistycznej wszedłem tylko raz – i było to dość specyficzne doświadczenie. Przekro- czywszy bramę świątyni, od razu poczułem niesamowitą atmosferę grozy i niepokoju. Po dziedzińcu poruszali się mocno wytatuowani bramini, część odprawiała przy ognisku jakiś tajemniczy rytuał. Wokoło stało mnóstwo figur w postaci zdeformowanych zwierząt z cechami ludzkimi, z powykrzywianymi kończynami i wieloma wymalowanymi znakami. Duszą- cy dym kadzidła, kolorowe światła odbijające się od złocien oraz jaskrawe barwy zdobień na ścianach, które łączyły się z panującym pół- mrokiem. Nie ukrywam, że trochę to przeraża- ło. Chociaż mam świadomość, że to tylko moje

odczucie, a cały system ma zapewne wiele do zaoferowania wyznawcom, zachęcając ich do dobrego życia, to jednak zderzenie z tą religią było dość nieprzyjemne.

Kościół buddyjsko-katolicki?

Na Sri Lance chrześcijanie stanowią zaledwie 7% ogólnej populacji. Miałem niezwykle szczęście być tam w Adwencie, okresie szczególnym dla Kościoła. Znając europejski model tego okresu liturgicznego, mogłem porównać go z tym, co zobaczyłem na Cejlonie. I tak, roratka była, wieńiec z czterema świecami również. Nawet różowy ornat na niedzielę Gaudete. Powierzchniowo wszystko się jak najbardziej zgadzało, ale trzeba było spojrzeć na praktyki kaznodziejskie, bo w tym wymiarze zarysowuje się pewna ważna różnica. W Kościele europejskim w owym czasie coraz usilniej podkreśla się aspekt paruzji, moment nawrócenia w życiu człowieka, natomiast na Cejlonie dostrzega się konkretne wydarzenie pamiątki narodzin Jezusa. Widać w tym nawiązanie do myśli buddyjskiej, gdzie mimo wiary w reinkarnację, każdy człowiek pozostaje w na-

dziei na osiągnięcie jakiegoś szczęścia w obecnym życiu, w nadziei na to, że pośród zmartwień i trosk nadejdzie ono namacalnie, i to wkrótce. Inkulturacja chrześcijaństwa była obecna również w sztuce i praktykach, które kładły szczególny nacisk na bliskość natury i jej moc.

Chociaż cel mojej podróży nie był pielgrzymkowy, to jednak zwiedzając kraje, lubię patrzeć na nie przez pryzmat eklezjalny. Tak było i tym razem. Wspólnota „centralnie sterowana” zza Spizowej Bramy musi być synodalna, jak wskazuje papież Franciszek, bo chociaż „głowa” widzi całe ciało, to jednak winna współdziałać z każdym członkiem dla dobra całości – tę myśl św. Pawła z Listu do Rzymian zrozumiałem pośród mniejszości katolickiej Sri Lanki.

Natura, która przyciąga

Ostatecznie z tej podróży najbardziej wyniosłem prosty zachwyt nad naturą. Sri Lanka, poza pięknymi świątyniami i starożytnymi pałacami, ma do zaoferowania wspaniałą florę i faunę. Różnobarwne ptaki budzące co rano pięknym śpiewem, liczne makaki w centrum miasta, które tylko czyhają, by ukraść nam coś z kieszeni bądź plecaka, albo dziki słoń, który bez kierunkowskazu wyprzedza autobus na drodze, to doświadczenie niezwykle intrygującego współdzielenia przestrzeni życiowej z dziką naturą (nie wspominając o gekonach i innych jaszczurkach w pokojach). Bujna roślinność również przyciąga swoją urodą. Żyzna gleba sprawia, że ogrody mienią się wszelkimi kolorami kwiatów, a zielen drzew i traw ma najintensywniejszy odcień, jaki w życiu widziałem. Bez wątplenia kilkudziesięciometrowe wodospady, których szum słuchać paręset metrów dalej, sprawiają, że człowiek czuje się taki mały wobec potęgi stworzonej natury. Nawet przeszło mi raz przez myśl, że gdyby ktoś chciał się dowiedzieć, jak mógł wyglądać Eden, to warto rozpocząć czytanie Księgi Rodzaju podczas pobytu na Sri Lance, a bez wątplenia po części doświadczy się piękna Rajskiego Ogrodu.



Fot. Krzysztof Niemczyk

Bo piękno na to jest, by zachwycąło...

O przedstawieniach ciała w sztuce

Obraz ciała ludzkiego należał do najczęściej występujących motywów w sztukach plastycznych. Z wyjątkiem sztuki nieprzedstawiającej – abstrakcyjnej – wizerunek człowieka był obecny w każdym stylu i nurcie artystycznym.

Mroki historii

Najstarsze przedstawienia antropomorficzne pojawiły się na ścianach jaskiń (Lascaux, Altamira) w paleolicie. Występują np. w scenach polowania, wśród wielkiej liczby wizerunków zwierząt. Są jednak rzadkie i często zredukowane do jednej części ciała: dłoni, głów, narządów płciowych. W Lascaux odkryto też przedstawienia istot ludzko-zwierzęcych, nazwanych „czarownikami”. Ale w przeciwieństwie do zwierząt, odtworzonych z wielką umiejętnością, naturalistycznie, wizerunki antropomorficzne zostały tam potraktowane umownie.

Z czasów prehistorycznych pochodzą też rzeźbione figurki żeńskie, określane jako „wenusy paleolityczne”. Najbardziej znana to Wenus z Willendorfu. Miano „wenusy” jest żartobliwe, jakże bowiem daleko im do ideału piękna! Są nieforemne, niskie, grube. Nie miały jednak cieszyć oczu. Badacze wiążą je z funkcjami religijnymi lub magicznymi: figurki obrazowały kult płodności, wyobrażały Matkę-Ziemię.

Egipt

Realistyczne przedstawienia ludzkiego ciała pojawiły się kilkadziesiąt tysięcy lat później, a obszarem, na którym ukształtował się obowiązujący przez stulecia kanon piękna, był Egipt. W epoce Starego Państwa zaczęto wznosić monumentalne kamienne posągi

faraonów i ich małżonek. Tors władcy był nagi, jedynie biodra osłaniała przepaska. Małżonka z kolei była odziana w wąską suknię, podkreślającą kobiece kształty. Twarze postaci w założeniu miały być portretami. Artystów obowiązywała idealizacja ciała króla – stosowali kanon bezczasowej młodości. Wykazywali się umiejętnością oddania prawidłowej budowy ciała i świetnym opanowaniem zasad proporcji.

W Egipcie portretowano nie tylko władców. Wśród wizerunków rzeźbiarskich wyróżniają się realistyczne figury pisarzy o nagich torsach. Liczne są też przedstawienia wysokich dostojników i urzędników, podwładnych, a nawet jeńców. Tu już nie obowiązywała idealizacja. O sposobach przedstawień ludzkiego ciała w Egipcie wiele mówią reliefy i malowidła w grobowcach i świątyniach. Postacie są tam ukazane w ruchu, w trakcie różnych czynności. W obrazach jest widoczna dbałość o ukazanie cech typowych, zarówno w odniesieniu do postaci, jak i do otoczenia. Służył temu kanon – charakterystyczny sposób przedstawiania sylwetki ludzkiej: głowa z profilu, oczy na wprost, ramiona i tułów na wprost, nogi z profilu.

Grecy

W starożytnej Europie mistrzami wizerunków pięknego ludzkiego ciała byli Grecy. Dziedzina, która najpełniej uwidaczniała greckie ideały piękna, była rzeźba. Początkowo (okres archaiczny, VI w. p.n.e.) wizerunki były schematyczne. Pochwała pięknego ciała zabrzmiała z wielką mocą w następnym, klasycznym okresie (V w. p.n.e.). Rzeźbę zdefiniują harmonia i idealizacja – elementy, które przesądzą o jej wyjątkowym charakterze. Nagość, zwłaszcza męska, staje się czymś

naturalnym: brak okrycia pozwala docenić piękną, prawidłową budowę postaci. Z kolei w rzeźbach niebędących aktami panował tzw. „styl mokrych szat” – drobno połańdowane ubiory nie ukrywały, a podkreślały budowę ciała. Artyści odeszli od statycznych i sztywnych przedstawień. Figury stały się naturalne, pełne wdzięku, dynamiczne.

Rzymianie

Tradycje sztuki greckiej kontynuował starożytny Rzym. Ciało ludzkie, nagie lub odziane, było tematem fryzów reliefowych, pomników wolnostojących, steli, a także mozaik i polichromii. Reliefy obrazowały sceny mitologiczne i alegoryczne, obfitujące w pięknie ukazane akty. Utrwały też wydarzenia historyczne. Twórcy starali się wiernie oddać sylwetki występujących osób, ich ubiór, broń, sprzęty oraz otoczenie. Rzeźba wolnostojąca z kolei to przede wszystkim portret: wizerunki zasłużonych postaci historycznych oraz osób współczesnych. Mimo podobieństwa do osób portretowanych, były to przedstawienia idealizowane. Oprócz wizerunków oficjalnych, powstawały liczne portrety zamawiane przez mieszkańców Rzymu. Zwykle były to popiersia nagrobne – uderzają one realizmem i głębią psychologiczną.

Miejscem, gdzie ciało mogło być ukazane w pełni swych walorów, były barwne polichromie i mozaiki (Rzym, Pompeje), obfitujące w sceny mitologiczne. Postacie są w nich ukazane w swobodnych, niewymuszonych pozach, z zachowaniem prawidłowych proporcji. Ciała, najczęściej nagie bądź nieznacznie przesłonięte woalem, miękko modeluje światłocień.

Chrześcijańska Europa

Sztuka wczesnochrześcijańska i średniowieczna kierowały się ku innym wartościom i miały inne cele – służbę Bogu. Średniowieczne polichromie, mozaiki i płaskorzeźby miały przybliżyć wiernych do sfery sacrum i pokazać drogę do zbawienia. Przedstawiano sceny biblijne, wizerunki świętych, historie



Reliefy ścienne w świątyni Edfu w Asuanie, Egipt

z ich życia. Przekaz wizualny był skierowany do prostych, niepiśmiennych ludzi. Była to zatem *Biblia pauperum*. Wszędzie tam występował człowiek, ale nie o wygląd ciała chodziło średniowiecznym artystom. Ciało stanowiło źródło grzechu. Jeśli nawet pojawiał się akt (w scenie Grzechu Pierworodnego, Sądu Ostatecznego czy męczeństwa świętych), to nagość była przesłonięta, a ciało nie mogło wyglądać powabnie.

W okresie renesansu pod wpływem fascynacji antykiem postrzeganie piękna uległo zmianie. W centrum zainteresowania stał teraz człowiek. Artyści starali się nie tylko przedstawić zewnętrzne piękno i harmonię, ale także ukazać jego głębię duchową. Wyrazem tego były portrety osób współczesnych artysty. Ukazywano je na tle pejzażu, a więc w związku z naturą. Powróciły tematy mitologiczne, dające okazję do pokazania pięknych, nagich ciał o wstudiowanych proporcjach. Rozwijała się

też sztuka religijna, jakże jednak odmieniana od średniowiecznej! Święte postacie na rzeźbach czy obrazach nie były już wzniosłe, beczasowe, obce. Osadzone we współczesnej artyście i odbiorcom rzeczywistości – krajobrazie czy domostwie, ubrane we współczesny strój, często posiadające rysy portretowe – postacie te stawały się bliskie.

Wielkie powroty i próby przełamania

Odrodzone w renesansie antyczne tradycje ukazywania pięknego ciała kontynuował barok. Epoka ta charakteryzowała się bogactwem i różnorodnością tematów malarzkich i rzeźbiarskich. Obok przedstawień religijnych, alegorycznych, mitologicznych i portretów, rozwijało się malarstwo rodzajowe – obrazujące codzienne życie ludzi i odzwierciedlające sytuację społeczną. Barok był epoką kontrastów, a sztuka rozwijała się odmiennie w różnych zakątkach Europy. Również podejście do określonych tematów, w tym do wizerunku ciała, było zróżnicowane. Inaczej wyglądają kobiety u Rubensa – o obfitych kształtach, zaróżowionych ciałach i zmysłowych spojrzeniach; inaczej zaś u Rembrandta czy Vermeera. W scenach



Pablo Picasso, *Naga*

religijnych u El Greca postacie świętych, nieskazitelne i uduchowione, trwają w niebiańskiej ekstazie, a Caravaggio przeciwnie – podkreśla ich pospolitość, eksponując niezgrabne sylwetki i brudne ciała. Artystów łączyło to, co wspólne dla całego stylu – dynamika przedstawień, ruch, ekspresja, kontrast, efekt zaskoczenia.

Przywiązanie do antycznych kanonów piękna w odniesieniu do ludzkiego ciała trwało z powodzeniem również w okresie klasycyzmu i było obowiązujące w sztuce oficjalnej niemal do końca XIX wieku. Mieszczańskie społeczeństwa Europy drugiej połowy XIX stulecia lubowały się w sztuce tradycyjnej i negowały wszelkie próby odejścia od schematów. Krytykę wzbudzało nawet nowe podejście do starych, uznanych tematów. Dlatego też za skandaliczne uznano płótno Edouarda Maneta *Olimpia*. Obraz nawiązuje wprawdzie kompozycyjnie do słynnej *Wenus z Urbino* Tycjana i przedstawia piękną, nagą kobietę leżącą na łóżku, nie jest to jednak Wenus, a znana paryska kurtyzana. Kobieta patrzy wyzywającym wzrokiem na widza, a u jej stóp, w miejscu Tycjanowskiego psa, widać kota, symbol zmysłowości. Manet uwspółcześnił temat i to było nie do przyjęcia dla ówczesnego odbiorcy.

Trudne do zaakceptowania były również dokonania późniejszych artystów, ukazujących wizerunki ludzkiego ciała w pozach „nieeleganckich” (*Tancerki* i *Kąpiące się* Degasa) lub wręcz zdeformowane (dzieła ekspresjonistów czy Picassa), albo rozbite na geometryczne kawałki (kubistyczne obrazy Picassa i Braque’a). Również dziś, kiedy patrzymy na dzieła współczesnych artystów, często się zastanawiamy i zadajemy pytanie o piękno. Wszak ciało ludzkie na obrazach takich artystów jak np. Bekisński chyba nie jest piękne...? Czy zatem do oceny współczesnego obrazu lub rzeźby przystają dawne kategorie estetyczne? Odbiór dzieła sztuki jest rzeczą subiektywną. Może więc na współczesną sztukę należy spojrzeć inaczej?

dr Ewa Korpysz

Złodzieje ciał

Książka Grzegorza Górnego o wymownym tytule *Kto chce ukraść ciała naszych dzieci?*, wydana w 2024 roku, porusza kontrowersyjny, ważny i aktualny temat transpłciowości. Autor chce przestrzec swoich czytelników, w sposób szczególny rodziców dzieci i nastolatków oraz ich samych, przed korektą płci. Przedstawia rzetelną analizę zjawiska, podaje rzeczowe argumenty podparte faktami, które ukazują negatywne konsekwencje jednostkowe i społeczne, jakie niosą te zabiegi.

Informacje, które przerażają

W zasadzie we wszystkich krajach zachodnich obserwuje się znaczny wzrost liczby operacji „zmiany płci”. Autor, by wyjaśnić, z czego wynika taki stan rzeczy, odwołuje się m.in. do analizy dokonanej przez australijską profesor psychologii zajmującą się tą problematyką. W wyniku przeprowadzonych badań doszła ona do wniosku, że większość rozpoznanych przypadków nie ma podłoża biologicznego, ale jest efektem „zarażenia społecznego”. Jak przekonuje, media społecznościowe oraz liderzy opinii mają wpływ na kształtowanie nowych trendów, także w sferze płciowości.

Autor przybliży też wyniki reporterskiego śledztwa amerykańskiej dziennikarki badającej temat transpłciowości. Jak zauważa, nastolatki od wieków borykają się z problemami związanymi z chwiejną emocjonalnością wynikającą z burzy hormonalnej, trudnymi do zaakceptowania zmiana-

mi zachodzącymi w ich ciele, mają problemy z samooceną. Pewna część dorastającej młodzieży mierzy się z zaburzeniami tożsamości płciowej. Poczucie braku akceptacji własnej płci przemija samoistnie w 90% przypadków po okresie dojrzewania, jeśli tylko środowisko nie będzie nakłaniać młodego człowieka do tranzycji.

Inne omówione w książce niepokojące wyniki badań pochodzą z raportu Norweskiej Rady Badań nad Opieką Zdrowotną. Pokazują one, że wiele norweskich dzieci, które zauważały u siebie dysfurię płciową, w istocie borykało się z innymi zaburzeniami psychicznymi lub poznawczymi. Mimo że aż u trzech czwartych przypadków małych dzieci zdiagnozowano np. autyzm czy zespół Tourette'a, nie zajęto się tymi zaburzeniami, lecz kierowano ich na tranzycję.

Prawo, które zachęca

Jak pokazuje Górny, nasilaniu się omawianego zjawiska sprzyjają też uregulowania prawne. Otóż w niektórych krajach zachodnich ustanawia się prawo pozwalające decydować małym dzieciom nie tylko w kwestii określenia swej płci, ale także o jej operacyj-



nej zmianie. Za zabronienie dziecku poddania się tranżycji rodzicom grozi pozbawienie praw rodzicielskich, a nawet więzienie. W Szkocji nauczyciele już nawet w przedszkolu są zobowiązani utwierdzać dziecko, które chce zmienić płeć, w przekonaniu trafnie podjętej decyzji. O tym fakcie nie mogą informować rodziców. Autor zastanawia się, czy dzieci i nastolatki są w stanie świadomie podejmować racjonalne decyzje w tak istotnych sprawach, które wiążą się z nieodwracalnymi skutkami...

Reakcja organizmu

Autor uświadamia czytelnika, jakie skutki niesie za sobą brutalna ingerencja w naturę organizmu. Jednym z efektów zażywania blokerów dojrzewania jest huśtawka nastrojów, zakłócenie funkcjonowania układu metaboliczno-endokrynnego i nerwowego. Z kolei najczęstsze powikłania po chirurgicznej zmianie płci to bezpłodność, problem z zaspokojeniem potrzeb fizjologicznych, z życiem intymnym, zaniki pamięci. Znane są też przypadki śmierci w wyniku powikłań po korekcji płci. Jak się okazuje, tranżycja w wielu przypadkach nie powoduje rozwiązania problemów nastolatków, a wręcz przeciwnie – przyczynia się do pojawienia się lęków, depresji czy skłonności samobójczych.

Górny dociera też do informacji uzyskanych od osób ze środowiska lekarskiego, zawodowo zajmujących się operacjami zmiany płci. I tak np. jeden z amerykańskich chirurgów ujawnił, że rozmowy z nastolatkami kierowano w taki sposób, by niemożliwe było postawienie innej diagnozy niż sugerowana. Operacje trywializowano, przedstawiono jako banalny zabieg, nie informowano wprost o skutkach ubocznych. Lekarz otwarcie przyznał, że tranżycja jest jeszcze

w fazie eksperymentalnej i jej skutki będą znane dopiero za kilka lat.

„Triki”

W toku lektury czytelnikowi zostają zilustrowane niektóre „triki” używane przez środowiska „trans”, mające na celu zachęcenie do podjęcia „właściwej” decyzji. W stosunku do bezradnych rodziców nastolatków kwestionujących swoją płeć stosuje się swoisty szantaż emocjonalny, zastraszenie. W obliczu rozterek stawia im się pytanie: „woli pan żywego transpłciowego syna czy martwą córkę?”. Środowiska te wykorzystują problemy młodzieży z depresją, której przyczyn na siłę dopatrują się w urodzeniu „w złym ciele”. Narzuca się im własną interpretację świata podzielonego na dobrych „transów” i złych „transfobów”. Wmawia się im, że osiągnięcie szczęścia możliwe jest jedynie przez korektę płci, przekonuje, że efekty uboczne to tylko propaganda. Autor przytacza opisy doświadczeń osób, które uległy tego typu wpływom. Jak wynika z ich relacji, zabiegi korekty płci nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, a wręcz wpędzały je w stan gorszy od poprzedniego. Ze względu na dużą liczbę takich przypadków notuje się coraz większą ilość retranżycji – operacji pozwalających na powrót do płci biologicznej.

Jak udowadnia autor, strategia promocji transpłciowości to w istocie intratny biznes, żerujący na problemach dorastających nastolatków. Górny podaje przykłady powiązań koncernów farmaceutycznych oraz medycznych, oferujących np. odpowiedni sprzęt chirurgiczny potrzebny do zmiany płci, ze środowiskiem LGBT. Czytelnikowi zostaje przedstawiony jeszcze jeden aspekt dotyczący omawianego tematu. Jak zauważa autor, ideologia transpłciowa podważa

integralny związek duszy i ciała. Taka antropologiczna interpretacja nie uznaje żadnej bariery, dając człowiekowi prawo do dowolnego kształtowania samego siebie, co ewidentnie sprzeczne jest z religią chrześcijańską.

Górny w swojej książce dokonuje swojej diagnozy obecnego w dzisiejszym świecie zjawiska związanego z transpłciowością, które nabrało charakteru „epidemii społecznej”, ukazuje jego wieloaspektowość, stara się wytłumaczyć przyczyny. Odpowiada na pytanie, komu na rękę jest jego rozprzestrzenianie się. Demaskuje motywy, manipulacje i nieetyczne mechanizmy, którymi posługują się różne środowiska, w tym aktywiści „trans”, lekarze dokonujący tranzycji, celebryci czy działacze partyjni wykorzystujący promocję omawianego zjawiska jako kartę w grze politycznej. Równocześnie w żaden sposób nie ocenia osób z zaburzeniami tożsamości płciowej – przeciwnie – wykazuje się troską o ich zdrowie i bezpieczeństwo.

To nie uzdrowia

Tranzycja nie jest remedium na problemy związane z tożsamością płciową dorastającej młodzieży, wbrew temu, do czego przekonują niektóre grupy interesu, a wręcz przeciwnie – przyczynia się do wystąpienia dramatycznych i nieodwracalnych szkód w ciele i psychice. Uważam, że lektura omawianej pozycji może „otworzyć oczy” osobom, które nie mają sprecyzowanego poglądu na szeroko pojętą problematykę „trans”. Sama byłam zszokowana niektórymi bulwersującymi faktami, których do tej pory nie znałam.

Wydaje się, że tezy zawarte w książce są naprawdę rzetelne. Tym, co uwiarygadnia przesłanie Grzegorza Górnego, jest fakt,

że podpira się on licznymi statystykami, wynikami badań i analiz specjalistów z różnych krajów zajmujących się tematem transpłciowości. Do tej grupy należą m.in. naukowcy, lekarze, psychologowie, bioetycy, dziennikarze. Autor, przytaczając konkretne fakty, nakłania czytelnika do odpowiedzi sobie na kilka ważnych pytań, do wyciągnięcia wniosków, być może też do zmiany podejścia.

Poza wcześniej wspomnianą diagnozą omawianego zjawiska, której dokonuje autor, w książce znajdziemy również swoistą receptę dla zagubionych rodziców, borykających się z problemem zaburzeń tożsamości płciowej swoich dzieci.

Oczywiście autorowi można by zarzucić jednostronne, nieobiektywne podejście do tematu transpłciowości, bo w książce nie znajdziemy argumentacji przedstawiającej dobre strony tranzycji, ale czy realnie takowe istnieją...? I czy można mieć o to pretensje do Górnego? Już sam wymowny tytuł książki sugeruje czytelnikowi, że będzie ona traktować o zagrożeniach i działaniach orędowników omawianego w niej zjawiska. Osobiście uważam, że jedyne, czego brakowało lekturze, to odniesień do opisu, badań, statystyk i wypowiedzi dotyczących omawianego zjawiska w Polsce.

Podsumowując, uważam, że rzuca ona nowe światło na ważny, aktualny temat. Jest ciekawa, wręcz szokująca, potrzebna, zmusza do refleksji i może spełniać zamierzenia autora, tj. stać się przestrożą przed uleganiem naciskom „protransowych” środowisk. Polecam lekturę.

Grzegorz Górny, *Kto chce ukraść ciała naszych dzieci?*, Wydawnictwo AA, Kraków 2024

Barbara Kubicka

O banalności zła

Na początku należy się czytelnikowi wyjaśnienie. Wiem, że tytuł niniejszego tekstu jest zaczerpnięty z cudzej twórczości. Tak, dokładnie, to pochodzi z książki Hanny Arendt *Eichmann w Jerozolimie – rzecz o banalności zła*. Książka, o której będę poniżej pisał, tylko bardzo pozornie traktuje o czymś innym, niż opisała Arendt w swojej analizie procesu tytułowego zbrodniarza niemieckiego. Eichmann, owszem, był tylko trybikiem w maszynie zbrodni, ale nie wiadomo, co by było, gdyby takiego czy innego trybiku owa maszyna nie posiadała. W końcu spisak, który stoi w zasadzie u początku każdej nieprawości, sam się nie zawiąże. Zło zawsze czynią ludzie – za szatańskim podszeptem, ale jednak oni.

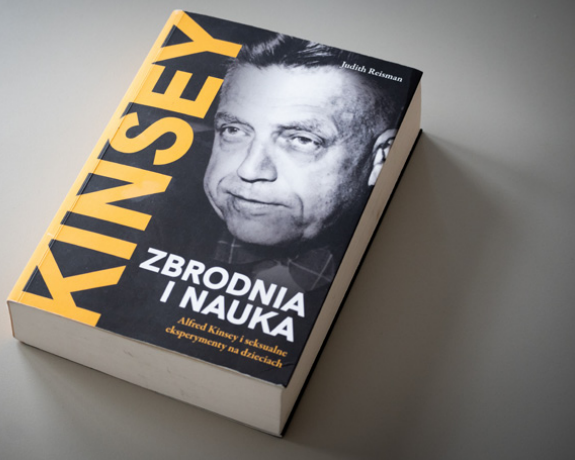
Te brutalne zdania zdecydowałem się zawrzeć po lekturze publikacji nieżyjącej

już amerykańskiej autorki żydowskiego pochodzenia, dr Judith A. Reisman, której bardzo skrupulatne dzieło *Zbrodnia i nauka. Alfred Kinsey i seksualne eksperymenty na dzieciach* wydało przed końcem starego roku Wydawnictwo AA. Muszę przyznać, że lektura dla mnie, człowieka, który sam siebie uważa za lekkiego cynika i ironistę, była bardzo trudna. Z odrazą i niechęcią do dalszego czytania odkładałem ją na półkę, a właściwie rozważałem, jak się jej pozbyć sprzed oczu. Redaktor naczelna może poświadczyć, bo sama padała ofiarą mojej desperacji w tym temacie.

To smutna, ale ważna publikacja

Pomimo opisanych „autobiograficznych” okoliczności, książkę przeczytałem w zasadzie całą, pominąłem jedynie różne indeksy i zestawienia, które są pewnie ważne w przypadku ataków kierowanych na autorkę ze strony obrońców, a przede wszystkim ideowych spadkobierców światopoglądu, dla którego Raporty Kinseya były czymś w rodzaju fundamentu. Niektóre opisowe fragmenty, dokumentujące całość, też jedynie przejrzałem. Publikacja liczy sobie ponad 600 stron i sama objętość, połączona z moim dystansem, wyjaśnia tę powierzchowność lektury niektórych fragmentów.

Czy ta niechęć wynika z tego, że książka jest źle napisana? Może nudna? Otóż, nic z tych rzeczy. Owszem, jest szczegółowa i skrupulatna, opatrzona mnóstwem przypisów, a autorka zdaje się być w niektórych kwestiach bardzo oszczędna w formułowaniu opinii, pewnie ze względów prawnych, w końcu – i tu jest klucz do cało-



ści – demaskuje wielki, diabelski, totalitarny spisek zorganizowanej grupy ludzi przeciwko uporządkowanemu społeczeństwu, rodzinie i ogólnie ludzkości. Tak jak w wypadku Eichmanna, Kinsey to jedynie banalny wykonawca zadania, które zlecili mu mocodawcy. On tylko sporządził raport o seksualności ludzi, który w zasadzie wyrócił do góry nogami najpierw Stany Zjednoczone, a potem resztę zachodniego świata. Z Raportu Kinseya, mającego według autorki jedynie znamiona naukowości, miało wynikać jedno: odrzucenie tradycyjnej etyki seksualnej jako zła szkodzącego człowiekowi. Ów pozór naukowości, za którym kryje się raport, jest rozbijany przez autorkę punkt po punkcie. Mnie on przypomina, jeszcze z innych powodów, o których za chwilę, analizy naukowe pewnego niemieckiego statystyka z lat 1941-1944, który pisał o „spadku dynamiki demograficznej społeczności żydowskiej w Europie” – można? Można. Paradigmat nauki przerobiony na totalitarny mit w sam raz nada się do realizacji zbrodni.

Co Kinsey miał wspólnego z nazistami?

Muszę w tym miejscu nawiązać do moich, że tak powiem, „okoliczności rodzinnych”. Wręcz elektryzująco zadziałał na mnie motyw współpracownika Kinseya – niemieckiego, nazistowskiego zbrodniarza i pedofila Fritza von Ballusecka, który temu szacownemu amerykańskiemu „gentlemanowi” w muszce dostarczał „naukowych” opisów z pierwszej ręki. W czasie okupacji był on kreishauptmannem (zdaje się starostą) w moim rodzinnym Jędrzejowie, gdzie też podobno prowadził „badania”, zarówno na dzieciach polskich, jak i żydowskich. Wychowywałem się w tych

okolicach, nieświadom, że to tu „wykuwała się” część postulatów lewicowej agendy seksualnej, że nazistowskie spojrzenie na człowieka i człowieczeństwo znajduje swoje odzwierciedlenie w innej, nieco lewicowej ideologii. W trakcie lektury i odkrywania związków między faktami może się to wydawać szokujące, ale oceniając całą kwestię „na chłódno”, nie będzie to aż tak zaskakujące. Jedna i druga lewica instrumentalizuje człowieka, w tym jego ciało, które staje się tylko narzędziem użycia: czy jako przedmiot eksperymentu pseudomedycznego, „materiał na mydło”, byt, który należy za wszelką cenę poddać seksualizacji, a może zmienić jego tożsamość płciową – to kwestia jakby drugorzędna.

Naukowo usankcjonowana rozwiązłość

Jak wskazuje tytuł, autorka skupia się na zwyrodniałych „eksperymentach” pedofilskich – podaruję sobie tu opisy i moje opinie na ten temat, szczególnie że niektóre ze słów, które cisną się na klawiaturę, tzw. „algorytmy” mogłyby uznać za mowę nienawiści. Może tylko zaznaczę czytelnikowi fakt, że mamy do czynienia z eksperymentami, że się tak wyrażę, empirycznymi, czyli takimi, w których brali udział prawdziwi ludzie. Z tym że z jednej strony byli to dorośli „ochotnicy” Kinseya, czasami, co tu dużo mówić, według autorki pedofile, z drugiej zaś strony zmuszone do deprawacji dzieci; niekiedy były to raporty współpracowników, takich jak wymieniony powyżej Balluseck.

Szczególnie ważne jest, że Raporty Kinseya z lat czterdziestych ubiegłego wieku i późniejsza działalność instytutu jego imienia, tak jak napisałem na początku, to nie tylko historia. To są fundamenty

rzeczywistości, w której przyszło nam żyć. To one, oparte na manipulacji – według dr Reisman – stały się podstawą nowego prawa, a tym samym nowego podejścia do człowieka, nowego modelu wychowawczego, którego główną częścią staje się seks. Siłą rzeczy jednym z ważnych aspektów takiego modelu jest osłabienie rodziny, tradycyjnego wychowania opartego na wartościach religijnych i tradycyjnej moralności. Jednym słowem, człowiek to tylko dążące do jak najczęstszego seksu ciało, przy czym wiek rozpoczęcia inicjacji winien być jak najwcześniejszy. To już nawet nie jest afirmacja ciała ludzkiego znana z historii sztuki, jakichś gałęzi filozofii czy literatury, a posadowienie człowieka obok zwierzęcia, u którego najważniejszym odruchem jest instynkt. Przy tym właściwie owa zwierzęcość, która miała chyba być odnośnikiem dla ludzkich zachowań, nie jest aż tak oczywista, bowiem w wypadku zwierząt współżycie seksualne prowadzić ma do prokreacji, bo tak każe im czynić oparty na biologii instynkt. Tymczasem w świecie rewolucji seksualnej, podpierającym się pracą zespołu bohatera książki, prokreacja jest rzeczą niemile widzianą, by nie rzec niepożądaną. Kinsey widziany moimi oczami po lekturze *Zbrodni i nauki* to banalny, ale jednak... zbrodniarz.

Możliwe kierunki rewolucji

Jest jeszcze coś, co może przeciętnemu, acz dociekliwemu czytelnikowi nie dać spokoju. Otóż, zmiany prawne, które inspirowane były Raportami, tudzież kampanią medialną, jaką m.in. w związku z ich publikacją zorganizowała Fundacja Rockefellera, doprowadziły do legalizacji wszelkich rozwiązań, usunięcia z listy

chorób psychicznych pozycji, które tam występowały (czytelnik się domyśla, o które mi chodzi), do powszechnej dostępności ostrej pornografii. Pedofilia, wbrew postulatom Kinseya, dalej jest penalizowana i to surowo. Cóż, dajmy jej czas – postulaty w jej temacie cały czas padają, w końcu do listy LGBTQ można dopisać wiele literek. Na razie pedofilię wykorzystuje się do walki z Kościołem i dopóki tak będzie, kwestia będzie zawieszona... ale do czasu. Autor tego twierdzenia nie upoważnił mnie do podania swojego nazwiska, a więc na razie przyjmijmy, że to moja teza.

Oczywiście, ktoś powie: a co, jeśli to nieprawda, jak głoszą obrońcy Raportów Kinseya, twierdzący, że błędy w jego badaniach to tylko nic nieznaczące promile? No, nie wiem, z faktami się nie dyskutuje, albo dr Reisman kłamała przez całe swoje życie. W Wikipedii, przy definicji Raportu Kinseya, doczekała się krótkiej wzmianki, mówiącej, że organizacje społeczne traktują jej dociekania jako nieobiektywne. Na jej rzecz przemawia fakt, że nie podano żadnych szczegółów co do tego, na czym ów brak obiektywizmu miałby polegać. Ponadto, niestety, bo wolałbym napisać na koniec coś optymistycznego, jej dociekliwy sposób pisania, poparty szczegółowymi przypisami, mnie przekonał. Po prostu wszystko do siebie pasuje, ale czytelnik powinien przekonać się sam, w końcu mogą być nieobiektywne.

Judith Reisman, *Zbrodnia i nauka. Alfred Kinsey i seksualne eksperymenty na dzieciach*, Wydawnictwo AA, Kraków 2024

Piotr Sutowicz

**NAWOZY
OGRODNICZE
NR 1 W POLSCE***

**TAKTYKA
MISTRZA
TRAWNIKA**



*Florovit – najczęściej wybierane nawozy wg badania Kantar Polska S.A. przeprowadzonego w 2024 r.



www.osrodekawra.pl

Wiosna z Gawrą